



ANNE LOGAN



***Chmury nad
zatoką***

1

Samantha Bradford ponownie usłyszała hałas i włosy zjeżyły się jej na głowie. Ostrożnie, na czworakach podpełzła do dziobu statku.

- Tommy, ktoś tu jest - wyszeptała i przechyliła się przez poręcz. Kolega Samantha, który pozostał na katamaranie, uniósł głowę.

- Daj spokój, Sam. Przestań fantazjować i płynmy stąd wreszcie - powiedział i spojrzał tęsknie w kierunku wąskiej plaży. Wciąż nie mógł uwierzyć, że dał się przekonać dziewczynie, aby podpłynęli do jachtu.

- Ktoś jest na dole - upierała się. - Słyszałam jęk.

- No i co z tego? - Wzruszył ramionami. - Hej, Sam, poczekaj. Nie choć tam sama. Wracaj.

Jednak kiedy się podniósł, zobaczył, że już zniknęła.

- No nie - jęknął. Chwycił drabinkę i wciągnął się na jacht. Jak na konserwatywną, trzeźwo myślącą dwudziestosiedmiolatkę potrafiła być czasem piekielnie uparta w całym niedorzecznych sprawach. - Nie powinienem był dać się jej przekonać - narzekał głośno. - Powinniśmy wezwać Straż Przybrzeżną, tak jak od razu proponowałem.

Tymczasem Samantha zeszła na dół. Przystanęła na chwilę, aby wzrok przyzwyczaił się do słabego oświetlenia.

Ładnie tu, pomyślała. Ten, kto zaprojektował jacht, był bez wątpienia znakomitym fachowcem, a właściciel tego cacka nie liczył się z kosztami. Wszystko było wykonane z myślą o wygodzie użytkownika. Świadczyła już o tym duża kuchnia w kształcie litery L, wyposażona w podwójny zlew ze stali, piec, dwie przenośne lodówki i kredens.

Z wahaniem zrobiła krok do przodu. Jak na razie nie mam powodów do obaw, pomyślała sobie. Nabrała głęboko powietrza w płuca i wypuszczała je bardzo powoli, aby uspokoić się trochę, ale nadal

rozglądała się niespokojnie na wszystkie strony, chcąc ustalić źródło jęku, który wcześniej słyszała. Kiedy weszła dalej, usłyszała czyjś ciężki oddech.

Poprzez otwarte drzwi ujrzała mężczyznę leżącego na koi. Nieznacznym ruch klatki piersiowej wskazywał na to, że człowiek ten żyje. W Samancie strach walczył z ciekawością. Zauważyła jacht dwa dni temu, podczas spaceru po plaży. Zdziwiło ją wtedy, że nic się na nim nie działo, wyglądał na całkowicie opuszczony. Przez całe te dni nie mogła przestać o tym myśleć.

Ostrożnie weszła do kajuty i zbliżyła się do łóżka. Nawet w słabym oświetleniu mogła dostrzec pewne szczegóły. Włosy mężczyzny były rozczochrane i wilgotne, a krótka, gęsta broda okalała spoconą twarz. Szeroki tors wznosił się i opadał przy każdym niepokojąco ciężkim i świszczącym oddechu. Opalone i muskularne nogi leżały bezwładnie rozrzucone. Koszula i szorty były wymięte i mocno przybrudzone.

Samantha podeszła bliżej i pochyliła się nad mężczyzną. Czuła bijący od niego żar. Instynktownie wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego czoła. W momencie, gdy jej dłoń zetknęła się z rozpaloną skórą, mężczyzna nagle się poruszył. Przestraszona dziewczyna natychmiast cofnęła rękę, lecz nadal pochyłona nad nim zastanawiała się, czy pozostać, czy też biec na górę.

Nagle mężczyzna schwycił ją mocno za szyję. Ten nieoczekiwany ruch sprawił, że Sam straciła równowagę. Runęła do przodu, a wtedy uścisk jeszcze się zacieśnił.

Próbowała krzyczeć z twarzą przyciśniętą do torsu mężczyzny, ale wydała z siebie tylko stłumiony jęk. Ogarnęło ją przerażenie, nie mogła oddychać. W odruchu paniki wyciągnęła rękę i wbiła mu paznokcie w ramię.

Przez głowę przelatywało jej tysiące myśli. Powinna była posłuchać Tommy'ego i zgodzić się na wezwanie Straży Przybrzeżnej. W tej chwili była prawie pewna, że człowiek ten jest przestępcą, mordercą albo handlarzem narkotyków.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. W pewnej chwili uścisk

niespodziewanie zelżał. Wyczuła cichy jęk mężczyzny, zanim dotarł do jej uszu. Ramię opadło na łóżko. Była wolna.

Przez moment leżała jeszcze oszołomiona i oddychała ciężko. Dopiero świadomość, że ciała ich dotykają się w sposób bardzo intymny postawiła ją na nogi. Miała na sobie tylko bikini i cieniątką bluzkę. W stroju tym czuła się niemal naga i bezbronna. Wstała ostrożnie. Zastanawiała się, czy mężczyzna nie zaatakuje jej ponownie.

- Sam... Sam! Gdzie jesteś?

- Tutaj. - Głos dziewczyny był słaby i drżący. Odkaslnęła i powtórzyła już pewniej. - Tutaj, Tommy.

Teraz, kiedy wiedziała, że Tommy jest blisko, odetchnęła z ulgą. Poczwała na swojej skórze odór przepoconego ubrania mężczyzny. Wcześniej nie zauważyła, że w pomieszczeniu cuchnęło. To strach, pomyślała. Strach zawsze wyostrza zmysły. Część jej świadomości rejestrowała, że nadbiega Tommy, lecz Samantha wciąż rozpamiętywała chwile, w których walczyła o oddech. Już kiedyś tak się czuła - w czasie jednego z tych swoich ataków... nie, nie może... nie wolno jej o tym myśleć.

Podskoczyła gwałtownie, gdy Tommy chwycił ją za ramię.

- Przepraszam. Nie zamierzałem cię przestraszyć, ale wydawało mi się, że słyszałem jakiś hałas. Co się stało?

- Tommy wszedł do pomieszczenia i pociągnął nosem.

- O rany! Co to za zapach...? - nagle spojrzwał w stronę łóżka i umilkł.

- O Boże! - wyszeptał po chwili. - Czy on nie żyje?

- Nie, on żyje. - odpowiedziała. - To ja omal nie umarłam albo tak mi się wydawało.

- O czym ty mówisz? Co tu się stało?

Samantha potrząsnęła głową. Jakiegolwiek wyjaśnienia związane z tym, co przed chwilą tu zaszło, nie miały najmniejszego sensu. Z pewnością Tommy skwitowałby je krótkim: „A nie mówiłem?”

- Nic...zupełnie nic - odparła. - Chyba jestem trochę zbyt nerwowa.

- Na pewno? Jesteś taka blada.

- Wszystko w porządku. - Z trudem zdobyła się na wymuszony

uśmiech. - To pewnie dlatego, że jest tu tak okropnie duszno.

Tommy nie wyglądał na przekonanego, ale ku wielkiej uldze Samantha zrezygnował z dalszych pytań, odwrócił się i powoli podszedł do łóżka.

- Co mu się stało? - zapytał.

- Nie wiem. - Samantha popatrzyła na mężczyznę. Jego oddech był jeszcze cięższy niż poprzednio. Obecność Tommy'ego sprawiła, że strach powoli ustępował, a jego miejsce zajęły zdrowy rozsądek i współczucie. Nie wierzyła w tej chwili, że nieznajomy chciał ją udusić. To nie było zamierzone działanie. Prawdopodobnie walczył z jakimiś majakami, wywołanymi przez chorobę.

- Ma gorączkę - powiedziała cicho. - Sądzę też, że jest poważnie odwodniony. - Zastanawiam się, kto to może być.

- Sam nie wiem...Może przecież odzyskać przytomność i oskarżyć nas o... o cokolwiek.

Zdumiona Samantha patrzyła, jak Tommy powoli wycofuje się. Kto by pomyślał, że ten bożek katamaranów okaże się tchórzem?

- Nawet nie chcesz go zbadać? - zapytała. - W końcu studiujesz medycynę.

- Sam, nie mam jeszcze kwalifikacji, żeby kogokolwiek badać - zaprotestował gwałtownie. - Jestem dopiero studentem trzeciego roku. Nie patrz na mnie w ten sposób. Jeżeli ma gorączkę, jedyne, co możemy zrobić, to obniżyć temperaturę. Ochłódzimy mu twarz zimną wodą i wezwiemy wykwalifikowaną pomoc.

- Może dać mu aspirynę?

- To zbyt ryzykowne. - Tommy przecząco pokręcił głową. - Może być uczulony.

- W porządku, masz rację. Poszukaj radia, a ja tymczasem zastanowię się, co zrobić z tą gorączką.

- Będę ostrożna. Nie sądzą, żeby ten człowiek był w stanie wyrządzić ci jakąś krzywdę, ale jego choroba może być zaraźliwa.

Samantha nie odpowiedziała. Chyba już nieco za późno, aby martwić się, czy to zaraźliwe. Wyszła z kabiny i przeszukała kuchnię. Udało się jej

znaleźć szklanke i dużą miskę. Napełniła je wodą i pośpiesznie wróciła do kabiny. Z oddali dobiegał głos Tommy'ego.

- Mayday, Mayday, Mayday, tu jacht „ Jenny II ”, pięć mil na zachód od portu. Odbiór. Mayday, Mayday, Mayday...

Samantha zatrzymała się przy koi. Zastanawiała się, czy wystarczy jej siły i odwagi, aby rozebrać i umyć nieznanego.

Mężczyzna leżał teraz na prawym boku, z twarzą częściowo zakrytą ramieniem. Samantha postawiła miskę na komódce i oparła ręce na biodrach. Wciąż miała opory przed dotknięciem jego ciała.

- Nie bądź śmieszna - skarciła się w duchu. Odetchnęła głęboko. - On potrzebuje pomocy - wyszeptala i spróbowała go dźwignąć. Ramię mężczyzny było twarde i muskularne. Chyba sporo ważył, a bezwładność czyniła go jeszcze cięższym. W końcu udało się jej ułożyć go na plecach.

Poczuła nagle ogromną litość i pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę, aby odgarnąć mu włosy z czoła. Wyglądał tak bezbrinnie, niczym dziecko.

Potrząsnęła głową, zirytowana swoim zachowaniem, i sięgnęła po stojącą na komódce szklanke z wodą. Uniósł lekko głowę mężczyzny i przystawiła mu ją do ust.

- Czy pan mnie słyszy? - zapytała łagodnie. - Proszę pana, musi pan to wypić. - Modliła się w duchu, aby się nie zakrztusił i przechyliła ostrożnie szklanke. Woda spłynęła po brodzie mężczyzny.

- Proszę trochę wypić - zachęcała. Skrzywił się z irytacją i odwrócił głowę.

- Wspaniale! - mruknęła. - I co ja mam teraz robić? - Przez moment patrzyła na niego bezmyślnie. Musiała w jakiś sposób zmusić go do wypicia wody. Już nie będzie zachęcała.

- Woda. Pij - rozkazała stanowczo i przycisnęła mocno szklanke do jego warg.

Chyba coś usłyszał, bo przetknął kilka łyków i wyciągnął rękę w kierunku szklanki.

- Ejże, nie tak szybko... - głos uwiązł jej w gardle, kiedy ujrzała, że mężczyzna otworzył oczy.

- Anioł... nie... kim... - zachrypiął z wysiłkiem. Nagle jego oczy znowu się zamknęły, a ręka opadła na poduszkę. - Kim jesteś? - dokończył prawie niedostłyszalnie.

Samantha nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Hej, Sam! - usłyszała głośny okrzyk Tommy'ego. Pośpiesznie opuściła głowę mężczyzny i odwróciła się. Tommy stał już w drzwiach.

- Coś się stało z radiem. Słyszę, jak gadają ludzie w całym stanie - mówił. - Ale za to mnie nikt nie słyszy. Chyba coś jest uszkodzone.

Samantha w milczeniu patrzyła na Tommy'ego, ciągle jeszcze wstrząśnięta chwilowym odzyskaniem przytomności przez nieznanego.

- Sam? Słyszałaś, co mówiłem? Radio jest...

- Słyszałam. Rozwalone radio. Jeszcze tylko tego nam brakowało do szczęścia.

Spojrzenie Tommy'ego powędrowało do nieprzytomnego mężczyzny i z powrotem do Samanthy.

- Co powinniśmy zrobić? - zapytał. Dziewczyna pocierała kark dłonią i próbowała zebrać myśli. Co powinni zrobić?

- Jest zbyt ciężki, żebyśmy poradzili sobie we dwojkę - powiedziała w końcu. - Nie damy rady przenieść go na katamaran. Nie chcę jednak zostawiać go tu samego.

- Nie zamierzasz chyba... - Tommy z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Wiesz, że to jedyne wyjście.

- Nie zostawię cię tutaj samej.

- Nie będę sama.

- Samantho, wiesz dobrze, o co mi chodzi. Przecież on jest tu już od paru dni, wytrzyma jeszcze kilka godzin. Sprowadzimy pomoc.

Argumenty Tommy'ego były niewątpliwie rozsądne, ale z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny Samantha nie mogła tak po prostu opuścić jachtu. Gdyby ona znalazła się w sytuacji tego chorego i nieprzytomnego mężczyzny, nie chciałaby, aby pozostawiono ją na łasce losu.

- Zostanę tutaj - powiedziała. - A ty im szybciej wyruszysz, tym

prędzej wrócisz z pomocą.

Tommy stał bez ruchu i wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

- Kobiety! - mruknął w końcu, po czym odwrócił się i wyszedł. - Wiedziałem. Wiedziałem. Nie powinienem był pozwolić jej...

Głos Tommy'ego ucichł. Samantha zerknęła na zegarek, wskazywał kilka minut po trzeciej. Tommy na pewno będzie z powrotem przed czwartą. Mogłaby się założyć, że chłopak złamie większość przepisów obowiązujących podczas żeglugi, aby tylko wrócić jak najszybciej.

Spojrzała na mężczyznę i poczuła dziwny ucisk w gardle. Był dla niej zupełnie obcym człowiekiem, kilka słów, które wymamrotał, niczego o nim nie mówiły, a jednak odnosiła wrażenie jakiejś łączącej ich więzi. Jednocześnie narastał w niej strach. Brawurowa postawa, jaką demonstrowała przy Tommym, niewiele miała wspólnego z jej prawdziwymi odczuciami.

Postanowiła zająć się czymś praktycznym. Wkrótce Tommy wróci z pomocą, powtarzała sobie. Zanurzyła ściereczkę w wodzie i starannie ją wycisnęła. Teraz najważniejszym zadaniem było obniżenie choremu temperatury. Zaczęła delikatnie ocierać mu twarz. Mężczyzna był zdecydowanie przystojny. Nawet kilkudniowy zarost pasował do tej szorstkiej, męskiej urody. Prawdopodobnie miał około trzydziestu pięciu, trzydziestu sześciu lat. Drobne zmarszczki wokół oczu wskazywały na to, że wiele czasu spędzał w słońcu, na świeżym powietrzu. Pewnie często żeglował. Nos nieznajomego był kształtny, usta pełne i wyraziste...

Zastanawiała się, czy ma rodzinę - żonę, dzieci. Może rzeczywiście powinna przeszukać jego kieszenie. Zerknęła na szorty mężczyzny. Portfel mógł znajdować się w tylnej kieszeni, co oznaczało, że musiałaby przewrócić bezwładne ciało o 180 stopni.

Samantha położyła ściereczkę na czole nieznajomego i wyprostowała się. Później dowie się, kim on jest. Teraz miała inne kłopoty. Przez cały czas temperatura ciała była niepokojąco wysoka. Potrzebne były skuteczniejsze środki niż mokry okład na czoło. Na pewno pomogłaby kąpiel w wannie pełnej zimnej wody, ale w tych warunkach... Cóż,

będzie musiała rozebrać go i obłożyć mokrymi ręcznikami. Przypomniata sobie, że babcia stosowała czasem taki sposób i przeszył ją ostry dreszcz żalu. Oczy Samantha zaszkliły się łzami. Od pogrzebu babci minęły już dwa tygodnie, a dziewczyna wciąż nie mogła uwierzyć, że starsza pani odeszła... odeszła na zawsze.

Odetchnęła głęboko i ponownie spojrzała na mężczyznę. Nacieranie może jeszcze poczekać. Pewnie zaraz nadejdzie pomoc.

Żagiel na katamaranie szybko złapał wiatr i łódka pomknęła przez fale. Tommy nie chciał zostawiać Samantha na „Jenny II”. Ten jacht od początku wzbudzał w nim niepokój i nie wiązało się to bynajmniej z osobą chorego. W takim stanie mężczyzna nie mógł nikomu wyrządzić krzywdy. Jednak było coś dziwnego i denerwującego w całej sytuacji i właśnie to wyprowadzało Tommy'ego z równowagi.

Zręcznie osadził łódkę kilka metrów od brzegu, zeskoczył i korzystając z nadpływających fal, wepchnął ją na piach. Chwilę później był już przy swoim jeepie.

Kilka przecznic dalej znajdował się aparat telefoniczny. Tommy pomyślał, że przy odrobinie szczęścia już za godzinę wróci na „Jenny II”. Im szybciej się tam znajdzie, tym lepiej również dla niego. Pozbędzie się wreszcie tego męczącego uczucia niepokoju.

Wciąż myślał o jachcie, nieprzytomnym mężczyźnie i oczekującej Samancie. Zwolnił, aby skręcić na autostradę. Gdy czekał na stosowny moment, by włączyć się do ruchu, zerknął w lusterko i ujrzał wyłaniającą się zza zakrętu ciężarówkę. Z pewnością wjedzie na sąsiedni pas, pomyślał i skoncentrował się na ruchu przed sobą.

Nagle usłyszał pisk opon i hamulców, a kiedy znów spojrzał w lusterko, uświadomił sobie, że ciężarówka jedzie wprost na niego. Serce zaczęło mu bić jak oszałałe. Zbyt późno przypomniał sobie o pasach bezpieczeństwa i bezskutecznie usiłował zapiąć je teraz. Zdążył jeszcze pomyśleć o Sam, kiedy usłyszał przeraźliwy trzask metalu. Najpierw poczuł ból, potem doznał uczucia unoszenia się w przestrzeni, aż wreszcie zapadła ciemność.

Samantha stała w kokpicie „Jenny” i mrużąc oczy wpatrywała się w

odległy brzeg. Nie było widać żadnej łodzi.

Minęły już dwie godziny, odkąd odpułnął Tommy. Dwie długie godziny wypełnione zabiegami przy chorym. Mężczyzna znajdował się w bardzo ciężkim stanie. Majaczył zupełnie bez sensu albo jęczał wstrząsany dreszczami. Wiedziała już, że podjęła słuszną decyzję, kiedy postanowiła zostać przy nim.

Znów spojrzała na wodę, modląc się w duchu o widok kolorowych żagli. Miała jak najgorsze przeczucia, kiedy w końcu zrezygnowała z wypatrywania i zeszła na dół.

- Przestań - powiedziała głośno do siebie. - Tommy'emu na pewno nic się nie stało. Zaraz tu będzie.

- Sama w to nie wierzyła. Coś musiało się wydarzyć, inaczej Tommy już dawno by wrócił.

Nie miała czasu, aby dłużej nad tym rozmyślać. Gdy weszła do kabiny, ujrzała, że nieznajomy usiłuje wstać. W oczach błyszczących gorączką, malował się wyraz zdecydowania.

Natychmiast znalazła się przy nim i popchnęła go na koję. Zdawała sobie sprawę, że gdyby udało mu się podnieść, natychmiast upadnie, a ona nie będzie miała dość siły, aby go podnieść.

- Co pani robi? - mówił niewyraźnie i z wysiłkiem.

- Muszę... muszę wstać. Muszę.

Samantha nie wiedziała, czy sobie poradzi. Mimo choroby był niestęchanie silny, a teraz znowu usiłował się podnieść. Popchnęła go mocniej i chwilę później oboje wylądowali na koi.

Jeszcze raz znalazła się w tej krępującej dla niej pozycji. Leżała na nim, a kiedy usiłowała wstać, ramię mężczyzny objęło ją w talii.

- Jak dobrze - wyjęczał. - Tak... tak chłodno. Przestała się wyrywać i leżała uwięziona, z twarzą wtuloną w jego szyję, dotykając piersiami jego torsu. Czuła, że gorączka mężczyzny wzrasta i obawiała się, że lada chwila mogą wystąpić konwulsje.

Podobnie jak poprzednio, okres przytomności chorego szybko minął. Ramię opadło na łóżko. Samantha błyskawicznie ześliznęła się z koi i pobiegła szukać ręczników. Mężczyzna uspokoił się trochę, jego oddech

wyrównał się. Dziewczyna zmoczyła wszystkie ścierki i ręczniki, jakie udało jej się znaleźć.

Zawahała się przez moment, po czym pochyliła się nad mężczyzną i ściągnęła z niego koszulę. Nie stawiał żadnego oporu. Wyprostowała się i objęła spojrzeniem jego szerokie, opalone ramiona. Ciemne, gęste włosy porastające tors przechodziły przez płaski, umięśniony brzuch i niknęły za gumką szortów.

Nagle Samantha zdała sobie sprawę z własnego zapatrzenia i twarz jej spłonęła ciemnym rumieńcem. Pośpiesznie sięgnęła po ręcznik, potem po następne. Przez kolejną godzinę zajmowała się tylko walką z gorączką, niezmordowanie zmieniając okłady.

Zapadał wieczór. Popołudnie było długie i pełne napięcia, ale teraz nieznajomy leżał spokojnie.

Intuicja podpowiadała Samancie, że coś straszego musiało przydarzyć się Tommy'emu. W przerwach między kolejną zmianą ręczników usiłowała uruchomić radio, przeszukała też starannie jacht. Znalazła tylko gazetę sprzed trzech dni i kilka nieistotnych drobiazgów. Nic, co pozwoliłoby ustalić tożsamość nieznajomego mężczyzny.

Przed zapadnięciem zmierzchu myślała o tym, aby doплыć do brzegu przy pomocy łódki znajdującej się na jachcie. Zanim jednak stan chorego poprawił się, było już za późno, aby ryzykować wyprawę chybliwą dinghy.

Przeszukała szafki w kuchni i znalazła mnóstwo konserw. Jacht był wyjątkowo dobrze zaopatrzony. W chwilę później podgrzała zupę pomidorową. Pacjent musiał coś zjeść, a i ona także była głodna. Zaskoczyło ją to, ponieważ od pogrzebu babci w ogóle nie czuła głodu.

Nalała zupę do dwóch kubków. Uznała, że zupa dla mężczyzny musi trochę przestygnąć. Zabrała swoją porcję i wyszła na pokład. Owiął ją lekki, łagodny wiatr. Było cicho i spokojnie. Samantha usiadła. Noc była pogodna, jasno świecił księżyc, a granatowe niebo błyszczało od gwiazd. Na odległym brzegu migotały słabe światełka. „Tak daleko, a jednak tak blisko” - nasunęły się jej słowa piosenki.

Dotychczas udawała przed sobą, że wszystko jest w porządku, lecz

wewnątrz aż drżała z niepokoju. Czuła, że wpada w panikę. Znów zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna jednak powiosłować do brzegu. Zamknęła oczy, wyobrażając sobie tę przeprawę. Nie mogła tego zrobić, nie mogła ryzykować. Stąd wyglądało to niegroźnie, wiedziała jednak, że nie zdoła podołać tak długiemu wiosłowaniu.

Ręce drżały jej tak mocno, że zupa niebezpiecznie zbliżała się do krawędzi kubka. Ciemność gęstniała. Samantha czuła, że narasta w niej napięcie. Noc na otwartych wodach zawsze przypominała jej sztorm, który przed laty pochłonął rodziców, a w niej pozostawił ogromny, niekontrolowany strach. Znów zadrżała i ścisnęła mocniej kubek. W ciągu ostatnich lat ciągle próbowała przewyciężyć ten uraz. Świątełka w oddali uspokajały ją, pozwalały nieco oddalić niepokój. Dopóki mogła dostrzec z pokładu chociaż kawałek lądu, nie było jeszcze tak źle.

Dotknęła wargami kubka. Zupa była gorąca, więc piła ją powoli, małymi łyčzkami. Potrzebowała siły, siły i odwagi, żeby jakoś przetrwać ten czas.

Skończyła pić, gdy nagle usłyszała niski głos na dole. Drgnęła i omal nie upuściła kubka.

- Do diabła! - mruknęła. - Co znowu?

Wpadła do kabiny i ujrzała, że nieznajomy siedzi na podłodze i jęczy trzymając się za głowę.

- Świetnie! Po prostu cudownie - powiedziała sarkastycznie.

Zmęczenie i niepokój pozbawiły ją resztek cierpliwości. - I co ja mam teraz zrobić?

Mężczyzna nie odpowiadał, tylko kiwał się i mamrotał coś niewyraźnie.

Samantha odetchnęła głęboko i spróbowała ocenić odległość pomiędzy podłogą a koją. Ostrożnie podeszła do nieznajomego. Pochyliła się, objęła go mocno ramionami i pociągnęła w górę. Starła się ignorować dotyk jego gorącej i nagiej skóry. Irytowało ją, że robi to na niej wrażenie. Szybko jednak zapomniała o tym, gdy zdała sobie sprawę, że nie udźwignie mężczyzny.

- Proszę pana - powiedziała. - Niech pan wstanie. Musi się pan

położyć. - Spróbowała jeszcze raz, znów bez rezultatu. Nawet się nie ruszył. Nadal ścisnął głowę i mamrotał, jak gdyby w ogóle jej tam nie było.

Samantha puściła mężczyznę i wyprostowała się. Stała nad nim i rękami na biodrach i rozmyślała nad sytuacją. Bez współpracy ze strony chorego nigdy nie zdoła go podnieść. Gdyby tylko udało się jej przyciągnąć jego uwagę i sprawić, żeby zrozumiał, czego od niego oczekuje.

Kucnęła przy nim i ujęła w dłonie jego duże, silne ręce. Kiedy przyciągnęła je do siebie, podniósł głowę i spojrzał na nią. Ujrzała ciemnoniebieskie, niemal granatowe, pełne bólu oczy. Przypomniała sobie stare powiedzenie o tym, że oczy są oknami duszy człowieka. Jeśli to prawda, ten człowiek przechodził piekło. Współczucie musiało ustąpić zdecydowanemu działaniu.

- Czy pan mnie słyszy? - zapytała. Nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Patrzył na nią, jak gdyby była przezroczysta.

Samantha potrząsnęła lekko jego dłonią.

- Proszę mnie posłuchać - powiedziała. - Jest pan bardzo chory i chcę panu pomóc, ale musimy współpracować, bo sama nie dam sobie rady. Nadal nie odpowiadał.

- Hej! - krzyknęła. Drgnął, jak gdyby ten okrzyk sprawił mu ból. Nareszcie jakaś reakcja, pomyślała.

- Musi pan wstać. - Przyciągnęła jego dłonie. - Nie może pan tak siedzieć na podłodze. Powinien pan wrócić do łóżka.

Nieznajomy zamrugnął kilkakrotnie oczami. Samantha wiedziała, że teraz na pewno ją słyszał. W szklanych dotąd oczach pojawiła się irytacja.

- Kim pani jest? - Spojrzenie mężczyzny powędrowało do ich złączonych rąk.

- Nieważne. - Znów potrząsnęła dłońmi nieznajomego, aby skupić na sobie jego uwagę. - W tej chwili powinien pan tylko wiedzieć, że jest pan bardzo chory i musi pan leżeć w łóżku.

- Nie... nie mogę... muszę płynąć - potrząsnął głową, a na jego twarzy

pojawił się grymas. - Mogą mnie znaleźć. - jęknął i ścisnął mocno dłonie Samantha.

- Nie żyją... wszyscy... zamordowałem ich - mówił niskim, przerażającym głosem. - Te sukinsyny zasługiwały na to.

Samantha nie zwracała uwagi na słowa mężczyzny. Skoncentrowana była na tym, jak wyzwolić swoje dłonie z miazdzącego uścisku jego rąk. Już poprzednio zetknęła się z tym niespodziewanym przejawem siły u chorego. Jeśli mężczyzna wpadnie we wściekłość, nie da sobie z nim rady. Musiała go uspokoić. Współczucie zniknęło w zetknięciu z jego gniewem. Ręce, które teraz miażdżyły jej dłonie, mogły za chwilę powędrować do szyi. Zadrżała i z wysiłkiem stłumiła strach. Nie było czasu na panikowanie.

- Wszystko w porządku - powiedziała łagodnie.

- Chcę panu pomóc.

- Pomóc? - Na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia, a w chwilę potem ulgi. - To dobrze... potrzebuję pomocy... muszę płynąć.

Rozluźnił uścisk i Samantha odprężyła się nieco.

- Pomogę panu, ale teraz proszę do łóżka - mówiła.

- Musi pan odpocząć... chociaż trochę odpocząć. Proszę się nie martwić. Zajmę się wszystkim.

Słowa dziewczyny uspokoiły go i zaczął dźwigać się z podłogi. Kiedy dobrnęli do łóżka, Samantha drżała z wyczerpania. Oddychała ciężko i odczuwała zawroty głowy. Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad swoim samopoczuciem, ponieważ niepokoił ją stan zdrowia chorego. Znów pobladł, a na czole lśniły mu krople potu.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała.

- Tak. - Skinął głową. - Pić... gorąco tutaj. Samantha przypomniała sobie o zupie.

- Jeżeli obieca mi pan, że zachowa się spokojnie, przyniosę coś do picia - powiedziała.

Ponownie skinął głową.

- Niech się pan stąd nie rusza. - Podeszła do drzwi. - Proszę czekać, za moment wracam.

Szybko chwyciła kubek z zupą i szklankę wody. Nieznajomy potrzebował pożywienia. Pomyślała, że jego pragnienie to dobry znak.

- Proszę się nie ruszać. Już idę- zawołała.

Mężczyzna bez sprzeciwów pozwolił, aby go nakarmiła i napoiła. Woda ze szklanki spłynęła mu po brodzie, więc dziewczyna bez zastanowienia wytarła krople ręką. Kiedy przypadkowo dotknęła jego ust, otworzył je i ujął wargami jej palce. Ten niewinny, lecz bardzo intymny gest sprawił, że oblała ją gorąca fala i zmieszana szarpnęła się do tyłu.

- Czas spać - powiedziała o wiele ostrzej, niż zamierzała. Odkąd zobaczyła tego mężczyznę, czuła jakąś więź między nimi. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć, nie była to jednak najlepsza pora, aby się nad tym zastanawiać.

Oczy nieznajomego zasnuwały się mgłą, lecz nagle otworzył je i zmarszczył czoło.

- Kim pani jest? - zapytał.

- Nikim. - Popchnęła go leciutko. - Proszę się położyć i odpoczywać.

Po kilku godzinach Samantha nadal siedziała przy chorym. W pewnym momencie gwałtownie się poruszyła. Czuła, że osunęła się jej głowa i omal nie zapadła w sen. Gazeta, którą wzięta do czytania, spadła na podłogę. Dziewczyna pochyliła się, aby ją podnieść. Chciała zająć się czymkolwiek, żeby odpędzić ogarniającą ją senność. Nie miało znaczenia, że był to jakiś dziennik sprzed trzech dni. Pogrążona w cichej rozpacz, od śmierci babci nie interesowała się niczym. Nie czytała żadnych gazet, nie słuchała żadnych wiadomości. Nie miała pojęcia o bieżących wydarzeniach, nie wiedziała nawet, że zamordowano gubernatora Luizjany.

Wielki nagłówek na pierwszej stronie gazety informował: „Świadek cudem unika śmierci”. Obok umieszczono zdjęcie gubernatora oraz zdjęcie jego głównego przeciwnika, kongresmena Bobby'ego Landry. Dziewczyna przeczytała artykuł, którego autor w zawołany sposób sugerował, że kongresmen mógł wynająć płatnych morderców w celu usunięcia rywala. Wszystko to brzmiało trochę niejasno.

Samantha zadrżała z przerażenia, kiedy dotarł do niej sens opisanych wydarzeń. Trudno jej było uwierzyć, że gubernator został zamordowany, lecz jeszcze trudniej w to, że próbowano usunąć dziennikarza, który był naocznym świadkiem morderstwa.

Odłożyła gazetę i zaczęła myśleć o tym dziennikarzu. W artykule napisano, że gdzieś zniknął/ Zastanawiała się, gdzie może teraz być. Czy w drodze do jakiegoś bezpiecznego miejsca? A może już w jakiejś kryjówce w kraju lub za granicą? Myśl o tym przywołała wizję nieznaną, dalekich miejsc, fascynujących przygód i niebezpieczeństwa. Jak to jest, kiedy prowadzi się takie życie? Jej dni były takie zwyczajne. Najwyraźniejszymi wydarzeniami w życiu nauczycielki angielskiego są kłótnie na szkolnym boisku, pomyślała ze smutną ironią.

Przeciągnęła się i przetarła oczy. Łatwo mogła zrezygnować z niebezpieczeństw, ale egzotyczne podróże i przygody zawsze były dla niej czymś fascynującym.

Romans z Clarkiem należał już do przeszłości. Popęłniła banalny błąd - zakochała się w żonatym mężczyźnie i, co gorsza, uwierzyła w jego zapewnienia, że rozwiedzie się z żoną. Rzeczywistość okazała się jednak zupełnie inna. Żona zaszła w ciążę, on wrócił do niej, a Samantha pozostała sama - upokorzona i załamana.

Odsunęła od siebie te wspomnienia i wróciła myślami do babci. Poprzedniego dnia spotkała się z adwokatem, aby zapoznać się z treścią testamentu. Jako jedyna żyjąca krewna odziedziczyła dom w Pass Christian i pół miliona dolarów. Była oszołomiona i zaskoczona. Nie miała pojęcia, że babcia gromadziła jakieś pieniądze. Poproszony o wyjaśnienia adwokat rozpoczął długi wywód o papierach wartościowych, inwestycjach i ubezpieczeniu. Już po pierwszych zdaniach przestała słuchać, wspominała lata spędzone razem z babcią. Nie było jej źle, zresztą uwielbiała starszą panią. Jednak gdy przypomniała sobie wieczne oszczędzanie, nie była pewna, czy zdoła cieszyć się tymi pieniędzmi.

Dosyć już wspomnień, pomyślała i wstała nagle. Później zastanowi

się, co robić ze spadkiem. Nadszedł czas, aby zajrzeć do pacjenta. Podeszła do drzwi i zerknęła na mężczyznę. Spał spokojnie. Zegarek wskazywał drugą w nocy. Samantha czuła się całkowicie wyczerpana. Pragnęła tylko snu. Chociaż godzinkę, pomyślała.

Tuż obok znajdowała się druga kajuta, z podwójnym, wygodnym łóżkiem. Przecież nic się nie stanie, jeżeli trochę odpocznę, przekonywała samą siebie. Gdyby coś się działo, na pewno usłyszy. Żeby uspokoić sumienie, sprawdziła choremu temperaturę, po czym jak lunatyk przeszła do sąsiedniej kabiny. Przykryte miękkim, granatowym kocem łóżko wyglądało tak zachęcająco, że nie mogła się oprzeć.

- Aaa... - jęknęła z zachwytem, kiedy wyciągnęła się na miękkim pościeliu. Tak dobrze było leżeć. Tylko kilka minut, pomyślała.

Poczuła, że coś jest nie w porządku. Miało to chyba związek ze słowami nieznajomego, ale była zbyt zmęczona, żeby to analizować. Potrzebowała snu, chociaż odrobinę snu. Pomyśli o tym... kiedy już odpocznie.

2

W chwilę po nagłym przebudzeniu Marc Dureaux nie wiedział, gdzie się znajduje. Rozejrzył się po niewielkim pomieszczeniu. Czyżby był na „Jenny”? Zastanawiał się, jak i kiedy dostał się na pokład.

Patrzył nieruchomo na sufit i usiłował się skoncentrować. Pamiętał, że słyszał wcześniej jakieś niewyraźne głosy, lecz uznał, że musiało to być efektem snów w gorączce.

Kiedy wreszcie pamięć wróciła, stało się to tak nagle, że Marc aż jęknął. Obrazy, które pojawiły się przed oczami, nabrały sensu, jednak głosy nadal pozostały tajemnicą.

Poczuł, że musi natychmiast wstać i płynąć, jednak gdy spróbował podnieść głowę, przed oczyma zawirowały mu czarne plamki. Rozluźnił mięśnie i zamrugał kilkakrotnie. Spokojnie, powiedział sobie, poczekaj parę minut i spróbuj jeszcze raz. Zastanawiał się, ile czasu upłynęło od chwili, gdy zakotwiczył. Godziny? Dni? Nie miał pojęcia. Ostatnim zachowanym wspomnieniem było uczucie straszliwego wysiłku podczas nocnej żeglugi. Cały czas zasypiał przy sterze. Był zmęczony. Bardzo zmęczony i chory.

Centymetr po centymetrze, Marc zdołał unieść się na tyle, że prawie siedział na łóżku. Podparł się ramieniem i ostrożnie zsunął nogi na ziemię. Całe ciało miał obolałe, każdy ruch przypominał mu o tym, jak bardzo był słaby. Z niezmordowanym uporem starał się wstać. Ktoś mógł przecież zauważyć „Jenny”. Gdyby go odnaleźli, jego życie nie byłoby warte złamanego grosza.

Przez kilka minut siedział nieruchomo na brzegu łóżka i rozmyślał o wszystkim, co się wydarzyło. Uświadomił sobie, jak bardzo potrzebny był pośpiech w działaniu. To była walka o przetrwanie.

Jeśli tylko uda mu się dostać na pokład i postawić żagiel, to resztę zrobi za niego „Jenny”. Potrzebował wyłącznie otwartego morza i

przestrzeni, aby móc odpłynąć jak najdalej stąd.

Godzinę później Marc był już w kokpicie. Pochylił się nad sterem i starał się wyprowadzić jacht na właściwy kurs. Kilka spraw pozostawało wciąż nie wyjaśnionych.

Nie wiedział, skąd wzięły się mokre ręczniki w jego kabinie. Nie pamiętał także, żeby jadł cokolwiek, a obok łóżka stał brudny kubek z resztką zupy pomidorowej. W tej chwili jednak nie to zaprzętało jego uwagę. Teraz najważniejsze było, aby złapać wiatr. Ścisnął mocniej ster, żeby pewniej utrzymać się na nogach.

Płynął na południowy wschód, przed sobą miał widowiskowy wschód słońca. Podziwiał promienie migoczące na falach niczym rozsypane diamenty. Był wdzięczny losowi za słoną bryzę, która dęła w żagle „Jenny” i chłodziła jego ciało.

Powoli wracały mu siły, a wraz z nimi także pamięć. Przypomniawsobnie dokładnie okoliczności, które spowodowały jego obecną sytuację.

Dwa dni temu telefon zadzwonił o szóstej trzydzieści rano. Może zresztą były to trzy lub cztery dni, nie znał przecież dzisiejszej daty. Kilka tygodni przed tym telefonem słyszał różne plotki. Jedynym Uczącym się przeciwnikiem gubernatora Johna Henry'ego Jacksona w wyborach stanowych był młody kongresmen z Lafayette w Luizjanie. Informator Marka, podejrzany mały człowieczek, który pomagał mu już przy innych sprawach, sugerował, że ludzie kongresmena zawarli umowę z gubernatorem. Wkrótce miało się odbyć spotkanie w sprawie zapłaty.

Marc przypomniał sobie, jak udało mu się odnaleźć mały park na uboczu, w którym miało odbyć się to spotkanie. Ukrył się w pniu spróchniałego dębu i czekał. Pierwszy pojawił się gubernator, zaraz potem dwaj inni mężczyźni. Natychmiast rozpoczęła się kłótnia. Kiedy gubernator zaczął wykrzykiwać coś o oszustwie, jeden z mężczyzn wyciągnął pistolet i dwukrotnie nacisnął spust. Marc przymknął oczy. Płynąca z Jacksona krew powoli tworzyła sadzawkę. Boże, jak dużo było tej krwi.

Głuche stuknięcie wyrwało go z rozmyślań. Ktoś był na dole.

Samantha przebudziła się z uczuciem, że przemieszcza się wraz z

całym otoczeniem. Słońce wpadało do kajuty przez małe okienko nad koją. Minęło kilka chwil, zanim przypomniała sobie, gdzie się znajduje i to odkrycie sprawiło, że wpadła w panikę.

Jacht płynął. To niemożliwe, pomyślała. Zbyt dobrze jednak znała to uczucie kotysania się, ponadto słyszała szum wody uderzającej o łódkę. Była w pułapce. Czowała, jak zamykają się nad nią ściany.

- Muszę się stąd wydostać - wyszeptwała.

W pośpiechu wyskoczyła z łóżka i natychmiast straciła równowagę. Wyciągnęła rękę, aby uchwycić się czegoś, lecz odbiła się o ścianę i wylądowała na podłodze. Nie chcąc narażać się na powtórny upadek, podpełzała w stronę schodków. Musiała wydostać się na górę. Niech to będzie tylko zły sen, modliła się. Niemal nieprzytomna dotarła w końcu na pokład.

- Kim pani jest, u diabła?

Samantha uniosła głowę i ujrzała rozzłoszczonego nieznajomego.

- Zadałem pani pytanie. - Patrzył na przerażoną kobietę. Kim była i w jaki sposób znalazła się na jego jachcie?

Samantha zignorowała go i tylko mocniej ścisnęła drzwiczki od włazu. W panice spojrzała na otaczającą ich wodę. Żadnego lądu w pobliżu, tylko woda - woda i błękitne niebo.

Co ja mam teraz robić, pomyślała. Całe jej ciało drżało w napięciu. Przestań, powiedziała sobie, przestań o tym myśleć. Skoncentruj się na czymś innym, na czymkolwiek. Odetchnęła głęboko, ze wszystkich sił starając się odprężyć.

Przez dłuższą chwilę nie odzywała się, a Marc obserwował ją uważnie. Trzymała się drzwi tak kurczowo, jak gdyby od tego zależało jej życie. Patrzyła na niego, ale chyba w ogóle go nie dostrzegła. Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy, jak wiele emocji można dostrzec w oczach drugiego człowieka. Oczy dziewczyny, najpierw dzikie i przerażone, powoli stawały się chłodne i przytomne. Patrzyła na niego w napięciu.

- Proszę odstawić mnie na brzeg - zażądała. - Nie miał pan prawa tego robić. To jest... to jest porwanie.

Marc osłupiał ze zdumienia.

- Porwanie? - Zmrużył oczy. - Pani chyba oszalała. To jest mój jacht, do cholery, a pani jest pasażerem na gapę, i to jest karalne, wie pani? Karalne!

Co za bezczelna kobieta, pomyślał. Nie spuszczał z niej wzroku. Długie, zmierzwiłone przez wiatr blond włosy okalały twarz, z której z wściekłością patrzyły na niego zielone oczy.

Samantha otworzyła usta, aby zaprzeczyć tym oskarżeniom, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Powinna była przewidzieć, że stawianie żądań nie przyniesie żadnego efektu. Ktoś tak bardzo chory, kto jednak znalazł w sobie siłę, aby wejść na pokład i sterować, z pewnością nie pozwoli się zastraszyć. Jednak musiała go przekonać, aby odstawił ją z powrotem na brzeg. Nie mogła wciąż udawać przed sobą, że ląd jest w pobliżu, a ona wcale nie znajduje się gdzieś na środku zatoki... nie, nie będzie o tym myślała. Może mężczyzna okaże się wrażliwy na jej błagania.

- W porządku, przesadziłam. Przepraszam - powiedziała cicho. - Czy mógłby pan zawrócić i odwieźć inną na brzeg?

Marc przejechał palcami po włosach.

- Dlaczego ja? - mruknął. Sytuacja wyglądała wręcz nieprawdopodobnie. Najpierw był świadkiem morderstwa i obiektem pościgu, a teraz tkwił na środku zatoki z jakąś zupełnie mu nieznaną kobietą.

- A więc?

Przymknął oczy. Kiedy je otworzył, popatrzył na nią z uwagą.

- Zastanowię się nad tym - powiedział w końcu. - Najpierw jednak chciałbym się dowiedzieć, kim pani jest i w jaki sposób znalazła się pani tutaj.

To już lepiej, pomyślała Samantha. Odeszła od drzwiczek i usiadła naprzeciwko Marka. Zastanawiała się, czy może mu zaufać.

- Czy odstawi mnie pan na brzeg, jeżeli odpowiem na wszystkie pytania?

- Powiedziałem już, że się zastanowię. Samantha zawahała się, ale nie

miała wyjścia, jeżeli

nie chciała płynąć do brzegu o własnych siłach.

- Zgoda - powiedziała powoli. - Nazywam się Samantha Bradford.

Zamilkła nagle.

- I co dalej? - ponaglił.

- Widziałam pana łódkę zakotwiczoną przez parę dni i zaniepokoiłam się. - Wyczuwała, że mężczyzna jej nie wierzy. - Takie jachty nie kotwiczą tak długo na nie strzeżonych wodach. Pomyślałam więc, że albo jacht jest opuszczony, albo jego właściciel ma poważne kłopoty.

- To jednak wcale nie wyjaśnia, w jaki sposób dostała się pani na pokład.

- Zaraz do tego dojdę. - Spojrzała na niego. - Jeden z moich przyjaciół zajmuje się wypożyczaniem katamaranów. Przekonałam go, żebyśmy tu przyплыnęli.

- I gdzie jest ten pani przyjaciel? - Teraz przynajmniej wiedział, że nie miał halucynacji. Tajemnicze głosy z pewnością należały do tej pary.

- Ja... ja nie wiem. Odplynął.

- Mój Boże, czy to znaczy, że on tak po prostu zostawił panią i odplynął?

- Nie - zaprzeczyła gorąco. - Tego na pewno by nie zrobił. Poptynał po pomoc. Znaleźliśmy pana mającego w gorączce, radio było uszkodzone i... zresztą to nieważne. Powiedziałam wszystko, o czym chciał pan wiedzieć. Czy możemy teraz płynąć do brzegu?

Marc potrząsnął przecząco głową. Poczł się niezręcznie, kiedy zrozumiał, że kobieta chciała mu pomóc. Nie mógł jednak powrócić na brzeg, to było zbyt ryzykowne. Możliwe, że zorientowali się już, że uciekł na „Jenny” i rozpoczęli poszukiwania jachtu.

- Nie możemy - powiedział. - Przykro mi.

- Co to znaczy „nie możemy”? - Samantha zacisnęła dłonie i z całej siły wbiła sobie paznokcie w ciało. - Przecież mówił pan, że wrócimy.

- No cóż, nie możemy.

Marc z uporem zacisnął szczęki, ale Samantha mogłaby przysiąc, że dostrzega smutek w jego oczach.

- Dlaczego nie? - zapytała i poczuła jednocześnie niepokój. Wiedziała, że powinna sobie coś przypomnieć.

Gość, o czym nieznajomy mówił tej nocy, a ona była zbyt zmęczona, aby zwrócić na to uwagę.

Chyba po raz pierwszy w życiu Marc nie potrafił znaleźć odpowiedniego wyjaśnienia. Dotychczas wypowiedzi przychodziły mu bez najmniejszego trudu. Wszystko przychodziło mu łatwo. Zbyt łatwo i zbyt szybko. Całe jego życie wydawało mu się w tej chwili trochę nierealne, niczym jakaś bajkowa opowieść. Realne było tylko to, co działo się teraz. Kiedyś już czuł podobny strach, podczas krótkiej służby w marynarce. Ale wtedy tak naprawdę nie był w akcji, nie widział zabijanych ludzi, ani sam nie był narażony na postrzelenie. Wciąż nie mógł uwierzyć, że zabito dwóch policjantów przydzielonych mu do ochrony, a także dwóch innych, którzy mieli prowadzić ciężarówkę. To, że zginęli niejako w jego obronie, napawało go nieokreślonym poczuciem winy, z którym nie potrafił sobie poradzić. Teraz odnosił wrażenie, że stoi przed nim kolejna ofiara jego prześladowców. Nie mógł narażać na niebezpieczeństwo życia tej młodej kobiety. Im mniej będzie wiedziała, tym lepiej dla niej.

Marc przesunął się w kierunku Samantha. Patrzyła na niego tak, jak gdyby ujrzała jakieś monstrum. Z jej zielonych oczu wycierał przeraźliwy strach. Był to jednak inny rodzaj strachu niż ten, który dostrzegł u niej, gdy pojawiła się na pokładzie. Czuł wtedy instynktownie, że ten strach nie dotyczy jego osoby. Prawie nie zwróciła na niego uwagi. Teraz jednak odbierał jej strach podobnie, jak drapieżniki wyczuwają przerażenie swoich ofiar. Mimo poczucia niezastężonej krzywdy, uznał, że nie należy niczego wyjaśniać. Lepiej, żeby się mnie bała, niż leżała gdzieś martwa, pomyślał.

- Nie odstawię pani na brzeg - powiedział głośno. - Nie mogę podać powodów, jeszcze nie teraz. Proszę mi uwierzyć, że to dla pani dobra.

Samantha nie wierzyła w ani jedno jego słowo. Była przekonana, że jej bezpieczeństwo w ogóle go nie obchodzi. W pamięci pojawiły się strzępy zdań zasłyszanych ubiegłej nocy, coś o tym, że nie żyją, coś o

morderstwie. Stłumiła chęć krzyku i odwróciła wzrok. Zastanawiała się, czy mężczyzna zauważył jej lęk. Chciała go przekonać, że nie czuje żadnego strachu. Nie mogła dopuścić do tego, aby domyślił się, że zrodziły się w niej jakieś podejrzenia.

Próbowała przypomnieć sobie, co dokładnie powiedział. Spojrzała na niego i szybko odwróciła wzrok. Nie wyglądał na mordercę... ale jak właściwie wygląda morderca? Nie spotkała dotąd żadnego. A przecież tak niedawno współczuła mu, litowała się nad nim. Starła się nie myśleć o tym, jak robiła mu okłady, gdy leżał nieprzytomny. Usiłowała skoncentrować się na tym, co mówił w gorączce. Coś o sukinsynach zasługujących na śmierć. Przestań, błagała samą siebie w duchu, teraz nie czas na strach. Lepiej szybko coś wymyśl i uspij jego czujność.

Jeżeli będzie udawała, że nic nie wie, niczego nie podejrzewa, może mężczyzna uzna, że nie stanowi ona żadnego zagrożenia. W końcu kiedyś skończą się zapasy żywności i wtedy będą musieli przybić do brzegu. Jeżeli tylko dobrze odegra swoją rolę, on z pewnością ją puści. Teraz musi tylko w przekonujący sposób wyjaśnić swoje przerażenie. Może kiedy opowie mu o nim, będzie to stanowiło argument przemawiający na jej korzyść, zwłaszcza jeśli mężczyzna uzna, że to dodatkowy kłopot w ich położeniu.

Samantha rozluźniła napięte mięśnie twarzy i nerwowo przełknęła ślinę.

- Proszę pana, naprawdę jest mi przykro z powodu tej sytuacji - zaczęła. - Niczego nie musi mi pan wyjaśniać. Po prostu wpadłam w panikę na skutek mojej fobii. Wszystko jest w porządku, dopóki o tym nie myślę. Częściowo mogę to nawet kontrolować.

Zerknęła na nieznajomego. Czy jej uwierzył? Przecież w końcu mówiła prawdę.

Nagle przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Mężczyzna zrobił się upiornie bladym i runął przed siebie. Jacht zakotłosał się gwałtownie. Samantha bez zastanowienia przeskoczyła przez ciało i schwyciła za ster. Nieznajomy podczołgał się w kierunku siedzenia.

- Przepraszam - powiedział z trudem. - Ciągle jeszcze jestem słaby...

zaraz mi przejdzie... kręci mi się trochę w głowie.

Samantha zacisnęła dłoń na sterze i skierowała jacht na poprzedni kurs. Nie stała za sterem odkąd ukończyła piętnaście lat. To jest jak jazda na rowerze, pomyślała. Jeżeli człowiek opanuje tę umiejętność, nigdy już tego nie zapomni. Gdyby tylko wiedziała, jaki kurs obrał mężczyzna, być może... Samantha zerknęła na niego ukradkiem. Nadal był niezwykle blady, ale już wiedziała, że nie uda się żaden podstęp. Nawet gdy majaczył w gorączce, miał tę niezwykłą siłę. Nie dałaby sobie z nim rady.

- Przejmuję ster - usłyszała.
- Jest pan pewien... - zawahała się.
- Jestem.

Ton jego głosu wykluczał jakikolwiek sprzeciw. Samantha wycofała się w milczeniu. Z tymi ciemnymi zmierzwionymi włosami, kilkudniowym zarostem i hardym wyrazem twarzy przypominał pirata. Do całości obrazu brakowało tylko czarnej przepaski na oku. Nagle nasunęło się jej skojarzenie, że tak jak pirat mógł ją w każdej chwili wyrzucić za burtę i nikt by się o tym nie dowiedział, nikt by nawet niczego nie podejrzewał... poza Tommym. Ale Tommy nie wrócił. Samantha poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Nie chciała myśleć o tym, dlaczego nie wrócił. Zamrugowała kilkakrotnie, aby powstrzymać płacz.

- Mówiła pani coś o swojej fobii. Co to za fobia? Samantha nie miała wielkiej ochoty opowiadać o czymś, co było jej słabością, ale uznała, że te wyjaśnienia mogą jej pomóc.

- Kiedy miałam piętnaście lat, moi rodzice zginęli w wypadku na jachcie - zaczęła. - Wypłynęliśmy na kilka dni. Nic nie zapowiadało nieszczęścia, ale nagle rozszalał się niespodziewany sztorm.

- Była pani wtedy razem z nimi? - przerwał.

- Tak... na dole, przymocowana do koi. To było okropne, wokół tylko ciemność i przerażające odgłosy. Od tego czasu boję się, boję się przebywać na otwartych wodach. Wszystko jest w porządku, dopóki widzę ład i staram się o tym nie myśleć. Dzisiejszego ranka... to było tak

niespodziewane... wpadłam w popłoch.

- Ale teraz już wszystko w porządku?

Spojrzała na niego z uwagą, zaskoczona tonem, jakim zadał to pytanie. Wyglądał na przejętego. Szybko jednak zreflektowała się. Pobożne życzenia, pomyślała z ironią. Pewnie obawiał się, że zacznie mu sprawiać kłopoty.

- Tak - odpowiedziała krótko.

- Mogę panią pocieszyć, że na otwartych wodach przebywać będziemy tylko trzy czy cztery dni. Oczywiście, jeśli wiatr się utrzyma.

Samantha zerknęła trwożliwie na wodę i szybko odwróciła spojrzenie. Czuła, że w gardle rośnie jej wielka kula. Trzy lub cztery dni. Nie była pewna, czy wytrzyma tak długo. A jeśli nawet, to co? Czy ten człowiek naprawdę ją później wypuści?

- Proszę uwierzyć, że jest mi przykro - odezwał się Marc. - Zwłaszcza, że próbowała mi pani pomóc. W tej chwili mogę tylko zagwarantować, że wróci pani do domu cała i zdrowa. To obiecuję, nie mogę jednak teraz zawrócić i lepiej, żeby nie wiedziała pani dlaczego. Wiem, że być może proszę o zbyt wiele. - Zawahał się. Czy to, co mówił, miało w ogóle jakiś sens? - Musi pani mi zaufać.

Samantha nie wiedziała, czy był szczerzy. Nie miała jednak innego wyjścia, musiała udawać, że przyjęła wszystkie wyjaśnienia. Ale zaufać? Za żadne skarby nie zaufała mu.

- Czy pani rozumie, co do pani mówię?

- Chyba nie mam żadnego wyboru, prawda? - zerknęła na niego.

- Nie... chyba nie... z zakłopotaniem wzruszył ramionami. - Czy nie moglibyśmy zawrzeć rozejmu?

- Cóż, dlaczego nie - odpowiedziała ponuro i ruszyła w kierunku schodów.

- Dokąd pani idzie? - Ton jego głosu sprawił, że zatrzymała się gwałtownie.

- Myślałam, że zawarliśmy rozejm - odpowiedziała z ironią.

- Tak, ale...

Samantha zdecydowała, że nie będzie prowadziła żadnych gier. Nie

da mu tej satysfakcji, niech sobie nie myśli, że tak łatwo ją oswoić. Spojrzała na niego gniewnie.

- Nie wiem, jak pan, ale ja jestem głodna - rzuciła. - Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, zejść na dół.

Tak naprawdę wcale nie była głodna. Nie miała też najmniejszej ochoty schodzić na dół, ale była tak dezorientowana, że nie wiedziała co ma robić. Musiała pomyśleć... z dala od... Boże, nie znała nawet jego imienia... i wcale nie chciała znać. Im mniej wiedziała, tym większe szanse miała na powrót do domu.

- W porządku - przemówił w końcu Marc. - Ja też bym coś zjadł, gdyby zechciała pani przygotować.

- Jasne. - Wzruszyła ramionami. Wyraz napięcia powoli zniknął z jej twarzy. - Czym mogę panu służyć?

- Stek, średnio wysmażony, z pieczonymi ziemniakami i sosem.

- No oczywiście - powiedziała z przekąsem. - Zaraz to panu wyczaruję. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Drażnił się z nią i uśmiechał.

Marc przyglądał się, jak Samantha znika na dole, po czym przestał się uśmiechać. Nagła zmian jej nastroju wydała mu się mało autentyczna, chociaż właściwie nie wiedział dlaczego. Uwierzył w tę jej historię o fobii. Nie wymyśliłaby tego, ponadto naprawdę się bała. Nie, to było co innego. A to jedzenie? Niepotrzebnie prosił, żeby mu coś przygotowała, przecież mogła go otruć. Zaczął się zastanawiać, gdzie właściwie przechowywał lekarstwa, lecz nie mógł sobie przypomnieć. Będzie musiał być ostrożny.

Tymczasem Samantha stała nieruchomo pod pokładem, mocno trzymając się szafki. Znajome uczucie dławienia w gardle przeszkadzało jej oddychać.

- Zrelaksuj się, do diabła! - wyszeptała do siebie.

Musi głęboko oddychać i skoncentrować się na czymś innym. Przed oczami stanęła jej twarz nieznanego i dziewczyna zakłęta. Jaka była głupia! Dlaczego nie posłuchała Tommy'ego? Gdyby wezwali Straż Przybrzeżną, nie byłoby jej tutaj. Puściła szafkę i powoli przeszła w kierunku podręcznych lodówek.

Czy nieznajomy był mordercą? Instykt podpowiadał jej, że nie, lecz rozum podsuwał różne wątpliwości. Mogła się jednak mylić w swoich podejrzeniach. Może to, co mówił w gorączce, było tylko nieprzytomnym majaczeniem, bez żadnego związku z jego osobą. W takim razie dlaczego nie chciał odstawić jej na brzeg?

Snując rozważania wyciągnęła szynkę z lodówki i mocno trzasnęła drzwiami. Przeszukała szafki w poszukiwaniu chleba i znalazła bochenek za puszkami z zupą. Rozmyślanie o tym człowieku doprowadzało ją do rozpacz. Musiał istnieć jakiś sposób na wydostanie się stąd. Ale jaki? Mężczyzna był zbyt silny, aby mogła go pokonać, chyba że zaatakowałaby go z zaskoczenia. Przebiegł ją dreszcz po plecach na myśl o takiej możliwości. Jeszcze nigdy nie uderzyła nikogo. A co będzie, jeżeli uderzy zbyt mocno i niechcący go zabije? Nie, nie będzie ryzykować. Poza tym mało prawdopodobne było, żeby odszedł od steru.

Samantha wsunęła plasterki szynki między pokrojone kromki chleba. Gdyby miała proszki nasenne, chętnie by mu je podsunęła. Tylko co potem? Nie miała pojęcia, jaki kurs obrał, nie znała się też na nawigacji. Mogłaby tak żeglować dzień za dniem i nigdy nie przybiłaby do brzegu. Ponownie poczuła pulsowanie w głowie i ucisk w gardle. Nie pozostawało jej nic innego, jak cierpliwie czekać.

Po kilku minutach weszła na schodki z talerzem pełnym kanapek. Zatrzymała się w połowie drogi, kiedy uświadomiła sobie, że pomimo wszystkich kłopotów z nieznajomym objawy fobii nie były tak intensywne jak rano, po przebudzeniu. Żeby nie zastanawiać się nad tym dłużej, resztę drogi przebyła biegiem. Teraz powinna myśleć tylko o znalezieniu wyjścia z tej sytuacji.

Kiedy już znalazła się na pokładzie, przybrała radosny, zbyt radosny wyraz twarzy.

- Przykro mi, ale steków już nie ma - powiedziała. - Musi pan zadowolić się kanapkami z szynką.

- Dziękuję - Marc wziął od niej tacę. Patrzył na nią badawczo. - Długo była pani na dole. Czy pani... źle się poczuła? A teraz już w porządku?

- Lepiej niż kiedykolwiek - przytaknęła pośpiesznie.

- To dobrze. - Marc postawił talerz obok siebie, a kiedy Samantha się odwróciła, podniósł wierzchnią kromkę i starannie obejrzał szynkę. Dziewczyna wydawała mu się nienaturalnie radosna, ale wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Ugryzł kęs kanapki i żuł powoli. Nie zauważył niczego podejrzanego w smaku, szynka była pyszna. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo był głodny. Błyskawicznie zjadł kanapkę i sięgnął po następną.

- Myślałam o tym, żeby dodać trochę trucizny, wie pan?

Marc wbił wzrok w dziewczynę i zmusił się do przełknięcia kolejnego kęsa. Wiedział, że mówiła poważnie i uświadomiło mu to, że powinien być ostrożny.

RRS

3

Samantha Bradford zupełnie nie pasowała do swojego imienia. Spojrzenie Marka objęło kobietę, która leżała na dachu kabiny i starała się skorzystać z ostatnich promieni słońca. Widział, jak sprężyste jest jej ciało. Gra mięśni przy każdym ruchu dziewczyny wymownie o tym świadczyła. Był przekonany, że Samantha podtrzymuje formę przy pomocy regularnych ćwiczeń na siłowni. Spojrzał na jej długie, brązowe nogi.

Takie nogi mogłyby się owinąć dookoła bioder mężczyzny, pomyślał i błyskawicznie odwrócił wzrok.

Jak wiele czasu minęło od fizycznego kontaktu z kobietą, skoro para zgrabnych nóg wzbudzała w nim takie refleksje. Marc potarł zarośnięty policzek i pomyślał o Angelique. Zawsze nalegała, aby starannie się ogolił, zanim zaczną się kochać. Po jakimś czasie stało się to wręcz nieznośnym rytuałem - wszystko starannie zaplanowane, bez możliwości jakiegokolwiek improwizacji. Przypominało to raczej żmudny obowiązek, a nie miłosne uniesienia.

Marc ponownie zerknął na dziewczynę. Nie wyglądała jak inne Samanthy, była również fizycznym przeciwieństwem Angelique. Była po prostu sobą. Opowiedziała mu o rodzicach i o swoim lęku, ale nadal stanowiła dla niego kompletną zagadkę. Nie wiedział, czy miała rodzinę lub bliskich, którzy za nią tęsknili, a teraz, zaniepokojeni, podjęli poszukiwania. A ten przyjaciel od katamaranów? Co się z nim stało?

Czy dziewczyna była samotna, zamężna, czy też rozwiedziona, tak jak on wkrótce będzie? Pytania można było mnożyć w nieskończoność. Marc zerknął na żagiel i odruchowo poprawił ster.

Jego rozwód uprawomocni się dopiero w przyszłym miesiącu, ale w praktyce małżeństwo rozpadło się już dawno temu. Żałował tylko, że to nie on był inicjatorem rozwiązania tego związku. Jeszcze w czasie separacji sądził, że wina leży po jego stronie, ale okazało się, że

Angelique zrobiła z niego głupca. Nawet teraz wciąż jeszcze czuł upokorzenie, gdy przypominał sobie, jak podczas jednej z awantur wykrzyczała mu, że jest w jej życiu inny mężczyzna. Na szczęście już niedługo nie będzie musiał mieć z nią więcej do czynienia. Ktoś inny przejmie ten wątpliwy zaszczyt.

W chwili obecnej jednak musiał mieć do czynienia z Samantha Bradford. Chciał wiedzieć o niej jak najwięcej, dla dobra ich obojga. Było jednak wątpliwe, czy zechce ona udzielić mu jakichkolwiek informacji, jeżeli sytuacja będzie nadal tak napięta. Po incydencie z kanapkami nie odezwała się do niego ani słowem.

Ostro pomarańczowe słońce powoli zniżyło się do linii horyzontu. Minęło długie, pełne napięcia popołudnie, nadchodziła jeszcze dłuższa noc. Nawet gdyby znajdował się u szczytu możliwości fizycznych, żeglowanie dniem i nocą było zbyt wyczerpujące. Wiedział, że nie poradzi sobie. Musiał w końcu podjąć decyzję. Spojrzał na Samanthę i uśmiechnął się widząc, jak próbuje zejść z daszku. Zrobiła niezadowoloną minę i ostrożnie dotknęła ramienia.

- Za dużo słońca? - zapytał. Wysunęła z uporem szczękę i rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. - Na otwartych wodach musi być pani bardzo ostrożna. - Patrzył, jak dziewczyna zmierza w kierunku schodków prowadzących na dół.

- Jeżeli idzie pani na dół, to może zrobi mi pani kubek kawy. Chyba jest tam jeszcze jakaś neska.

Zatrzymała się i popatrzyła na niego.

- I jeszcze coś - dodał. - Czy może pani przygotować jakieś jedzenie, oczywiście poza tymi kanapkami z trucizną? Potrafi pani chyba gotować, prawda?

Kiedy Marc zobaczył jej minę, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Zdecydowanie nie lubiła słuchać żadnych poleceń. Jednak nawet jej złość była lepsza niż to milczenie.

Samantha zatrzymała się, kładąc wyzywająco ręce na biodrach.

- Jeszcze jakieś rozkazy, kapitanie? - zapytała szyderczo.

Marc zawahał się.

- Na razie to wszystko, ale być może później poproszę panią, żeby mnie zastąpiła przy sterze.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Zaufałby mi pan? - wykrztusiła.

- To nie jest kwestia zaufania, tylko konieczność. Zgodziłaby się pani?

- Nie jestem pewna.

- Nie jest pani pewna, że to konieczność?

- Nie - potrząsnęła głową. - Nie jestem pewna, czy poradziłabym sobie.

- Oczywiście, że poradzi pani sobie. To nie jest trudne. Poza tym, poprzednio całkiem nieźle pani poszło.

Lepiej niż nieźle, pomyślał, w dodatku mając taki uraz. Teraz było to również jedynym wyjściem. Nie był jednak pewien jej zgody, zwłaszcza że nie chciał odstawić jej na brzeg.

- Nie boi się pan, że popłynę w kierunku lądu? Marc roześmiał się głośno.

- Nawet gdyby pani próbowała, dotarcie do niego zajęłoby około trzech do czterech godzin żeglowania. Nie zamierzam spać aż tak długo. A gdyby miała pani jakieś inne pomysły, uprzedzam, że ostrożnie śpię.

Resztki energii opuściły Samanthę. Powinna była przewidzieć, że mężczyzna wszystko przemyśli i nie zostawi jej żadnego pola do działania. Mogła tylko czekać na odpowiednią okazję. Nie ufała temu człowiekowi, chociaż w jego zachowaniu nie dostrzegła żadnego niebezpieczeństwa. Nie groził, nie dyktował żadnych warunków. Milczała jeszcze chwilę, chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że on ją obserwuje i czeka na odpowiedź.

- Nie musi się pan obawiać - wymamrotała w końcu.

- Słucham? Przełknęła ślinę.

- Powiedziałam, że nie musi się pan niczego obawiać - powtórzyła.

- To dobrze. Wiedziałem, że się pani zgodzi. Skoro już mamy to za sobą, odpowie pani na moje poprzednie pytanie?

- Jakie pytanie?

- Potrafi pani gotować? - Znow nie mógł powstrzymać uśmiechu,

kiedy dostrzegł, jak się spięta. Spodziewał się takiej właśnie reakcji i nie doznał rozczarowania. Samantha zacisnęła mocno usta, a jej zielone oczy zwały się w błyszczące szparki. Marc zastanawiał się, dlaczego tak go bawi drażnienie tej dziewczyny.

Samantha nie odpowiedziała, tylko odwróciła się i z godnością, na jaką było ją stać w tym skąnym stroju, powoli zeszła na dół. Dopiero tam pozwoliła sobie na głośne trzaskanie drzwiczkami od szafek i to przyniosło jej częściową ulgę. Gdy czekała, aż zagotuje się woda, stwierdziła, że jest głodna. Świadomość ta znakomicie poprawiła jej samopoczucie. Sypała przyprawy do podgrzewanej wołowiny z przekonaniem, że przygotowywanie posiłku nie ma nic wspólnego z tym facetem. Robi to tylko dla zaspokojenia własnego głodu.

Po jedzeniu Samantha uspokoiła się i nagle zdała sobie sprawę, że nie czuje zwykłego ucisku w gardle. Zmyła naczynia, resztę potrawy zostawiła w piecyku, po czym wróciła na pokład.

Była zaskoczona zmianą, jaką ujrzała w mężczyźnie. Prawie leżał na sterze. Nawet dogasające światło dnia nie było w stanie ukryć bladości jego twarzy. Czy znowu powróciła wysoka gorączka? Gdy z wolna podchodziła do niego, ogarnął ją strach.

- Zostawiłam panu jedzenie na dole. Może pan tam pójdzie? - Instynktownie chciała dotknąć jego czoła, ale zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że nie podobałby mu się ten gest. Zamiast tego chwyciła za ster.

- Wiatr jest stały, nie powinno być żadnych kłopotów - powiedział Marc i z ulgą przekazał jej kontrolę nad sterem. - Proszę tylko patrzeć na kompas i wołać mnie, gdyby coś się działo.

Samantha zarejestrowała w pamięci położenie wskazówek i skinęła głową. Strach, że nie poradzi sobie z jachtem, ustąpił miejsca obawie o nieznanego. Szedł powoli i niepewnie. Wstrzymywała oddech, dopóki nie zniknął na dole.

Marc dotarł do kuchni i opadł na krzesło oddychając ciężko z wyczerpania. Przymknął oczy i objął rękami głowę, czekając, aż miną zawroty. Mocny aromat kawy wypełniał całe pomieszczenie. Może

poczułby się lepiej, gdyby coś zjadł, ale najpierw musi trochę odpocząć. Przez ostatnią godzinę był u kresu wytrzymałości.

Po dwóch godzinach Samantha zaczęła się niepokoić, ale wahała się, czy wołać mężczyznę. Jeżeli nadal nie spał, nie zamierzała go budzić, przynajmniej jeszcze nie teraz. Lecz jeśli stracił przytomność i upadł raniąc się? Może wykrwawia się na śmierć. Kiedy już zdecydowała się sprawdzić, niespodziewanie ukazał się w drzwiach. Odetchnęła z ulgą. Wyglądał o wiele lepiej. Ruszał się pewniej i nie był już tak upiornie blady.

Nie wyglądało na to, żeby natychmiast zamierzał przejąć ster. Usiadł koło dziewczyny i zerknął na żagiel.

- Trzymamy kurs?

- Tak. - Podążyła za jego spojrzeniem. W napięte płótno dał orzeźwiający wiatr. - Prowadzi się fantastycznie.

- Kto nauczył panią żeglować?

- Mój ojciec. - Rysy jej twarzy złagodniały na to wspomnienie.

- Ciągle pani za nim tęskni?

- Czasami. Minęło już tyle czasu.

- Pani ojciec... - powiedział powoli Marc. - I od tamtego czasu nigdy pani nie sterowała?

- Nie.

Mówiła pani, że miała piętnaście lat, kiedy zginęli rodzice. Kto się panią zajmował?

Samantha zacisnęła dłonie na sterze. Czy ten człowiek próbował nawiązać z nią rozmowę, czy też prowadził dyskretne dochodzenie? Jeśli się dowie, że nikt na nią nie czeka, uzna, że może ją usunąć bez żadnych konsekwencji. Teraz był zbyt słaby i potrzebował jej pomocy, ale później... Samantha uznała, że najlepiej będzie omijać osobiste pytania.

- Babcia, matka mojego ojca zajęła się mną - wstała. - Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, zejdę na dół. Zbyt wiele czasu spędziłam na słońcu i piecze mnie skóra. Muszę się czymś posmarować.

- Oczywiście. - Marc przejął od niej ster. - Powinna pani znaleźć coś w apteczce.

Niezręcznie to rozegrał. Od razu domyśliła się, że ją wypytuje. Nieważne, miał przecież dużo czasu. Niektórzy ludzie powoli się otwierają.

- Może spróbuje się pani przespać? Będę potrzebował pani dopiero około północy, oczywiście, jeśli uzna pani, że da sobie radę.

- Już wcześniej powiedział pan, że to konieczne. Jestem przygotowana na to, żeby robić to, co konieczne.

Aluzja ukryta w jej słowach była oczywista. Miał mnóstwo czasu, aby ją przemyśleć podczas długiego, samotnego wieczoru.

Następnego dnia około południa upał w kabinie stał się nie do wytrzymania. Samantha zrzuciła koszulę, która przylepiła się nieznośnie do spoconego ciała. Marzyła o zimnym prysznicu i zmianie ubrania. Aby uniknąć rozmowy, większość czasu spędzała na dole pod pretekstem poparzenia słonecznego.

Zadrzała wspominając dwie okropne godziny spędzone w nocy przy sterze. Obudził ją już po północy, a później ta samotność na pokładzie. Było całkowicie ciemno, księżyc skrył się gdzieś za chmurami, nie świeciła żadna z gwiazd. W głębokich ciemnościach widać było tylko słaby poblask z kajuty i światło na maszcie. Ale udało się. Zwalczyła swoje demony i ani razu nie wpadła w panikę.

Spojrzała na zegarek i uznała, że już najwyższy czas pojawić się na górze. Powachlowała się jeszcze dawno przeczytanym czasopismem i ruszyła.

Kiedy dotarła na pokład, od razu zauważyła niezwykle napięcie mężczyzny. Ze ściągniętymi brwiami i grymasem na twarzy wyglądał na wściekłego z jakiegoś powodu. Chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z jej obecności.

Zaciekawiona Samantha podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i zamarła z przerażenia. Nogi zrobiły się jak z waty, a serce waliło nieprzytomnie. Wołał coś do niej, ale nie była w stanie zareagować. Ostępiała wpatrywała się w ciemność, która całkowicie zastoniła słońce.

Sztorm nadszedł nagle i niespodziewanie. Olbrzymia błyskawica przecięła niebo i rozległ się głuchy grzmot. Wyglądało to całkiem

nierealnie, dopóki nie poczuła na policzkach drobniutkich, stonych kropli. Słyszała, że Marc znów coś wykrzykuje, ale sens jego słów gubił się w wyciu wiatru.

- Sam! Potrzebuję twojej pomocy! - krzyczał. Dziewczyna nawet nie drgnęła. Spróbował jeszcze raz. - Musisz przejąć ster!

Nie ruszała się z miejsca i wtedy zrozumiał. Dotąd myślał tylko o tym, żeby opanować sytuację. Całkiem zapomniał o jej lękach. Szybko unieruchomił ster. Zaklął i spróbował przedrzeć się przez mocny wiatr. Nie miał zbyt wiele czasu, do nadejścia sztormu pozostawały sekundy. Obawiał się, że już może być za późno na jakiegokolwiek działanie.

Podszedł do Sam, chwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie.

Rozszerzone strachem, zielone oczy dziewczyny zdawały się zajmować prawie połowę twarzy. Marc zacisnął palce na jej ramieniu.

- Samantha... Sam, wszystko w porządku. Ominiemy sztorm. - Nie odpowiadała, patrząc na niego, jak przez szybę. - Sam, posłuchaj mnie. - Rozcierał jej ramiona, jak potłuczonemu dziecku. - To niewielki sztorm, ale potrzebuję twojej pomocy.

- Umrzemy, tak jak... umrzemy...

- Nie, nie umrzemy. - Marc odgarnął włosy z jej twarzy. Nie słuchała go. Całe jej ciało drżało i mamrotała coś niewyraźnie.

Jacht zakotłosał się gwałtownie, Samantha kurczowo uchwyciła się Marka. Objął ją i przycisnął mocno do siebie, aby utrzymać równowagę na chybottliwym pokładzie.

Wtulona w jego ramiona, Samantha zaczęła nagle spazmatycznie szlochać. Zacieśnił uścisk, niepewny jej dalszych reakcji.

- Sam, posłuchaj - tłumaczył łagodnie. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

Powoli ciemność doganiała ich, wycie wiatru nasilało się. Ręce Samantha zwiślały bezwładnie wzdłuż jej ciała.

- Oboje umrzemy - wyszeptała ponownie.

- Nie, Sam - starał się ją uspokoić. - Nie, ale...

- Teraz już nie musisz mnie zabijać - ciągnęła niskim, głuchym głosem, jak gdyby wcale nie słyszała jego słów. - Dowcip polega na tym, że ty też zginiesz.

Co ona na litość boską wygadywała? Czy naprawdę przypuszczała, że zamierza ją zabić? Dziewczyna nadal szlochala, a on nie miał czasu zastanawiać się nad jej słowami. Ciemność dopędziła ich w końcu i wisiła teraz nad jachtem. Nie mógł jednocześnie trzymać dziewczyny i walczyć ze sztormem. Musiał ją jakoś skłonić do zejścia na dół.

- Sam - powiedział i popchnął ją delikatnie w stronę schodków. - Chcę, żebyś zeszła do kajuty.

Samantha spojrzała w tamtym kierunku i znów zeszywniała ze strachu.

- Nie - prosiła. - Nie mogę tam iść. Błagam, pozwól mi zostać. Wolę umrzeć tutaj.

Nie było czasu na przekonywanie jej. Poprowadził ją w stronę kokpitu i usadowił bezpiecznie w rogu.

- Nie ruszaj się stąd - wrzasnął, starając się przekrzyczeć wiatr. Chwycił kamizelkę ratunkową i szybko założył ją dziewczynie. - Proszę, siedź tu spokojnie - dodał, gdy odchodził. Nie był pewien, czy słyszała.

Samantha patrzyła na szalejące morze. Nie opuszczało jej wspomnienie innego sztormu. Myślała też o zachowaniu mężczyzny i jego uspokajających słowach. Czy był mordercą, czy majaczył wtedy w gorączce? Skuliła się w kącie i obserwowała, jak stara się skierować jacht w centrum sztormu. Mordercy przecież nie czują współczucia, myślała. Wystarczyłby jeden jego ruch, żeby zniknęła z pokładu. A dotknął jej tylko wtedy, gdy starał się ją uspokoić.

Pomyślała o rodzicach i nagle uświadomiła sobie, że jej matka nie chowała się w kącie, aby użalać się nad sobą. Bez wahania do końca stała przy boku męża. Samantha poczuła wstyd i nagle spłynął na nią niespodziewany spokój. Dookoła szalało morze, waliły pioruny i wył wiatr, ale ona już się nie bała. Przestała drzeć, a po szlochu pozostała tylko czkawka.

Czuła, że wraca jej zdolność logicznego myślenia, którą utraciła podczas napadu strachu/Wprawdzie radio było uszkodzone, ale przecież udawało się im łapać niektóre informacje, zwłaszcza te związane z prognozą pogody. Nie było żadnych wzmianek o nadchodzącym

huraganie lub nagłych zmianach prądów, a to oznaczało, że to, co się teraz działo, było tylko krótkotrwałym, lekkim szkwałem, który można opanować. Przypomniała sobie, jak mężczyzna mówił, że to niewielki sztorm i że można go ominąć. „Jenny” była mocnym, wytrzymałym jachtem i gdyby zrzucili żagiel... ale przecież on nie był w stanie sam tego zrobić. Samantha zerwała się z miejsca i ruszyła w kierunku stera.

Marc ujrzał, jak dziewczyna czepia się liny ratowniczej i powoli zbliża do niego. Chwilę później wyciągnęła rękę, aby przejąć ster. Zawahał się przez moment, lecz kiedy ujrzał zdecydowany wyraz jej twarzy, nie zastanawiał się dłużej. Bez słowa przepuścił ją i przeszedł do żagli.

Przez następne pół godziny starali się opanować sytuację. Samantha trzymała kurs i bez protestów wypełniała polecenia Marka. On tymczasem w strugach oślepiającego deszczu położył grot i zastąpił go kliwerem. Aby zmniejszyć przyspieszenie, rzucił kotwicę.

Wkrótce sztorm minął i „Jenny” płynęła już bez żadnego wysiłku. Kiedy morze całkiem się uspokoiło, Marc zaczął podnosić grot. Przypomniał sobie słowa Samantha i teraz dopiero ich sens dotarł do niego w pełni. Poczł się zaszokowany i zwyczajnie zły. Początkowo uważał, że lepiej będzie, jeżeli dziewczyna o niczym się nie dowie, nawet gdyby przez to miała się go obawiać. Zmienił jednak zdanie. To już nie była obawa, to był strach przed mordercą.

Marc przerwał rozmyślenia i popatrzył na Samanthę. Żałował, że nie potrafi czytać w jej myślach. Nawet teraz, gdy sztorm już minął, pozostała przy sterze. Mokre włosy odgarnęła do tyłu, drobne krople wody spływały jej po plecach. Twarz dziewczyny miała wciąż ten zdecydowany, niemal uparty wyraz. Odwrócił się i zaczął wyciągać kotwicę. Kiedy skończył, spoza chmur wyłoniło się nagle słońce.

Czuł, że głowa pęka mu z bólu. Ubiegłej nocy spał tylko dwie godziny. Zamknął oczy i uszczypnął się w koniuszek nosa.

- Boże, co za idiotyzm! - mruknął nagle i ruszył w kierunku Samantha. Nie miał wyboru. Te jej oskarżenia! Nie chciał, aby nadal uważała, że jest mordercą. Zastanawiał się, jak ona zareaguje, kiedy dowie się, dokąd zaprowadziło ją odgrywanie roli dobrego samarytanina. Nawet jeśli

opowie jej całą historię, skąd pewność, że mu uwierzy? Nie miał żadnych dowodów - musiałyby mu zaufać.

Samantha patrzyła, jak mężczyzna zbliża się do niej. Poczowała ucisk w żołądku. Jego zdecydowany wzrok i wysunięta do przodu szczęka mówiły jej, że teraz padną odpowiedzi na wszystkie nie wypowiedziane pytania.

- Musimy porozmawiać - usłyszała.

Stał naprzeciwko niej, dzielił ich tylko ster. Ucisk w żołądku nasilał się.

- Też tak sądzę - popatrzyła mu prosto w oczy.

- Chcesz, żebym to ja sterował?

- Nie, wszystko w porządku - potrząsnęła głową. Ta odpowiedź wyraźnie przyniosła mu ulgę. W jego oczach pojawiła się niepewność i coś jeszcze. Go to było? Ból?

- Idę na dół po aspirynę - powiedział. - Przynieść ci coś? Może coś do picia?

- Tak, coś zimnego proszę.

Po kilku minutach wrócił z dwiema puszkami piwa. Otworzył jedną z nich i podał Samancie. Skrzywiła się, ale wzięła puszkę. Nie znosiła piwa, było jednak chłodne, a ona bardzo spragniona.

Marc otworzył drugą puszkę i usiadł. Pił łąpczywie, po czym wytarł usta wierzchem dłoni. Kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała nuta rezygnacji.

- Nigdy nie zapytałaś, jak się nazywam. Dlaczego? Wzruszyła ramionami.

- Uznałam, że im mniej wiem, tym lepiej dla mnie.

- Dlaczego?

Oczy Marka pociemniały. Samantha poruszyła się niespokojnie.

- Wiesz dlaczego - rzuciła.

- Ponieważ uważasz, że jestem mordercą i zamierzam cię zabić.

Samantha pociągnęła duży łyk piwa. Chłodny napój popłynął wzdłuż gardła. Nie mogła zaprzeczyć, że takie myśli przychodziły jej do głowy, lecz teraz, po tym, co niedawno przeszli, wydało jej się to zupełnie nieprawdopodobne. Kiedy nie odpowiadała, Marc nie zdołał

powstrzymać irytacji.

- Skąd strzelił pani do głowy taki idiotyczny pomysł?

Samantha otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nie dopuścił jej do głosu.

- Czy straszylem? - ciągnął. - Do diabła, nawet cię nie dotknąłem.

Nigdy nie powiedziałem niczego, co mogłoby dać ci podstawę do takich oskarżeń.

- Powiedziatesz - przerwała. Marc ze złością zmiażdżył poduszkę. - Wtedy, kiedy leżałeś w gorączce.

Spojrzał na nią pytająco.

- Powiedziatesz, że ich zamordowałeś... i że sukinsyny zasługują na śmierć. - Spojrzała na niego bojaźliwie.

- Dobry Boże! - Marc z niesmakiem odrzucił puszkę i ujął głowę w dłoń.

- A co mogłam pomyśleć?

- Nie jestem mordercą. Jestem reporterem. Nazywam się Marc Dureaux.

Oczy Samanthy rozszerzyły się ze zdziwienia. Marc Dureaux. Już gdzieś słyszała to nazwisko. Skojarzenie nastąpiło błyskawicznie. Gazeta! To przecież o nim czytała!

- O Boże - wykrztusiła.

Przechyliła się i oparła głowę na sterze. Zamknęła oczy, aby się zastanowić. Nic dziwnego, że nie chciał zawrócić. „Bądź ostrożna z pragnieniami, bo to, czego sobie życzysz, może się spełnić” - przypomniały jej słowa babci. Jęknęła, wspominając wczorajsze idiotyczne marzenia o przygodach i podróżach, jakie snuła po przeczytaniu artykułu.

- Przykro mi, Sam - powiedział ciepło. Potrząsnęła przecząco głową i zadrżała, gdy dotknął jej ramienia. Spojrzała na niego, pełna poczucia winy.

- Nie, to mnie jest przykro. - Wytrzymała jego uważne spojrzenie. - Kiedy pomyślę o tym, co widziatesz... co przeszedłes... a ja nazwałam cię...

- Nieważne. - Zacisnął usta. - Cieszę się, że mi wierzysz.
- Przeczytałam o tym w gazecie tej nocy, kiedy leżałeś w gorączce - jego ręka opadła, ale wciąż czuła jej ciepło na ramieniu.
- Powinienem być przewidzieć, że gdzieś o tym przeczytasz. - Marc wstał i odwrócił się. Patrzył niewidzącym wzrokiem na wodę. Samantha mimo woli zauważyła grę mięśni na jego ramieniu. Przed oczyma pojawił się jej widok nagiego torsu Marka.
- Czy chcesz o tym porozmawiać? - zapytała.
- Nie, nie teraz - potrząsnął głową. - Może później. Teraz chciałbym się przespać, nareszcie bez strachu, że przyłożysz mi po głowie.
- Samantha zaczerwieniła się i zaczęła gwałtownie protestować. W oczach Marka pojawił się niegodziwy błysk.
- Prędzej czy później zdecydowałabyś się na to.
- Może to jeszcze zrobię, jeżeli nie przestaniesz.
- Pamiętaj, że czujnie śpię - zachichotał Marc.

4

Samantha spojrzała w stronę zachodzącego słońca i zacisnęła powieki. Była ogromnie zmęczona, ale nie chciała budzić Marka. Widziała, jak bardzo był wyczerpany. Nie zdołał tego ukryć nawet w tych momentach, kiedy próbował ją rozbawić. Doszła do wniosku, że nic się nie stanie, jeśli pozwoli sobie na kilka minut odpoczynku.

Zanotowała wskazania żyrokompasu i włączyła automatyczny ster. Zeszła na dół i bezszelestnie ominęła kajutę Marka. Oddychał równo i spokojnie, wyciągnięty wygodnie na koi.

Na dole nie było tak upiornie gorąco, chyba nawet chłodniej niż na pokładzie. Gdy Samantha zamierzała wrócić na górę, poczuła nagłe pragnienie. Wyjęła z lodówki colę, upiła kilka łyków i przyłożyła chłodną puszkę do czoła.

- Nie... przestań! - usłyszała nagle głos Marka. Drgnęła i przebiegł ją dreszcz.

- Sukinsyn... przestań... nie! - krzyczał dalej Marc. Odstawiła puszkę i ruszyła w kierunku jego kajuty.

Miotał się na łóżku, jak gdyby odpędzał niewidzialne demony. Chwyciła go za ramię i gwałtownie potrząsnęła.

- Marc...

Powieki mężczyzny zatrzepotały. Szarpnął się do tyłu i otworzył oczy. Ciągle jeszcze kryło się w nich przerażenie.

- Co? - wykrzyknął nagle i gwałtownie usiadł na łóżku. Samantha cofnęła się przezornie. Przez chwilę Marc siedział nieruchomo, po czym odetchnął głęboko i przejechał dłonią po twarzy.

- Czy już w porządku? - zapytała.

Głos Samantha podzielał na niego kojąco. Próbował się do niej uśmiechnąć, ale z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że nie najlepiej mu to wyszło. Zrezygnowany wzruszył ramionami i bez zastanowienia

wyciągnął dłoń w jej stronę.

Samantha zrozumiała ten gest. Przesunęła się bliżej i wzięła go za rękę. Potrzebował kontaktu z drugim człowiekiem, aby przekonać się, że to, co przeżywał przed chwilą, było tylko koszmarnym snem. Z niezrozumiałych powodów ona także pragnęła jego bliskości.

- Czy zdarzył ci się kiedyś taki sen, w którym miałaś świadomość snu, a jednak nie mogłaś się obudzić? I za każdym razem, kiedy wydawało ci się, że się przebudziłaś, okazywało się, że wciąż tkwisz w tym śnie? Staralem się obudzić, ale gdy już myślałem, że to jawa, znów tkwiłem w wozie policyjnym, patrząc w wymierzony we mnie pistolet. I za każdym razem... - zamknął oczy i z udręką potrząsnął głową.

- Co za każdym razem? - zapytała.

- Chyba nadszedł czas, żebym opowiedział ci całą historię - westchnął.

Chociaż miał otwarte oczy i mówił do niej, Samantha odnosiła wrażenie, że Marc jest nieobecny. Powrócił myślami do tych przerażających wydarzeń.

- Kiedy tamtego ranka zastrzelono gubernatora, najpierw zadzwoniłem do swojego wydawcy i opowiedziałem mu wszystko, a potem zgłosiłem się jako świadek. Przesłuchiwano mnie przez cały dzień i większą część nocy. Następnego dnia zapadła decyzja, że ze względów bezpieczeństwa powinienem zostać gdzieś wywieziony. Przydzielono mi do ochrony dwóch policjantów, a w wyznaczonym miejscu miało mnie przejść dwóch następnych i odstawić na miejsce przeznaczenia. W samochodzie, który po mnie przyjechał, Taylor i Wilson - tak nazywali się ci dwaj z ochrony - zajęli miejsca z przodu, ja usiadłem z tyłu.

Marc wiedział, że nigdy nie zapomni tych dwóch mężczyzn. Taylor był szczupły, nieco zniewieściały, o ruchliwych brwiach, Wilson zaś stanowił jego zdecydowane przeciwieństwo. Wysoki i dobrze zbudowany, przypominał Markowi pewnego zapaśnika, z którym kiedyś przeprowadzał wywiad.

- Myślałem wtedy, że sama postura Wilsona wystarczy, żeby odstraszyć każdego napastnika - powiedział.

- Byłem zmęczony i bolała mnie głowa. Najślabsze światło czy dźwięk

powodowały, że czułem, jak czaszka rozpada mi się z trzaskiem na kawałki. Jeden z policjantów na posterunku był przeziębiony i nawet zwolnił się do domu, jednak chyba nieco zbyt późno, bo zdążył mnie zarazić. Nieważne. W każdym razie jeździliśmy samochodem przez kilka godzin. Głowa pękała mi z bólu, przymknąłem oczy... - Marc zapatrzył się w przestrzeń.

Mówił dalej o tym, jak samochód zwolnił i skręcił. Wtedy wyprostował się i otworzył oczy. Natychmiast dostrzegł brązową furgonetkę i zachichotał rozbawiony. Wybrano chyba najbardziej nieprawdopodobne miejsce - parking koło restauracji. Marc miał ochotę zaproponować, żeby na moment zaprzestali tej zabawy w policjantów i złodziei i wstąpili na małą przekąskę. Wilson być może zaaprobowałby ten projekt, jednak Taylor z całą pewnością nie zgodziłby się.

Marc obserwował, jak otwierają się drzwi furgonetki. Mężczyzna, który wysiadł i oparł się o pojazd, ubrany był w białą koszulę, granatowy krawat i jasnoniebieski płaszcz.

- Nigdy dotąd go nie widziałem - powiedział podejrzliwie Taylor.

Marc wywrócił oczami i omal nie jęknął. Taylor ani na moment nie tracił zawodowej czujności.

- Może to ktoś nowy - zauważył Wilson. Poczciwy stary Wilson, pomyślał Marc. Przynajmniej on nie popada w przesadę.

- Może - odpowiedział Taylor.

Kiedy mężczyzna podszedł do samochodu, Marc drgnął niespokojnie. Może podejrzliwość Taylora była zaraźliwa, jednak sposób, w jaki poruszał się nadchodzący, wydał mu się dziwnie znajomy.

Obcy pochylił się i oparł rękę o dach. Marc nadal nie widział jego twarzy.

- Masz dokumenty? - zapytał Taylor.

Marc kątem oka dostrzegł, jak Wilson wsuwa rękę za płaszcz.

- Jasne. Tutaj - odparł mężczyzna.

W głowie Marka rozległ się ostrzegawczy sygnał. Już kiedyś słyszał ten głos. Skojarzył go z osobą w momencie, gdy mężczyzna sięgał do

kieszeni płaszcz. To był jeden z tych w parku, ten, który z zimną krwią zamordował gubernatora. Jednak było już za późno na jakiegokolwiek ostrzeżenia.

Zamiast dokumentów mężczyzna błyskawicznie wyciągnął pistolet z tłumikiem i dwukrotnie nacisnął spust. Wilson nie zdążył nawet wyjąć broni. Osunął się na bok, a Taylor zachwiał się i runął do przodu.

Kolejne wydarzenia nastąpiły jak w zwolnionym tempie. Marc ujrzał, jak pistolet zmienia kierunek i celuje wprost w niego. Skulił się błyskawicznie. Jego ciałem sterował instynkt samozachowawczy. W tym samym ułamku sekundy chwycił za klamkę. Z głową przyciśniętą do plastikowego siedzenia słyszał łomot własnego serca. Bez zastanowienia gwałtownie otworzył drzwi. Udało mu się trafić zabójcę. Jęk bólu i zdumienia zabrzmiał w uszach Marka niczym niebiańskie chóry. Gdy decydował się na ten manewr, nie wiedział, czy mężczyzna stał w miejscu, w którym miał szansę go trafić. Zaryzykował i wygrał. Teraz potrzebował trochę czasu, zaledwie paru sekund, aby ocalić swoje życie.

Zabójca zgął się z bólu. Marc wyskoczył z samochodu. Wysunął nogę i z całej siły kopnął mężczyznę w rękę. Pistolet wylądował parę metrów dalej. Marc chwycił obcego lewą ręką za krawat, a prawą zwinął w pięść i uderzył z całej siły w twarz mordercy. Mężczyzna zachwiał się i runął na beton. Marc złapał pistolet i co sił w nogach ruszył przed siebie. Zgięty wpół kluczył między samochodami. Jeżeli tylko uda mu się dotrzeć do budynku, będzie uratowany.

W furgonetce nic się nie działo, jednak Marc był pewien, że zabójca nie przybył tu sam. W każdej chwili kierowca ciężarówki mógł zacząć strzelać, a on nie zamierzał na to czekać. Przed oczyma wciąż miał martwe ciała Taylora i Wilsona.

Kiedy dotarł do bocznego wejścia do restauracji, zerknął za siebie i ujrzał biegnącego za nim kierowcę furgonetki. Bez wahania przepchnął się przez grupę ludzi stojących blisko drzwi. Poleciały tace, jedzenie rozsypało się po podłodze. Zignorował krzyki i przekleństwa rzucone pod jego adresem, nadal przepychał się w stronę przeciwnego wyjścia.

Kiedy już wy dostał się na zewnątrz, wrzucił pistolet do pojemnika na

śmiecie i rozejrzał się dookoła. Oddychał ciężko, pot zalewał mu oczy. Na tyłach posesji dostrzegł niski, kamienny mur porośnięty bluszczem. Za murem rosły krzewy i drzewa, w których mógł się ukryć.

Kilka sekund później Marc przeskoczył mur i pobiegł dalej wąską alejką. Niespodziewanie wyrosła przed nim przeszkoda w postaci dwumetrowego ogrodzenia z siatki. Z rozbiegu uchwycił się górnej części i z głuchym stukiem wylądował po drugiej stronie. Poczł dotkliwy ból w prawej kostce. Z trudem podniósł się po upadku, ale utykając szybko ruszył przed siebie przez starannie wystrzyżony trawnik.

- Cholera - zaklął Marc i zatrzymał się. Kilka metrów dalej znajdowała się furтка, furтка do wolności. Za nią widać było przystanek autobusowy, na rogu ulicy właśnie pojawił się autobus. Gdyby przebiegł przez furtkę i zdążył do autobusu, byłby uratowany.

- Cholera - powtórzył. Pomiędzy nim a furtką znajdował się olbrzymi, groźnie wyglądający doberman.

Z piersi zwierzęcia wydobywał się niski, głuchy warkot. Pies postawił uszy i obnażył białe kły.

- Dobry piesek... grzeczny piesek... - wyszeptał Marc i popatrzył w oczy bestii. Słyszał kiedyś, że w ten sposób można zapanować nad psem, jednak na wszelki wypadek cofnął się o krok. Przez cały czas pamiętał, aby ograniczyć do minimum wszelkie gwałtowne ruchy i nerwowo poszukiwał jakiegoś sposobu ucieczki.

Najbardziej logicznym wyborem było wyjście przez furtkę. Jednak jeśli nawet uda mu się nie wejść w konflikt z dobermanem, może już być za późno. Autobus ucieknie, a on ma szansę pozostać na trawniku z kulą od pistoletu w głowie.

Pies uniósł siei warknął głośno. Marc zerknął na jego ostre kły. Uznał, że lepsze pogryzienie niż pistolet zabójcy i szybko podjął decyzję. Kiedy później się nad tym zastanawiał, nie wiedział, jak udało mu się dotrzeć do furtki. Pamiętał tylko swój gwałtowny bieg, szczekanie psa i jego gorący oddech na swoich nogach.

Autobus odjeżdżał, kiedy Marc w końcu dobiegł do przystanku. Zaczął krzyczeć i rozpaczliwie walić pięściami w drzwi. Kierowca zatrzymał

pojazd, Marc wskoczył do środka. Czuł na sobie spojrzenia pasażerów. Zapłacił za bilet i ciężko runął na jedno z tylnych siedzeń. Rzut oka na własne odbicie w szybie wyjaśnił mu ciekawość otoczenia. Sterczące w nieładzie włosy, nie ogolona i brudna twarz oraz mokra od potu, pomięta koszula nadawały mu wygląd włóczęgi. Nieprzyjemny zapach dodatkowo potwierdzał takie wrażenie. Gdy dostrzegł ruch na pustej przedtem ulicy, przestało mieć to jakiegokolwiek znaczenie. Dwaj mężczyźni -jeden z nich z chusteczką przy nosie - wybiegli na ulicę w momencie, kiedy autobus skręcał w przecznicę. Przez chwilę stali nieruchomo i patrzyli na znikający pojazd. Potem zawrócili pośpiesznie. Marc był pewien, że zapamiętali numer autobusu i zamierzali dogonić go furgonetką. Chyba przeliczył się w swoich rachubach. Wciąż jeszcze nie był bezpieczny.

Dwukrotnie zmieniał autobusy, zanim uznał, że może się trochę odprężyć. Zerknął na zegarek. Minęły już dwie godziny od śmierci Wilsona i Taylora. Na niebie wisały ciemne chmury, padał gęsty deszcz. Marc zadrzał i utkwiał bezmyślne spojrzenie w plecach kierowcy. Kiedy ostatnim razem zmieniał autobus, zdążył przemoknąć do suchej nitki. Znowu bolała go głowa, czuł też dotkliwe pulsowanie w kostce. Zamknął oczy, nie był w stanie myśleć. Nie miał pojęcia, co robić.

- Ejże, kolego! To nie jest motel na kótkach.

- Co...? - Marc otworzył oczy i podskoczył gwałtownie. Próbował uświadomić sobie, co się wydarzyło i gdzie się teraz znajduje. Ujrzał, że kierowca autobusu pochyla się nad nim.

- Powiedziałem, że to nie jest motel. Śpij sobie gdzie indziej.

- Gdzie ja jestem? - zapytał nieprzytomnie Marc. W ustach miał posmak waty, ale powoli rozjaśniało mu się w głowie. Wszystko powróciło - gubernator, Thompson, Wilson, Taylor i zabójcy.

- Słuchaj, koleś, jesteśmy na pętli. Spisz tu już od pół godziny. Albo wysiadasz, albo wzywam gliny.

- W porządku. Zrozumiałem. - Marc podniósł się z trudem i wysiadł z autobusu. Spotkanie z policją było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Wiedział już, jak skutecznie potrafią zapewnić ochronę.

Wilgotne powietrze otoczyło go niczym gęsta mgła. Mżył drobny kapuśniaczek, a blade słońce bezskutecznie usiłowało wydostać się spoza chmur.

W pobliskim budynku Marc dostrzegł neon cukierni. Sięgnął do kieszeni, lecz znalazł tam zaledwie kilka centów. Wyciągnął portfel i przejrzał go starannie. Efektem tych poszukiwań było kilkanaście dolarów. Nie wiedział jeszcze, co ze sobą zrobi, ale z całą pewnością potrzebował pieniędzy.

Wszedł do cukierni. Poza kelnerką znajdowała się tam tylko para wyrostków, którzy siedzieli przy stoliku w kącie pomieszczenia. Kelnerka zignorowała go, nie przerywała wycierania lady. Młodzi ludzie ze słuchawkami na uszach też nie zwrócili na niego uwagi. Obojętni na wszystko, kołysali się w rytm muzyki.

Marc czekał cierpliwie. W końcu udało mu się zamówić kawę i dwa pączki. Chwilę potem skierował się do toalety. Podszedł do urny walki i odkręcił kurek z gorącą wodą. Nie patrząc w lusterko, umył twarz. Ten raczej pobieżny zabieg higieniczny zdecydowanie poprawił mu samopoczucie. Wyjął z kieszeni grzebień i przyczesał włosy. Nie chciał myśleć o tym, w jakim stanie jest jego koszula. Wsunął ją tylko starannie za pasek i opuścił toaletę.

Kawa czekała już na niego. Jej mocny aromat przyjemnie podrażnił nozdrza Marka. Ostrożnie pociągnął łyk gorącego napoju. Pączki stanowiły raczej kiepski substytut posiłku, ale w tej sytuacji musiały wystarczyć. Pochłonął je w jednej chwili.

Jedzenie dobrze mu zrobiło, ale nadal bolała go głowa. Ostrożnie potarł skronie. Musiał być przytomny, żeby móc jasno myśleć. Od tego przecież zależało jego życie. Uznał, że powinien skontaktować się z ojcem. Z pewnością wiedział już o wszystkich wydarzeniach i Marc nie chciał, żeby martwił się niepotrzebnie. Podszedł do stojącego na kontuarze telefonu i wykręcił numer. Przez kilka minut wsłuchiwał się w sygnał, po czym odwiesił słuchawkę. Dziwne, że o tej porze nie ma nikogo w domu, pomyślał.

Po kilku minutach ponownie sięgnął po słuchawkę. Tym razem

wybrał numer alarmowy.

- Halo? Proszę połączyć mnie z szefem Wydziału Zabójstw Harrym Thompsonem. Nie, nie chcę wykręcać numeru. Tak, to pilne.

Przypomniało mu się męczące przesłuchanie prowadzone przez Thompsona. Wciąż zadawał te same pytania. Traktował Marka jak przestępcę, nie zaś jako dobrowolnego świadka. Teraz jednak Thompson mógł go powiadomić o tym, jak wygląda sytuacja. Potrzebował informacji, zanim zdecyduje się podjąć jakiekolwiek działanie.

W odczuciu Marka znalezienie Thompsona zajęło całe wieki. Podniósł wzrok i ujrzał, jak kelnerka przygląda mu się podejrzliwie.

- Tu Thompson - usłyszał nagle.

Odwrócił się tyłem do pomieszczenia i zniżył głos.

- Thompson, tu Marc Dureaux...

- Gdzie pan u diabła jest? - wrzasnął Thompson. - Każdy policjant w tym stanie pana szuka.

- Nieważne. Proszę posłuchać...

- Posłuchać! Dobrze sobie. - Głos Thompsona wibrował od wściekłości.

- Czterej moi ludzie zginęli przez pana. Tu jest istne piekło! Nad uchem wrzeszczy mi jakiś porucznik, nie mówiąc już o pańskim awanturującym się ojcu. Niech pan powie, gdzie pan jest, a przyślę tam moich ludzi.

- Dobrze sobie - powtórzył Marc za Thompsonem. - Ścigano mnie, ledwo uszedłem z życiem, a teraz chce pan wystać po mnie swoich ludzi? Nie ma mowy, człowieku! Nie ma mowy!

- Dobra, dobra. Niech się pan uspokoi i porozmawia o tym ze mną.

- Jedyną osobą, z którą będę o tym rozmawiał, jest mój wydawca - odparł Marc. - Jak się prawidłowo pisze pańskie nazwisko? Chcę mieć pewność, że nie popełnię błędu, kiedy będę je pisał razem z różnymi określeniami, takimi jak nieudolny, nieodpowiedzialny, niedbały...

- Wyraził się pan jasno, panie Dureaux - przerwał Thompson pełnym napięcia głosem. - Jeżeli nie chce pan rozmawiać ze mną, może pan porozmawia ze swoim ojcem.

- On tam jest?

- Tak, proszę chwilę poczekać.

Marc pomyślał, że policja być może zechce sprawdzić numer, z którego dzwonił. Zerknął na zegarek i zastanawiał się, ile czasu zajmuje ustalenie numeru.

- Marc?

- Tata? - Marc odetchnął z ulgą.

- Czy wszystko w porządku, synu?

- Tak, tato. W porządku. A co u ciebie?

- Bywało lepiej, ale to nieważne. Thompson mówi, że odmawiasz współpracy.

- Tato...

- Nie. - przerwał Edward Dureaux. - Nie tłumacz się. Ja rozumiem. Słuchaj uważnie - szepnął, po czym Dowiedział - wszyscy martwimy się o ciebie, zwłaszcza Jenny. Przygotowała dla ciebie twoje ulubione jedzenie. Czeka, aż przyjedziesz, kiedy będziesz już mógł - umilkł.

Marc był całkowicie zaskoczony. Dlaczego ojciec wygadywał takie niedorzeczności? Kim, u diabła, była Jenny? Nie znał nikogo o tym imieniu oprócz... Marc uśmiechnął się. Oczywiście, „Jenny”. Dlaczego sam o tym nie pomyślał? „Jenny” była rodzinnym jachtem. Obecnie nazywała się „Jenny II”. „Jenny” została tak nazwana na cześć babki Marka ze strony matki. Potem zastąpiono ją nowocześniejszym, bardziej komfortowym modelem.

Najwyraźniej w policji był przeciek, tak jak podejrzewał. Ojciec sugerował mu, że najbezpieczniej będzie wyptynać, dopóki cała sprawa nie wyjaśni się.

- Dziękuję, tato - powiedział. - Potrzebowałem tych słów. Powiedz Jenny, że przyjadę jak najszybciej.

- Uważaj na siebie, synu.

Marc odłożył słuchawkę i znów się uśmiechnął. Wiedział już, że „Jenny” jest gotowa na jego przyjęcie. Jedyne problem stanowiło dotarcie do niej w taki sposób, aby nie natknąć się na policjanta. Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy uświadomił sobie, jak bardzo będzie to trudne.

- Coś jeszcze, sir?

Marc podniósł wzrok i napotkał nieprzyjazne spojrzenie kelnerki. Słowo „sir” wymówiła w taki sposób, jak gdyby to było przekleństwo. Pewnie podejrzewała, że ucieknie nie płacąc rachunku. Sięgnął do portfela i rzucił na ladę kilka jednodolarówek. Spojrzał na zaskoczoną kobietę.

- Dziękuję, kochanie. Śliczna z ciebie dziewczyna -zawołał już od drzwi.

Wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się dookoła. Była to ruchliwa ulica, pełna biurowców i butików. Nieco dalej duży napis informował, że znajduje się tu siedziba oddziału Banku Narodowego. Jezdnia zatłoczona była pojazdami, śpieszący się przechodnie co chwila potrącali Marka.

Tuż obok zatrzymała się żółta taksówka, z której wysiadła jakaś para w średnim wieku. Marc zastanawiał się, ile kosztowałby kurs do Mandeville, gdzie zakotwiczona była „Jenny”. Uznał, że na pewno więcej niż miał teraz przy sobie i tęsknie popatrzył za odjeżdżającym samochodem. Zdawał sobie sprawę, że będą mu potrzebne pieniądze i postanowił skorzystać z karty kredytowej. Szybkim krokiem ruszył w kierunku banku.

Kiedy już prawie dotarł na miejsce, rozejrzał się i z przekleństwem na ustach skręcił w pobliską alejkę, skąd obserwował przejazd policyjnego samochodu. Stał tam jeszcze chwilę, żeby się trochę uspokoić, po czym odetchnął głęboko i wszedł do banku.

Po dwudziestu minutach znów znalazł się na ulicy. W pobliskim sklepie sportowym nabył parę granatowych szortów, kilka podkoszulek, adidasów, skarpety, okulary przeciwsłoneczne i czapkę z daszkiem. Natychmiast założył okulary i czapkę. Nie było to może najlepsze przebranie, ale na razie musiało wystarczyć.

Wsiadł do autobusu i pojechał nim aż do pętli we wschodniej części miasta. Tam uznał, że dalsze korzystanie ze środków publicznej komunikacji daje zbyt duże szanse tropiącym go policjantom i zdecydował się na autostop do Mandeville. Na autostradzie było to karalne, lecz musiał ryzykować. Nic lepszego nie przychodziło mu do

głowy.

Z pętli powędrował do stacji benzynowej obok autostrady. W toalecie przebrał się pośpiesznie w zakupioną koszulkę i szorty. Stare ubranie powędrowało do pojemnika na śmiecie. Postanowił odegrać rolę automobili-sty, który ma kłopoty z pojazdem. Kupił pięciolitrowy kanister i napełnił go benzyną. Uśmiechnął się gorzko. W najgorszym przypadku, jeżeli zatrzyma go policja drogowa i zapyta, dlaczego piechotą przemierza autostradę, będzie miał wiarygodne wyjaśnienie.

Samochody na autostradzie przejeżdżały w błyskawicznym tempie. Z każdym krokiem Marc był coraz bardziej wyczerpany. Spojrzał na zegarek, dochodziła już ósma wieczorem. Był spocony, bolała go głowa i całe ciało. Kanister ciążył mu tak, jak gdyby ważył co najmniej pięć razy więcej. Marc przeszedł już około ośmiu kilometrów i nikt dotąd nie zatrzymał się, żeby go podrzucić.

Wtedy właśnie zdarzyło się najgorsze. Marc nie zauważył granatowo-żółtego samochodu, który nagle pojawił się obok niego. Przez chwilę jechał wolno, równo z wędrującym mężczyzną, po czym wyprzedził go i zatrzymał się. Nie było dokąd uciekać. Marc podszedł do samochodu.

- Jakies problemy, kolego? - dobiegł go głos z wnętrza pojazdu.

Marc gorączkowo zastanawiał się, które z kłamliwych wyjaśnień będzie najbardziej prawdopodobne.

- Tak - powiedział w końcu. - Ostatnio żona jeździła samochodem, ale niestety nie przyszło jej do głowy, żeby napełnić bak. Liczyłem na to, że dojadę do najbliższej stacji, ale... - przerwał i roześmiał się z przymusem.

- Te kobiety. Nie da się wytrzymać z nimi, ani bez nich.

Pamiętał, żeby oddychać spokojnie, ani na moment nie przestawał się uśmiechać. Wiedział, że szanse jego wzrosną, jeżeli nie okaże zdenerwowania.

Twarz policjanta nie wydawała się specjalnie przyjazna. Z oczu, ukrytych za ciemnymi lusterkami okularów, nie można było nic wyczytać. Marc czuł, że jest uważnie obserwowany. Minęło sporo czasu, zanim policjant się uśmiechnął.

- Tak, wiem, co to znaczy. Podrzucę pana.

Marc odetchnął z ulgą i wśliznął się na siedzenie obok policjanta. Modlił się w duchu, żeby los mu sprzyjał i pozwolił znaleźć gdzieś przy drodze opuszczony samochód. W takiej sytuacji natychmiast oznajmiłby policjantowi, że to jego.

Przez kilka kilometrów żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Marc przez cały czas starał się ustalić dalszy plan działania. Przyjemnie było znów siedzieć. Po natrętym upale na zewnątrz, chłodne wnętrze samochodu wydawało mu się niemal rajskim przybytkiem.

- Gdzie jest pana samochód?

- Niezbyt daleko - Marc poruszył się niespokojnie. - Jeszcze kawałek drogi.

- Jaka marka?

Marc poczuł na czole kropelki potu. Co miał teraz robić? Co miał odpowiedzieć?

Niespodziewanie ożyło policyjne radio i wyrzuciło z siebie potok słów i zakodowanych informacji. W chwilę później umilkło. Marc stawał się coraz bardziej niespokojny. Modlił się o interwencję z nieba lub choćby tylko wskazówkę, jak ma wybrnąć z tej sytuacji.

Cisza zdawała się trwać wieki, a Marc wciąż nie potrafił wymyślić odpowiedzi, która nie przysporzyłaby mu jeszcze więcej kłopotów.

Radio włączyło się jeszcze raz.

- Marc Dureaux... - wyłowił te dwa słowa z mieszaniny splątanych dźwięków.

- Marc! Marc! - Samantha ścisnęła jego dłoń. - Nie przerywaj teraz. Co było dalej?

Zaskoczony Marc spojrzał na Sam. Nie zdawał sobie sprawy, że przestał mówić. W słabym świetle odchodzącego dnia oczy dziewczyny błyszczały nienaturalnym blaskiem. Wyraz jej twarzy i napięcie w głosie kojarzyło mu się z dzieckiem, które czeka na zakończenie straszliwej bajki. Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Widział, że zdecydowanie przestała być dzieckiem, lecz nie był to właściwy moment na podziwianie jej kobiecych wdzięków.

- I co? - zapytała, świadoma jego spojrzenia.

- Policjant wyciągnął broń i zastrzelił mnie - powiedział śmiertelnie poważnym tonem.

Samantha spojrzała na niego zaskoczona. Minęło kilka chwil, zanim dotarł do niej sens jego słów. Miała ochotę go uderzyć, a jednocześnie chciało jej się śmiać.

- Tak się nie robi, panie Dureaux - powiedziała.

- Wiem.

- Jesteś ogromnie sobą zachwycony.

- Kto jest za sterem?

Samantha puściła jego dłoń i wstała.

- Dobrze wiesz, że włączyłam automatyczne sterowanie.

- Lepiej sprawdzę, jak to wygląda. - Marc sięgnął po leżącą na podłodze podkoszulkę i szybko ją włożył.

- Nie zamierzasz dokończyć, prawda? - zapytała. Śmiał się, a i Samantha, chociaż trochę rozzłoszczona, ledwie powstrzymywała się od wybuchu śmiechu.

- Może tak, może nie... zależy. - Zręcznie prześliznął się obok niej.

- Zależy! Od czego? - Co za straszny facet, pomyślała. - I tak nie chcę wiedzieć - rzuciła w stronę jego pleców.

Marc odwrócił się, nadal uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Nic się nie stało. Kiedy usłyszałem swoje nazwisko, byłem pewien, że wpadłem. Jednak zakłócenia w eterze kompletnie zagłuszyły opis poszukiwanego i policjant wyłączył radio.

- A co z tym twoim wymyślonym samochodem? Marc roześmiał się głośno.

- Święty, który czuwa nad głupcami i kłamcami, miał mnie w opiece. Kilka kilometrów dalej stał na poboczu porzucony samochód.

- I oczywiście powiedziałaś, że jest twój - dokończyła za niego.

- Oczywiście. - Marc skrzyżował ramiona i oparł się o framugę. -

Przecież nie miałem w czym wybierać.

- Ale jak dostałeś się na jacht? Widać było, że Marc zamyślił się.

- Samochód nie był opuszczony - powiedział. - Był przegrzany i jego

właściciel ucinął sobie drzemkę na tylnym siedzeniu, czekając aż ostygnie silnik. Dałem mu dwadzieścia dolarów i zawiózł mnie do portu. Zanim jednak znalazłem miejsce, gdzie mógłbym zacumować „Jenny”, byłem już poważnie chory. Omal nie wezwałem pomocy przez radio. Dotarłem do odbiornika i...

- Marc wzruszył ramionami. - Kiedy się ocknąłem, leżałem na podłodze i z trudem dowlokłem się do łóżka.

- Chyba to wyjaśnia pewną zagadkę.

- Jaką zagadkę? ^ zapytał ze zdziwieniem.

- Tommy nie mógł uruchomić radia. Może zrzuciłeś je, kiedy straciłeś przytomność.

- Możliwe. Ledwo pamiętam, jak wyciągnąłem po nie rękę. - Znow wzruszył ramionami. - Kto wie?

Samantha powoli potrząsnęła głową. - Zdziwiający - powiedziała.

Marc spojrział na nią pytająco.

- Wciąż nie mogę uwierzyć w ten porzucony samochód - wyjaśniła. - Wyczerpałeś chyba cały swój zapas szczęścia.

Marc zaśmiał się, lecz jego śmiech nie brzmiał wesoło. Dreszcz strachu przebiegł po grzbiecie Samantha. Patrzyła, jak Marc wspina się po schodach. Jego opowieść była tak zaskakująca, że przez moment zapomniała, że nie jest to fikcja literacka, lecz wydarzenia z życia. Koszmar Marka był prawdziwy. A wszyscy ci ludzie chcieli go zabić.

5

Angelique Dureaux szła szybko wyprzedzając wszystkich. Wysokie obcasy głośno stukały o betonową promenadę otaczającą Jackson Square, jedną z atrakcji Nowego Orleanu. W oddali rozległ się głuchy grzmot i czarne chmury przestoniły popołudniowe słońce. Wiatr uniósł jedwabną spódnicę Angelique, odślaniając szczupłe, zgrabne nogi. Biel sukni podkreślała ciemną karnację skóry i atrakcyjnie kontrastowała z ciemnymi włosami. Angelique przytrzymała rondo kapelusza i zerknęła w górę w momencie, gdy nagły błysk przecinał niebo nad Missisipi.

Spojrzała na swój kosztowny zegarek i zamarła ze zdenerwowania. Nie chodziło o pogodę. Upał i nadciągający sztorm zupełnie jej nie interesowały. Jak dotychczas nic nie poszło zgodnie z planem. Z trudem powstrzymywała łzy napływające do oczu. Zaciśnęła zęby i ponownie zaczęła przepychać się przez tłum. Przez ostatnie dwa dni płakała tak często, że powinno już zabraknąć jej łez. A kiedy już myślała, że się udało, Marc wszystko popsuł.

Ominęła grupę gapiów, przyglądających się popisom żonglerów. Teraz już nie ma odwrotu, pomyślała. Machina ruszyła i Marc musiał zostać wyeliminowany.

Niedobrze to wyszło. Marc był dobrym i uczciwym człowiekiem. Nieszczęście polegało na tym, że go nie kochała. Był jej potrzebny przez jakiś czas, wtedy, kiedy myślała tylko o tym, aby jakoś przetrwać w tym świecie. Świecie, który dla niej nagle przewrócił się do góry nogami. Jeszcze teraz drżała wspominając ból i upokorzenie po stracie rodziców. Utrata rodzinnego majątku ostatecznie ją załamano. Zawiedli przyjaciele rodziny, okazując się chciwymi hienami. Słyszała, jakie wstrętne uwagi wypowiadali o jej ojcu i jej sytuacji. Wciąż słyszała te szepty.

Angelique zaciskała i rozwierała pięści. Musiała zatykać uszy, aby uciec od tych prześladowających ją głosów. Teraz słyszała je coraz częściej.

Tym razem jednak się nie podda. Zadrzała, gdy pomyślała o skutkach braku kontroli.

Powinna tylko myśleć pozytywnie i zapomnieć o wszystkim, co ją dręczyło. Uśmiechnęła się niespodziewanie. Teraz musiała zdobyć to, czego pragnęła. Tak właśnie mówili lekarze, gdy wypuszczali ją ze szpitala. Myśl o sobie, powtarzali, więc tak postępowała. Zamiast związać się z kimś przeciętnym, bez grosza, odkryła Marka Dureaux.

Marc był łatwą zdobyczą. Ogarniał ją pusty śmiech na myśl o tym, jak łatwo dał się podejść. Poznała go w okresie, gdy właśnie rozstał się z dziewczyną i uwiedzenie go było dziecinnie proste, zwłaszcza po paru kieliszkach wina. Naprawdę uwierzył, że zaszła w ciążę. Uparł się, że jego dziecko musi mieć legalnego ojca i ożenił się z nią. Był dżentelmenem i właśnie dlatego jej plan się powiódł.

To wszystko należało już do przeszłości. Marc spełnił wyznaczone mu zadanie. Teraz nadszedł czas na działanie, pomyślała. Teraz im wszystkim pokażę.

Uważnie spojrzała w stronę parku. Przez zardzewiałą bramę dostrzegła Tony'ego. Siedział na ławce nieopodal olbrzymiego pomnika Andrew Jacksona, który dominował nad niewielkim parkiem.

Angelique pomachała ręką i przyspieszyła kroku. Tony był jak zwykle niezawodny. Jej ojciec poległ na nim we wszystkich niezupełnie jasnych sprawach. Niemłody już Tony był otyły i niski, ale otaczała go ta specyficzna aura władzy, która sprawiała, że wyglądał na wyższego i szczuplejszego. Jego ciemne, złowrogie i tajemnicze oczy intrygowały Angelique. Kiedy prześlizgiwały się po jej sylwetce, mogłaby przysiąc, że widzi w nich pożądanie. Łączyły ich jednak wyłącznie interesy.

Gdy podeszła do niego, zauważyła, że nadchodzący sztorm nie robi na nim najmniejszego wrażenia. Spokojnie karmił gołębie i nie przejmował się faktem, że to jest i.... zabronione. Czynność ta wywołała w Angelique pewne skojarzenia. Oni też nakarmią gołębie, tylko że w tym przypadku oznaczało to zaspokojenie apetytów niektórych ludzi.

- Angelique - Tony wstał, gdy podeszła do ławki. - Wyglądasz prześlicznie. - Pocałował ją w policzek i obrzucił pełnym aprobaty

spojrzeniem.

- Przepraszam za spóźnienie. Długo czekasz?

- Nie, niedługo, ale mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Mój partner czeka już na mnie w samochodzie. - Uśmiechnął się szeroko. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Znowu jego spojrzenie sprawiło, że poczuła się niepewnie. Rozejrzała się dokoła. Uliczni malarze, codziennie prezentujący tu swoje obrazy, pakowali dobytek w przewidywaniu deszczu. Ulice wyludniały się, turyści w pośpiechu szukali schronienia przed drobnym kapuśniaczkiem. Uznała, że prawdopodobnie ma zbyt wybujałą wyobraźnię. W tej chwili należało zająć się o wiele ważniejszymi sprawami.

- Co poszło nie tak, jak powinno? - spojrzała na mężczyznę.

- Takie rzeczy się zdarzają - wzruszył ramionami.

- Ale obiecałeś, że zajmiesz się nim.

Tony wyciągnął rękę i lekko ścisnął jej ramię.

- Odpręż się i mów ciszej. Znajdziemy go - powiedział. - To tylko chwilowe opóźnienie. Nasi informatorzy twierdzą, że widziano kogoś o tym rysopisie na przystani w Mandeville.

Angelique zamartała.

- Trzymają tam rodzinny jacht. O Boże... - jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. - Jeżeli dostał się na „Jenny”, to teraz może być wszędzie.

- To prawda, ale rozstawiłem swoich ludzi wzdłuż całego wybrzeża.

- Wiesz, jakie to dla mnie ważne. - Chwyciła Tony'ego za rękaw marynarki. - Muszę mieć te pieniądze z ubezpieczenia.

Pragnęła, aby Tony ją zrozumiał. Nie mogła znów zostać bez pieniędzy. Czas uciekał. Do uprawomocnienia się decyzji o rozwodzie pozostał tylko miesiąc. Sądziła do tej pory, że wszystko przebiega zgodnie z planem, ale teraz...

- Tony, musisz coś zrobić!

- Nie denerwuj się, moja droga. - Tony wydawał się nieco spięty. - Powiedziałem ci, że zajmę się wszystkim. Poza tym, nawet jeśli wydarzy się najgorsze i Marc ucieknie, twój nowy przyjaciel na pewno nie pozwoli ci głodować.

- To nie twoja sprawa - warknęła.

Tony uniósł ręce w żartobliwym geście obrony.

- W porządku, przepraszam - powiedział. - Nie wiedziałem, że jesteś taka drażliwa na jego punkcie.

- Chcę tylko, żebyś pamiętał, że on nie ma z tym nic wspólnego. Nic - powtórzyła i odeszła.

Tony zmrużył oczy i obserwował, jak Angelique zmierza szybkim krokiem w stronę bramy. Nie spuszczał z niej wzroku, dopóki nie zmieszła się z tłumem. Była tak samo zawzięta i arogancka jak jej ojciec, ale w odróżnieniu od niego miała również odwagę.

Wsunął ręce w kieszenie i powoli powędrował przez park. W niewielkiej odległości za nim postępowali dwaj mężczyźni. Tony szybko dotarł do bramy i wyszedł na ulicę. Natychmiast podjechała do niego czarna limuzyna. Na tle dorożek oczekujących na turystów wyglądała nieco absurdalnie. Niższy z dwóch mężczyzn idących za Tonym wyprzedził go i otworzył drzwi. Tony spojrzał na niego.

- Nie dowierzam jej - oświadczył. - Coś jest nie tak... coś jest z nią nie w porządku. Zachowuje się dziwnie.

Umilkł i poklepał się po kieszeni. Niski mężczyzna natychmiast wyciągnął cygaro i zapalił je dla szefa. Chwilę później Tony otoczył się chmurą dymu.

- Chcę, żeby śledzono ją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę - powiedział.

Mężczyzna skinął głową, po czym odwrócił się do swojego towarzysza.

- Jadę z szefem. Ja mam jeszcze parę spraw do załatwienia - rzucił i odszedł szybko.

Tony i drugi mężczyzna wsiedli do samochodu.

- Przepraszam za tę przerwę - powiedział Tony i spojrzał na człowieka, który cierpliwie czekał na niego w samochodzie.

- Sądzisz, że mogą być z nią problemy? - zapytał tamten.

- Dam sobie radę. - Tony potrząsnął głową. - Kiedy już zaopiekujemy się Markiem Dufieux, będzie miała to, czego chciała. - Roześmiał się

głośno. - To zabawne, przecież i tak muszę się go pozbyć. A właśnie, upewnij się, czy nasz człowiek w policji jest dobrze opłacany. Jeżeli policja trafi na Durcaux przede mną, chcę natychmiast o tym wiedzieć.

Usiadł wygodniej i skrzyżował nogi.

- Wciąż jeszcze nie udało mi się ustalić, skąd Dureaux wiedział o tym spotkaniu z Jacksonem - ciągnął. - Nie powinno być żadnych świadków. Ktoś musiał mu powiedzieć. No dobrze, skończmy już te rozważania. W tej chwili ani Angelique, ani jej mąż nie martwią mnie tak jak Landry. Jak on się trzyma? Mężczyzna nachmurzył się.

- Kiedy dowiedział się o zamordowaniu Jacksona, spił się do nieprzytomności.

Tony zaklął pod nosem.

- Trzymaj się blisko niego - powiedział. - Nie dopuszczaj prasy, dopóki nie będziesz pewny, że już wziął się w garść. Teraz nic nie może przedostać się do gazet.

Mężczyzna skinął głową.

- Odwołałem jego wystąpienia w Shreveport i Monroe, a prasie wytłumaczyłem to rozstrojem nerwowym po śmierci Jacksona. - Spojrzał na zegarek. - Jeśli to wszystko, to już pójdę. Muszę wracać.

- Wszystko - powiedział Tony. - Podrzucimy cię. Odezwę się, kiedy zaopiekujemy się Dureaux.

Przed oczyma Samantha zatoka rozciągała się w całej swojej okazałości. Szaroniebieska woda błyszczała w porannym słońcu. Samantha zdała sobie nagle sprawę, że jej strach gdzieś się ulotnił, a fobia należy już do przeszłości. Odetchnęła głęboko. Świeże powietrze i zapach smażonego bekonu wprawiały ją w radosny nastrój. Usłyszała, jak Marc gwizdze na dole i roześmiała się cicho, gdy zdała sobie sprawę, że mu wtóruje do taktu.

Kiedy Marc rozwiął wszystkie jej podejrzenia, poczuła, że spadł jej z serca ogromny ciężar. Dzisiaj, w świetle dnia, trudno było uwierzyć, że jeszcze tak niedawno uważała go za mordercę.

Marc nie był mordercą. W głębi duszy nigdy nie mogła tak naprawdę w to uwierzyć. Mordercami byli ci, którzy go teraz szukali. Przeszył ją

zimny dreszcz, gdy uświadomiła sobie, że już raz próbowali go zabić. Czy spróbują ponownie? Kim byli ci ludzie? Jeszcze wczoraj myślała wyłącznie o tym, w jaki sposób dostać się na brzeg, ale teraz...

Gwizdanie naraz ucichło. Samantha zerknęła w stronę schodków akurat w momencie, gdy Marc wychodził na pokład.

Jak na człowieka, który nie spał przez większą część nocy, wyglądał zadziwiająco świeżo i jakoś inaczej. W jednej ręce trzymał talerz z jedzeniem, w drugiej kubek parującej kawy. Samantha chciwie popatrzyła na bekon, jajecznicę i tosty, po czym przeniosła wzrok na Marka. Z bliska dostrzegła wyraz zmęczenia na jego twarzy.

- Powinieneś się przespać - powiedziała i nagle zorientowała się, dlaczego wyglądał inaczej. Po prostu przystrzygł nieco brodę.

- Drzemałem trochę w nocy. - Podał jej talerz. - Jedz, bo będzie zimne.

- A gdzie twoje jedzenie? - Samantha wzięła talerz i odeszła, a Marc tymczasem przejął ster.

- Tam, gdzie być powinno. - Poklepał się po brzuchu. - Zjadłem na dole.

Samantha spojrzała na niego. Kilka dni na jachcie sprawiło, że skóra Marka przybrała złotawy odcień. Obficie porastające tors ciemne włosy, widoczne w rozchyleniu rozpiętej koszuli, pobłyskiwały rudawo w słońcu.

Już kilkakrotnie widziała jego obnażony tors, lecz mimo wrażenia, jakie na niej robił, nietrudno było jej skoncentrować się na innych sprawach. Ponadto wtedy traktowała Marka jak wroga, ale teraz... Szybko odwróciła wzrok i usiłowała zająć się jedzeniem. Zdała sobie sprawę, że jej zauroczenie Markiem nie minęło. Dzisiaj jeszcze wyraźniej zdawała sobie sprawę, jak bardzo był przystojny i dobrze zbudowany. Teraz, gdy wykąpał się i ogolił, poczuła się jeszcze bardziej nieświeżo. On miał czyste ubranie na zmianę, ona zaś ciągle była w tym samym bikini.

- Spójrz!

Głos Marka brutalnie przerwał jej rozmyślenia. Spojrzała we wskazanym kierunku i natychmiast wszystkie myśli odplynęły.

- Delfiny - wyszeptała i odstawiła talerz. Marc dostrzegł wyraz

zachwytu na jej twarzy.

- Czyż nie są cudowne?

- Cudowne. - Nie spuszczał z niej wzroku. Widział już różne emocje malujące się na twarzy dziewczyny, lecz nie oglądał jeszcze jej takiej, jak w tej chwili. To nie dało się porównać z niczym. Lekko zaróżowione policzki, szmargdowo błyszczące oczy i ten radosny, niemal dziecięcy uśmiech, czyniły z niej cudowne zjawisko. Cała pulsowała życiem i nieoczekiwanie Marc uświadomił sobie, jak bardzo mu się podoba. Może również miało znaczenie to, że tak bardzo różniła się od Angelique oraz fakt, że tak dawno nie obcował z kobietą.

Marc ponownie spojrzął na delfiny. Przez chwilę czuł się tak, jakby nie groziło mu najmniejsze niebezpieczeństwo i czerpał radość z samego faktu istnienia. Ale trwało to tylko moment i znów poczuł przytłaczający ciężar.

- Marc! Płyną tutaj!

Po kilku minutach jacht został otoczony przez stado delfinów. Ciszę poranka przerwały liczne, głośne dźwięki. Samantha wybuchnęła radosnym śmiechem. Mimo gnębiącej go melancholii, Marc zawtórował jej wesoło.

- Patrz tam! - Samantha machnęła ręką. - Patrz, jak wysoko podskoczył i ten drugi też. - Patrz, patrz! Przysięgłabym, że ten śmieje się z nas.

- Śmieje się, bo wie, że ma uważną publiczność.

- Chyba masz rację.

- Oczywiście, że mam - powiedział. - Jestem przecież kapitanem.

- Coś takiego!

Spojrzała na niego ze złością, ale kiedy przechyliła się, żeby zobaczyć małego delfinka, znów miała uśmiech na twarzy.

Delfiny zaczęły powoli odpływać i tylko dwa pozostały jeszcze przy jachcie.

- To chyba dobry znak, prawda? - powiedziała Samantha, patrząc jak i te ostatnie podążają za stadem.

- Od setek lat wszyscy ludzie morza tak uważają - odrzekł powoli

Marc. - Tak, to dobry znak.

Miał nadzieję, że rzeczywiście tak było. Pomyślał o niezwykłych okolicznościach, które ich do siebie zbliżyły. Był to dziwaczny kaprys losu. Chociaż mógł przewidzieć, że zakończy się to rozstaniem, po raz pierwszy od lat czuł się odprężony.

Samantha spojrzała na Marka i ponownie dostrzegła zmęczenie na jego twarzy.

- Dlaczego nie prześpisz się trochę? - zapytała. - Czuję się winna, że nie zmieniłam cię przy sterze ubiegłej nocy.

- Ale gderasz.

Dziewczyna uniosła brwi i zdecydowanie chwyciła za ster. Marc odsunął się bez najmniejszego protestu.

- Chyba położę się na pokładzie - powiedział. - Na dole jest za gorąco. Obudź mnie za parę godzin.

- Tak, panie kapitanie, rozkaz. - Nie mogła odmówić sobie odrobiny sarkazmu. - Wszystko, czego pan sobie życzy.

- Świetnie. Pamiętaj o tym, kiedy zejdziesz do kuchni. Możesz pozmywać. - Ściągnął koszulę i rzucił nią w Samanthę.

Już otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz kiedy jej nozdrza wypełnił świeży, męski zapach, cięta odpowiedź wyleciała z głowy dziewczyny. Odetchnęła głęboko. Kilka sekund później odzyskała przytomność umysłu, ale Marc leżał już na brzuchu, a jego regularny oddech świadczył o tym, że pogrążony był w głębokim śnie.

Samantha sięgnęła po kolejny brudny talerz. Gdy go czyściła, zaczęła się zastanawiać, jak jeden mężczyzna może tak bardzo nabałaganić. Jestem kapitanem, wymamrotała, przedrzeźniając go. Trzeba postępować przezornie, pomyślała. Następnym razem ona będzie gotowała.

Odstawiła ostatni talerz i zamknęła szafkę. Była cała spocona i marzyła o zimnym prysznicu, a także o zmianie ubrania.

Weszła do kabiny obok kuchni. Zerknęła do kilku szuflad i z jednej z nich wyjęła parę białych, męskich szortów i kolorową koszulkę, podobną do tej, którą miał na sobie Marc. Rozebrała się i z wahaniem popatrzyła

na prysznic. Zwalczyła pokusę i z westchnieniem napełniła umywalkę. Będzie musiało wystarczyć obmycie gąbką, świeża woda była zbyt cenna, aby ją trwonić.

Zimna woda przyjemnie chłodziła opaloną słońcem skórę. Przeszukała dokładnie szafki i znalazła maść na oparzenia. Wzruszyła ramionami z rezygnacją. Woląaby krem, lecz lepsze to niż nic.

Owinęła się ręcznikiem i podbiegła w stronę łóżka, na którym rozłożyła ubranie na zmianę. Ręcznik spadł na ziemię, a ona zaczęła wcierać w skórę solidną warstwę maści.

Widok nagiej Samantha sprawił, że Marc zatrzymał się w drzwiach. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Patrzył, jak z każdym ruchem dziewczyny mokre kropelki z włosów rozpryskiwały się na jej ramionach. Na opalonych plecach wyraźnie odcinał się ślad po pasku od kostiumu. Przepięknie rzeźbione biodra kontrastowały ze szczupłą talią, tak szczupłą, że z łatwością objąłby ją dłońmi. Gdy pochyliła się, aby włożyć szorty, dostrzegł jej pełne, zaokrąglone piersi. Marc jęknął głucho. Ciało mężczyzny natychmiast zareagowało na ten kuszący widok. Wytarł spocone dłonie o szorty i wycofał się cicho. Kiedy dotarł do schodków, zaklął ze złością. Zawsze był dumny ze swojego opanowania. Widział już niejedną nagą kobietę, a ponadto był żonaty i oswojony z nagością. Do diabła, potrząsnął głową i przetarł oczy.

- Marc?

Omam nie podskoczył na dźwięk jej głosu.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Stało? - wychrypiął, po czym odchrząknął głośno i powiedział. - Nie, nic się nie stało.

- Pożyczyłam od ciebie czyste ubranie. Chyba nie masz nic przeciwko temu.

Marc ostrożnie się odwrócił. Nie chciał, aby zauważyła jego pożądanie. Widok Samantha w jego workowatych spodniach i zbyt obszernej, związanej w tali koszuli, wcale nie osłabił wrażenia, jakie wywarła na nim jej nagość. Przeciwnie, w stroju tym była jeszcze bardziej pociągająca. To nagłe pragnienie wcale nie chciało go opuścić.

Nie patrzył na nią w obawie, aby jego oczy nie ujawniły więcej, niż powinny. - Używaj wszystkiego, co jest ci potrzebne - powiedział niewyraźnie i wspiął się po schodkach.

Samantha podążyła za Markiem, zaintrygowana jego zachowaniem. Kiedy weszła do kokpitu, stał odwrócony tyłem i zakładał koszulę.

- Chciałeś czegoś?

- Przydałby się zimny prysznic - wymamrotał.

- Ja też miałam na to ogromną ochotę, ale obawiałam się, że jest na to zbyt mało świeżej wody. Jak myślisz, kiedy dotrzemy do brzegu?

Marc nie odpowiedział. Zapiął koszulę i jeszcze raz próbował przekonać siebie, że przecież ona nic nie wiedziała o jego obecności na dole.

- Co się stało Marc?

- Nic - odpowiedział i odblokował koło sterowe. - Nic i wszystko. -

Samantha patrzyła na niego uważnie.

- Dlaczego zszedłeś na dół? - zapytała.

- Chciałem... chciałem sprawdzić, co się z tobą dzieje, ale byłaś... byłaś... zajęta, więc postanowiłem ci nie przeszkadzać.

- Aaa... - Jej oczy rozszerzyły się nieznacznie. Wreszcie zrozumiała. - Rozumiem przez to, że mnie widziałeś?

- Nie jestem jakimś cholernym podglądaczem - burknął.

- Nie powiedziałam, że jesteś. - Samantha czuła, że powinna być zakłopotana i trochę zła, ale z jakiegoś dziwnego powodu bawiła ją jego konsternacja.

Wciąż jeszcze się uśmiechała, patrząc jak Marc otwiera magazynek na rufie i wyciąga stamtąd pudełko i podłużny worek.

- Zestaw do wędkowania. - wyjaśnił. - Pomyślałem, że mogę spróbować. Przy odrobinie szczęścia będziemy mieli ryby na obiad.

- Świetnie - powiedziała. - Tylko pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Ty je wyczyścisz, a ja ugotuję. Robisz okropny bałagan w kuchni.

- Nic z tego - potrząsnął głową. - Znakomicie przyrządzam ryby według specjalnego przepisu i żadna kobieta mi w tym nie przeszkodzi.

Ja złapię, ty oczyścisz, potem ja ugotuję, a na końcu ty pozmywasz naczynia.

- Męski szowinista - burknęła.
- Słyszałem, słyszałem - krzyknął.
- Nie będę po tobie sprzątać. Czy to też słyszałeś?
- Słyszałem.

Samantha ujrzała jego szeroki uśmiech i wzruszyła ramionami. Marc złożył wędkę i usiadł. Rzucił okiem na wodę.

- Jutro powinniśmy dołynąć do brzegu - powiedział.

- Gdzie dokładnie?

- Jeśli prawidłowo sterowaliśmy, to znajdziemy się, w okolicach Cedar Keys na Florydzie.

- I co wtedy?

- Będziesz mogła wrócić do domu.

Poczuła się przygnębiona. Ulotnił się gdzieś spokój i zadowolenie. Patrzyła, jak Marc wyciąga pustą żyłkę. Wiadomość ta powinna ją ucieszyć. Dlaczego więc była rozczarowana?

- Twojej rodzinie spadnie ciężar z serca. Zadzwoisz do nich, kiedy dotrzemy do brzegu.

- Nie mam do kogo zadzwonić - wzruszyła ramionami Samantha.

Marc spojrzał na nią z uwagą.

- Wiem, że twoi rodzice nie żyją, ale chyba jest ktoś bliski - zapytał. - Mąż, przyjaciel?

- Nie. - Wysunęła szczękę. - A co z tobą? Chyba czeka na ciebie żona lub przyjaciółka?

Powinna była ugryźć się w język, ale te sarkastyczne słowa wymknęły się jej, zanim zdążyła pomyśleć. Wyglądało na to, że każdy mężczyzna uważał, że kobieta, która skończyła już dwadzieścia pięć lat, nie może być bez mężczyzny. Cóż, już kiedyś był w jej życiu mężczyzna, ale nie pozostało po nim nic, oprócz wstydu i bólu.

- Jestem rozwiedziony - powiedział głucho Marc. - A dokładnie, będę za miesiąc.

- Już kiedyś słyszałam coś takiego - mruknęła. Kiedy Marc odwrócił się

i spojrzął na nią uważnie, zorientowała się, że jej wypowiedź zabrzmiała napastliwie. Zobaczyła ból w jego oczach.

- Tym razem to prawda. - Odkaslnął. - Przyznaję, że nie była to moja decyzja i żałuję tego. To ona wystąpiła o rozwód. Chyba pokochała kogoś innego, a ja nie zamierzam stać jej na drodze.

- Gdybym była na twoim miejscu nie martwiłabym się. Wiem z doświadczenia, że mąż i żona nigdy się nie rozstają. Szkoda mi tylko tego drugiego.

Marc otworzył usta, żeby powiedzieć, co myśli o tym drugim, ale zrezygnował. Usłyszał w jej głosie jakiś bolesny ton. Odwrócił się i skoncentrował na wędkowaniu.

Po kilku minutach Samantha poczuła się nieswojo. Nie powinna wylewać swoich pretensji na Marka, jednak nie mogła się powstrzymać, kiedy usłyszała, że jest żonaty. A przecież to nie jego wina, że tak bardzo się jej podobał i wiązała z nim pewne nadzieje. Nie upoważnił jej do tego żadnym słowem ani gestem.

Westchnęła ciężko i uznała, że zmiana tematu mogłaby poprawić atmosferę.

- Co zrobisz, kiedy dotrzemy do Cedar Keys?

- Wrócę do domu, jeśli będzie bezpiecznie.

- A jeśli nie będzie?

- Nie wiem - spojrzął na nią. - Ci, co mnie szukają, nie są amatorami.

To zawodowcy i tylko ja mogę ich rozpoznać. Z początku myślałem, że za tym wszystkim kryje się kongresmen Bobby Landry.

- A teraz?

- Teraz nie jestem już taki pewny. Telefon, który dostałem...

- Jaki telefon?

- Tak... - powiedział powoli Marc. - Nic nie wiesz o telefonie. Właśnie dlatego wplątałem się w to wszystko.

Przerwał, a Samantha czekała, aż zacznie mówić dalej.

- I co? - zapytała w końcu.

- Tak... - powtórzył i zamrugnął kilkakrotnie. - Telefon. - Znowu przerwał, po czym uderzył wędką o pokład. - Telefon!

Znów przerwał, chwycił Samanthę za ramiona i potrząsnął nią gwałtownie.

- Powinienem być się domyślić - krzyknął. - Landry nie ma z tym nic wspólnego, ale ktoś wyraźnie pragnął, żebym tak myślał. Żebym to opisał w taki sposób.

- Mocno przytulił oszołomioną Samanthę, czuła bicie jego serca. - Sam, jesteś fantastyczna!

- Ale ja przecież... - Słowa zamarty dziewczynie na ustach, gdy odsunął ją na odległość ramienia i uważnie przyjrzał się jej. Chłopięce podniecenie zniknęło z jego twarzy. Pachniał morzem i dobrą wodą kolońską. Czuła narastające pragnienie. Ręce Marka zacisnęły się na jej ramionach i przez moment miała nadzieję - więcej, pragnęła, aby ją przytulił i pocałował. Nagle wypuścił ją z objęć.

Zadrżała z rozczarowania. Czy miała zbyt bujną wyobraźnię? Nie, on chciał ją pocałować, była tego pewna. Odetchnęła głęboko, aby się uspokoić. Patrzyła, jak Marc odchodzi i podnosi wędkę.

Nie mogła się oszukiwać. Ponownie zapragnęła żonatego mężczyzny, kogoś, kto należał do innej kobiety. Tym razem jednak nie pozwoli sobie na to. Tym razem nie będzie naiwna i nie da się złapać na magiczne słowa „rozwodzę się”. Najlepiej będzie przejść do porządku dziennego nad tym zdarzeniem i udawać, że nic się nie zdarzyło. Odkaslnęła i z trudem powróciła do przerwanej rozmowy.

- Jeżeli Landry nie stoi za tym zabójstwem, to kto? - zapytała.

Marc odwrócił się i popatrzył na nią lekko nieprzytomnym wzrokiem.

- Nie jestem pewien - powiedział. - Poczekam, aż się dowiem, jakie informacje zebrał mój ojciec.

Był bardzo poruszony, widziała to wyraźnie. Przygryzła wargę i spojrzała na wskazania busoli. „Jenny” zbczyła z kursu o dwa stopnie. Odruchowo poprawiła kurs. Czuła się bardzo niepewnie. Może myliła się w swojej opinii o Marku. Może wcale nie był takim dżentelmenem, jak to wynikało z jego dotychczasowego zachowania. Przecież już kiedyś dała się oszukać, a Clark nawet w części nie był tak dobrze wychowany i elokwentny jak Marc.

- Do diabła! Coś złapałem!

Samantha błyskawicznie odwróciła głowę, a oczy jej rozszerzyły się z niedowierzaniem. Żyłka była napięta.

- Uważaj! - krzyknęła. - Poluzuj trochę linkę!

- Kto łowi? Ty czy ja?

Samantha uśmiechnęła się. Kiedy rzucał te aroganckie słowa, jednocześnie poluzował linkę. Pobłaźliwie potrząsnęła głową. Wszyscy mężczyźni są do siebie podobni. Żaden nie lubi przyznać w czymkolwiek racji kobiecie. Marc teraz też to potwierdził swoją reakcją.

- Tylko nie zapomnij, że nie będę po tobie sprzątać - krzyknęła głośno.

Było już dobrze po północy, kiedy Marc wszedł do kuchni. Ziewnął i zerknął na szafkę, gęsto zastawioną brudnymi naczyniami. Samantha konsekwentnie odmawiała zmywania.

Marc zachichotał i napełnił zlew wodą. Przypomniat sobie, jak dziewczyna zaproponowała, żeby wyczyścić rybę. Kiedy wybuchnął śmiechem, nazwała go typowym męskim szowinistą i resztę czasu spędził na udowadnianiu, że potrafi oskrobać i wypatroszyć dużego łososa.

Marc wytarł ostatni talerz i zamknął szafkę. Samantha będzie zaskoczona, gdy się obudzi. Nie tylko zastanie czystą kuchnię, ale także odkryje, że nie znajdują się już na otwartych wodach.

Mocny wiatr i silne prądy pomogły Markowi. W blasku księżyca i światła gwiazd wprowadził „Jenny” do małej zatoczki. Jeśli nie popełnił błędu w nawigacji, i znajdowali się teraz o parę mil na północ od Cedar Keys. Tam będzie mógł zaopatrzyć się w świeże pożywienie i skontaktować z ojcem.

Na palcach zbliżył się do drzwi kabiny, w której spała Samantha. W świetle padającym z kuchni mógł dostrzec sylwetkę dziewczyny. Ostrożnie podszedł do koi. Równy, spokojny oddech wskazywał na głęboki sen. Ochłodziło się nieco, więc przykrył ją kocem. Przed oczyma stanął mu obraz nagiej Samanthy, jej pięknego, gładkiego ciała. Nagle Sam jęknęła. Marc zeszywniał i wstrzymał oddech, ale ona tylko zmieniła położenie i skuliła się pod ciepłym kocem.

Odetchnął z ulgą i zatrzymał wzrok na jej lekko rozchylonych ustach. Dziś po południu wycofał się w ostatniej sekundzie przed pocałunkiem. Wyczuwał, że ona też tego pragnęła, ale coś go powstrzymywało. Jego sytuacja rodzinna nie była do końca uregulowana, a sarkastyczna uwaga dziewczyny o tym drugim uświadomiła mu, że Samantha też kiedyś cierpiała.

Pochylił się i musnął ustami jej włosy. Pasemko przylgnęło do jego wilgotnych warg. Wyprostował się i popatrzył na nią z zadumą. Odeśle ją do domu, dla jej bezpieczeństwa, własnego spokoju, spokoju sumienia.

Tak będzie najlepiej. Ona odzyska wolność i nie będzie niczego żałować. Może pewnego dnia znów przypadkiem się spotkają.

Marc z niedowierzaniem potrząsnął głową i wyszedł z pomieszczenia. Kogo próbował oszukać? Prawdopodobnie nie dożyje nawet przyszłego tygodnia.

6

Szarpiący, nieznośny ból. Tylko to czuł Tommy Baley, kiedy odzyskał przytomność. Próbował otworzyć oczy, ale światło zbyt go raziło. Postanowił chwilę poczekać i spróbować ponownie. Otaczały go jakieś niewyraźne hałasy - kroki, nie zidentyfikowane głosy, brzęczenie tac. Wszystko to odbierał, jak przez watę. Powoli jednak jego zmysły budziły się z uśpienia. Poczuł, że ma obwiązaną głowę. Chciał jej dotknąć, ale prawa ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Cicho zajęczał z wysiłku.

- Chyba się obudził. - dobiegł go kobiecy głos. Tommy znów spróbował otworzyć oczy i tym razem udało mu się. Przy jego łóżku stała kobieta w bieli. Jakiś mężczyzna pochylał się nad nim z wyrazem zatroskania. Tommy natychmiast go rozpoznał.

- Czy możesz mi powiedzieć kim jesteś, młody człowieku? - usłyszał Tommy.

Tommy starał się przemówić, ale nie pozwalało na to wysuszone gardło. Przełknął kilkakrotnie ślinę, zanim cokolwiek zdołał wykrztusić.

- Doktorze - wyskrzecztał. - Wie pan, kim jestem. Zna mnie pan przecież.

- Chodzi o to, czy ty wiesz, kim jesteś - uśmiechnął się doktor.

Chory westchnął ciężko.

- Tommy... Tommy Bailey.

- Bardzo dobrze. - Doktor znów się uśmiechnął. - Czy pamiętasz, co ci się przydarzyło?

Próbował sobie przypomnieć, ale nie mógł się skoncentrować, tak bardzo bolała go głowa. Gęste krople potu spływały mu po czole. Poczuł, że lekarz klepie go uspokajająco po ramieniu.

- Już dobrze, Tommy. Nie męcz się, później sobie przypomnisz.

- Doktorze, co mi jest? - Tommy czuł, że ogarnia go panika. Nie mógł się ruszyć. - Dlaczego się tu dostałem?

- Masz wstrząs mózgu oraz kilka innych obrażeń. Złamana prawa ręka i zgniecione trzy żebra.

- Czy to wszystko? - Tommy usiłował się roześmiać, ale przeszkadzał mu ostry ból w piersiach.

- Odpoczywaj teraz, Tommy. Twoja rodzina przyjdzie później. Bardzo martwili się o ciebie.

Tommy zamknął oczy, ale nie mógł zasnąć. Przez głowę przelatywało mu tysiące pytań, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Wiedział, że było coś, coś bardzo ważnego, co wiązało się bezpośrednio z przyczyną, dla której znalazł się w szpitalu.

Przez pewien czas w pokoju panowała niczym nie zważona cisza. Nagle usłyszał czyjeś kroki. Zamrugał i z wysiłkiem otworzył oczy. To była pielęgniarka. Uderzyło go coś znajomego w jej wyglądzie. Zanim jednak cokolwiek skojarzył, odwróciła się do wyjścia.

- Proszę poczekać. - Jakaś mglista sylwetka pojawiła się na moment w jego pamięci i jeszcze szybciej zniknęła. Gdyby pielęgniarka postąpiła tu kilka minut, na pewno zdołałby wszystko sobie przypomnieć.

- Słucham? - zapytała z uśmiechem. - Czy pan czegoś potrzebuje?

- Tylko nowego ciała - skrzywił się Tommy. - To już się chyba całkiem zużyło.

- Cóż, nie mogę panu pomóc - roześmiała się i potrząsnęła głową.

Miała długie do ramion, jasne włosy. Pod białym fartuchem kryło się szczupłe, zgrabne ciało. Wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat.

- Która godzina? - zapytał. Spojrzała na zegarek.

- Kilka minut po dziesiątej. Coś jeszcze?

- Proszę pani, wiem, że to zabrzmiało okropnie banalnie, ale czy nie spotkaliśmy się już kiedyś? - Gdy wypowiadał te słowa, uświadomił sobie, co go tak gnębiło. - Sam! O Boże, Sam! - Jęknął i zamknął oczy. Ujrzał ją na jachcie, jak pochyla się nad nieznanym. Poczł ogromny strach. Jak długo jest w szpitalu? Czy ona nadal czeka?

- Co się stało? Nie, jeszcze nie wolno panu wstawać.

- Pani nic nie rozumie. - Tommy bezskutecznie próbował odepchnąć rękę pielęgniarki. Był na to zbyt słaby.

- Ona ciągle tam czeka.
- Panie Bailey, proszę się uspokoić. Zerwał pan kroplówkę.
- Dobrze, dobrze. - Wyczerpany opadł na poduszkę.
- Proszę wezwać doktora.

Nie ruszyła się, tylko ujęła go za rękę, żeby sprawdzić puls. Szarpnął się niecierpliwie.

- Proszę wezwać doktora - powtórzył.
- Tylko niech pan nie próbuje wstawać. - Wycofywała się powoli.
- Błagam, niech się pani pośpieszy. To bardzo pilne!

Samantha powoli otworzyła oczy. Promienie słońca rozświetlały półmrok panujący w kabinie. Rozpoczął się kolejny dzień. Wciąż znajdowała się na „Jenny”, ale coś się zmieniło.

Odrzuciła koc i usiadła na koi. Koc? Skąd się wziął, przecież nie przykrywała się w nocy. W kabinie było tak duszno, że udało jej się zasnąć dopiero po jakimś czasie. Widocznie Marc przyszedł w nocy i przykrył ją. Serce zabiło jej mocniej, gdy uświadomiła sobie, że patrzył na nią, gdy spała.

Wstała i podeszła do bulaja. Rozsunęła cieniutką zastonkę. Wciąż rozważała wydarzenia ubiegłego dnia. Kiedy oswoiła się już z oślepiającym blaskiem słońca, ujrzała przejrzystą wodę i porośnięty trawą brzeg. Wszędzie było mnóstwo zieleni i złotego piasku.

A więc wszystko dobiega końca. Wkrótce znajdzie się w domu. Bezpieczna, ale samotna. Jeszcze tak niedawno błagała Marka, żeby pozwolił jej wrócić, ale teraz...

Ruszyła w stronę kuchni. Przełknęła ślinę, żeby rozluźnić ściśnięte gardło. Wiedziała dobrze, że te objawy nie mają teraz nic wspólnego z jej fobią. Ogarniał ją strach, lecz powodem było zupełnie co innego... bała się o Marka. Opuszczenie zatoki wiązało się dla niego z niebezpieczeństwem, może nawet ze śmiertelnym zagrożeniem. Ktoś przecież zabił policjantów tylko dlatego, że stanowili jego ochronę. Szczęśliwy los sprawił, że nie zlikwidowano go już wtedy. Z pewnością nie zrezygnowali i spróbują ponownie.

Przez otwarte drzwi zobaczyła Marka leżącego na koi. Widok

mężczyzny jeszcze wzmógł jej niepokój. Tak wiele zdarzyło się w tak krótkim czasie, także w sferze uczuć. Zaczęła od strachu, a skończyła na pożądaniu. Nie zaskoczyło to dziewczyny, od pierwszych chwil wydał jej się niewytłumaczalnie bliski.

Wyjęła z szafki kubek, napełniła wodą i wstawiła do kuchenki mikrofalowej. Myśli Samantha znów pobiegły do Marka. Może jej nieufność wynikała z porażki, jaką poniosła z Clarkiem. Woląta być sama, niż ryzykować, że zaangażuje się w kolejny nieudany związek. Kiedyś była babcia, która ją pocieszała, teraz nie było nikogo, kto mógłby jej w czymkolwiek poradzić. Może nieświadomie uzależniła się od Marka, a on wykorzystywał to we własnym interesie.

A przecież tak naprawdę Marc nie zrobił niczego, co mogłoby usprawiedliwić takie podejrzania. Nie stwarzał dwuznacznych sytuacji. Nic się nie wydarzyło, poza momentem, kiedy prawie ją pocałował, ale wtedy była pewna jego pragnienia. Zauważyła już przedtem spojrzenia, jakimi ją obrzucał, gdy sądził, że ona tego nie widzi.

Uznała, że wspólnie przeżyte niebezpieczeństwo zbliża ludzi i zmienia wzajemne stosunki. Na pewno przejęłaby się losem każdego, kto znalazłby się w sytuacji Marka. Nie powinno mieć dla niej znaczenia, czy był wolny, czy żonaty. Nie wydawał się szczęśliwy z powodu zbliżającego się rozwodu, ale przecież jego żona mogła zmienić zdanie i Marc znów byłby z nią, podobnie jak Clark powrócił do swojej żony.

Doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zacznie trzeźwo myśleć, zamiast oddawać się idiotycznym rozważaniom. Nie może powtórzyć błędu, który popełniła, gdy zdecydowała się na związek z żonatym mężczyzną. Usłyszała brzęczenie kuchenki i zanurzyła łyżeczkę w puszcze z kawą.

- Ja też poproszę o kawę.

Podskoczyła na dźwięk głosu Marka. łyżeczka wypadła jej z ręki i kawa rozsypała się wokół puszeki.

- Myślałam, że jeszcze śpisz - powiedziała zmieszana i szybko strzepnęła rozsypaną kawę, po czym sięgnęła po drugi kubek.

- Czy zauważyłaś pewną różnicę?

Różnicę? Wszystko było zupełnie inne. Dziś wracała do domu. Dziś kończył się też pobyt w świecie fantazji, w świecie, w który porwał ją ciemnowłosy nieznajomy, a po całej masie przygód zakochał się w niej do szaleństwa. Spojrzała na niego. Przeciągał się i ziewał przeraźliwie. Z potarganymi włosami i nagim torsem wyglądał szalenie seksownie i niebezpiecznie.

- Więc?

- Co? - Zamrugwała nieprzytomnie. Z wysiłkiem usiłowała znaleźć sensowną odpowiedź. - Dobiliśmy do brzegu - wykrztusiła wreszcie.

- Tak...?

Zaskoczona jego rozczarowanym tonem, rozejrzała się uważnie. Nie dostrzegła niczego szczególnego. Jak zwykle, kuchnia była nieskazitelnie czysta. Spojrzała raz jeszcze i wzruszyła ramionami.

- To jest właśnie problem z kobietami. - Marc westchnął z wyrazem cierpienia na twarzy. - Dajemy wam to, czego pragniecie, i co z tego mamy? Żadnego uznania, nawet byle jakich podziękowań. - Machnął ręką. - Zapomnij o tym.

Po tej przemowie podszedł do szarki.

- Jeżeli pozwolisz, wezmę czysty kubek i sam przygotuję sobie kawę. - Spojrzał z udawanym niesmakiem na rozsypaną neskę. - Jesteś bałaganiarą, Samantho. Musisz się nauczyć sprzątać po sobie.

Dziewczyna cofnęła się i patrzyła na niego w milczeniu. Nagle zrozumiała i zmieszanie widoczne na jej twarzy ustąpiło miejsca przesadnej uprzejmości.

- Ależ oczywiście, obsłuż się. - Ruszyła w kierunku drzwi. - Zechciej przyjąć moje uniżone przeprosiny. Wspaniale posprzątałeś, kapitanie. Nie zrobiłabym tego lepiej.

- Hmm! - mruknął w odpowiedzi.

Poczuła się trochę urażona, ale błysk w jego oczach pozostawał w tak wyraźnej sprzeczności z nieprzyjemną odpowiedzią, że jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Ku zdumieniu Samanthy, Marc podszedł i wziął ją w ramiona.

- Będę za tobą tęsknił, Sam - wyszeptał.

Poczuła ucisk w żołądku i gdzieś zniknęło jej rozbawienie. Ona też będzie za nim tęskniła. Lubiła jego poczucie humoru. Ceniła jego dobre wychowanie i wzruszała ją wyraźnie okazywana troskliwość, ale najbardziej ujął Samanthę tym, że traktował ją jak równorzędnego partnera. A teraz jeszcze udowodnił, że nie wstydział się okazywania uczuć. Jego słowa sprawiły, że zapomniała o swoich poprzednich postanowieniach.

Kiedy przycisnął ją do siebie, zdała sobie sprawę, jak niewiele wspólnego miał ten gest z uzewnętrznianiem braterskich uczuć. Przywarła mocniej do niego.

Kuchenka znów zabrzęczała. Marc powoli rozluźnił uścisk i odwrócił się. Samantha zadrżała jednocześnie z rozczarowania i ulgi. Była zmieszana i zawiedziona w swoich pragnieniach.

- Wypijmy kawę na górze - powiedział Marc niskim głosem. - Muszę z tobą porozmawiać.

Samantha zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową potakująco.

Po kilku minutach siedzieli w kokpicie i Marc przedstawiał swój plan działania. Samantha starała się uspokoić i skoncentrować na tym, co mówił.

- Znajdujemy się parę mil na północ od Cedar Keys. - Przerwał i wypił łyk kawy. - Jest tam mała przystań, chyba bezpieczna, no i mnóstwo sklepów. Uzupelnę zapasy na wypadek, gdybym znów musiał wypłynąć. Kiedy skontaktuję się z ojcem, zrobię wszystko, żebyś mogła bezpiecznie wrócić do domu. Będziesz potrzebowała jakiegoś ubrania. Jeżeli podasz mi rozmiary, na pewno uda mi się kupić coś odpowiedniego.

- Dlaczego nie mogę iść z tobą? - zapytała.

- Myślałem o tym i uznałem, że będzie lepiej, jeżeli zostaniesz na, Jenny".

- A co ja mam tu robić, kiedy ty będziesz latał po sklepach? Sam mówieś, że tam jest bezpiecznie.

Marc nie odpowiadał, więc dziewczyna odezwała się ponownie.

- A jeśli coś ci się stanie?

- Nic mi sienie stanie, zapewniam cię. Myślę, że tam jest bezpiecznie,

ale nie mogę być pewien. Jeżeli ktoś obserwuje przystań, pójdzie za mną. Gdyby były jakieś kłopoty, nie chciałbym ciebie w nie wciągać. Nie denerwuj się, naprawdę nic mi nie będzie.

- Tego nie możesz przewidzieć - powiedziała sucho. Krzepiące słowa Marka nie zdołały jej przekonać.

Pomyślała o Tommym. On też obiecywał, że wróci. Nie miała pojęcia, co się z nim stało, ale wiedziała, co może stać się z Markiem. Szukali go zawodowcy, wiadomo w jakim celu.

- Co zrobisz, jeżeli jednak nie wrócisz? - zapytała z rozpaczą. - Wszystko, co mam, to tylko te szmatki na sobie. Żadnych pieniędzy ani dokumentów.

- Sam, obiecałem ci, że bezpiecznie wrócisz do domu i niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie dotrzymam tej obietnicy.

Samantha snęła zęby.

- Nie. zostanę sama na jachcie - powiedziała z naciskiem. - Idę z tobą. Marc gorączkowo szukał argumentów, które zdołałyby ją przekonać.

- Samantho, bądź rozsądna - odezwał się w końcu. - Musisz zostać na „Jenny” na wypadek, gdyby ktoś wpadł na pomysł, żeby ją wypożyczyć.

- To wykręt, dobrze o tym wiesz.

- Obawiałem się, że właśnie tak zareagujesz.

- Może podasz mi jakiś inny, trochę bardziej przekonujący powód?

- Nie ponaglaj mnie - westchnął ciężko. - Zastanawiam się.

- Tylko się nie przemęcz.

Marc przeczesał palcami włosy i uśmiechnął się zniechęcony.

- Nie chcesz pozwolić mi na odegranie roli opiekuńczego samca, prawda? - Jej uśmiech wystarczył mu za odpowiedź.

- Skoro to już ustaliliśmy - zaczęła - to powiedz teraz, co chciałbyś na śniadanie.

- O nie. - Potrząsnął głową. - Tak łatwo ci nie pójdzie. Uśmiech Samanthy zniknął.

- Zrozum, Marc, ktokolwiek cię szuka, szuka samotnego mężczyzny, a nie mężczyzny w towarzystwie kobiety. - Zignorowała jego protesty. - Nie zwrócą uwagi na parę. Jeżeli będziesz sam, natychmiast rzucisz im

się w oczy.

Po południu Marc stał w kawiarni na nabrzeżu. Wyjrzał przez okno. Na niewielkiej przystani tuż za deptakiem tłoczyły się dziesiątki jachtów. Nie spuszczał oka z Samantha, która stała na „Jenny”. Obawiał się, że dziewczyna może pójść za nim. Z tej odległości nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy. Nie musiał. Dobrze wiedział, jakie emocje nią targały. Wyprostowana sylwetka ze skrzyżowanymi na piersiach rękami wskazywała na to, że Samanthę przepełniała wściekłość. Wcale się jej nie dziwił.

Przechytrył ją za pomocą mało eleganckiego podstępu. Zaproponował jej, aby włożyła bikini i swoją bluzkę. Tak, jak przewidywał, Samantha uznała, że ustąpił i pozwoli jej pójść ze sobą. Kiedy zeszła na dół, natychmiast opuścił jacht.

Minęło już kilka minut, a Samantha wciąż stała na pokładzie i wzrokiem przeszukiwała tłum. W końcu odwróciła się i zniknęła z pola widzenia. Marc odetchnął z ulgą i opuścił kawiarnię.

Zerknął na zegarek i zdecydowanym krokiem ruszył wzdłuż głównej ulicy. Biorąc pod uwagę przyzwyczajenia ojca do stałej pory kolacji, był pewien, że zastanie seniora Dureaux w domu.

Gałęzie drzew, gęsto porastających ulicę, łagodziły trochę popołudniowy upał. Marc mijał schludne domki z ganeczkami. Odnosił wrażenie, że czas się tu zatrzymał. Odkrył Cedar Keys podczas pierwszej wyprawy na „Jenny II”. Wprawdzie przybyło kilka butików i restauracji, lecz poza tym nic się nie zmieniło. Wszystko wyglądało tak samo jak kiedyś.

Dostrzegł pustą budkę telefoniczną na rogu ulicy i szybko podążył w jej stronę. Wszedł do środka i wykręcił numer. Dora odebrała już po trzech sygnałach. Znajomy głos gospodyni sprawił, że nagle poczuł gwałtowną tęsknotę za domem. Dora była nie tylko gospodynią, ona wręcz należała do rodziny.

- Dora, tu Marc - powiedział.

- Bogu dzięki! Jak się czujesz? Czy stało się coś złego?

- Nie, wszystko w porządku. - Marc uśmiechnął się. Wiedział, co Dora

powie za chwilę i jak zwykle, nie pomylił się.

- To dobrze - powiedziała krótko. - W dzieciństwie powinnam była tłuc cię różgą. Z tobą zawsze same kłopoty. Nie dawałeś znaku życia. Myśleliśmy już, że leżysz gdzieś martwy.

- Dora, kocham cię. - Jak zwykle, te dwa słowa podziały jak zakłęcie. Wyobraził sobie, jak szcupta, niemłoda kobieta rumieni się niczym podlotek. - Czy jest tata?

- Pan Edward jest w bibliotece. Właśnie szłam mu powiedzieć, że kolacja gotowa.

- Mogłabyś go szybko zawołać? Nie wiem, jak długo jeszcze będę mógł stąd rozmawiać.

- Oczywiście. - Umilkła na moment, po czym dodała. - Uważaj na siebie.

- Będę uważał. - Znów się uśmiechnął. Dora była poufała w stosunku do niego, ale ojca traktowała z najwyższym szacunkiem. Kiedy Marc miał kilkanaście lat, z całą naiwnością zasugerował Dorze, że powinna poślubić ojca. Najpierw wytargowała go za uszy, a potem wygłosiła długą tyradę na temat różnicy społecznej między dzentelmenem, jakim był pan Edward, a zwykłą gospodynią domową. Zagroziła mu także, że jeśli kiedykolwiek wspomni o tym przy ojcu, ona natychmiast podziękuje za pracę. Jej gwałtowny protest upewnił Marka we wcześniejszych podejrzeniach. Dora kochała jego ojca, lecz z powodu swojej pozycji, nie zdradziłaby się nigdy z tym uczuciem. Suchy trzask w słuchawce oderwał go od tych rozmyślań.

- Synu, co za ulga, że cię słyszę. - Rozległ się głos ojca. - Martwiłem się... Ostatnio twój głos nie brzmiał zbyt wesoło.

- Wszystko w porządku, tato. Naprawdę. Ale nie wiem, jak długo możemy jeszcze rozmawiać.

- Poczekaj chwilę.

Usłyszał, że ojciec woła do Dory, aby odłożyła słuchawkę.

- Nareszcie. - Edward Dureaux odkaslnął. - Marc, oni wiedzą o tej kobiecie. Samantha Bradford, tak? - Marc poczuł, że uginają się pod nim kolana. - Synu, jesteś tam?

- Jak to? - Marc ścisnął mocniej słuchawkę. - Jacy oni?

- Jej przyjaciel zgłosił zaginięcie. Rozpoznał ciebie na zdjęciu w gazecie. Twierdzi, że razem znaleźli cię nieprzytomnego na jachcie. Potem on pojechał po pomoc, ale po drodze miał wypadek i dopiero po kilku dniach odzyskał przytomność. Gazety mają pole do popisu. Zastanawiają się, dlaczego porwałes...

- Porwałem?! Dobry Boże! - Marc z niedowierzaniem potrząsał głową.

- Przecież to niedorzeczne.

- To jedna wersja - ciągnął ojciec. - Inna głosi, że ona jest jakąś obłąkaną dziedziczką pokaźnej fortuny i masz z nią romans.

Marc otwierał i zamykał usta, oszołomiony tym, co usłyszał.

- Sam? Obłąkaną dziedziczką? - Było to zbyt absurdalne, aby się tym przejmować.

- Czy ona jest z tobą?

- Tak, ale nie był to mój wybór. Zdecydował przypadkowy zbieg okoliczności. To długa historia i nie mogę ci teraz tego wytłumaczyć. Naprawdę jej nie porwałem. Poza tym, uwierz mi, Samantha Bradford z całą pewnością nie jest obłąkana.

- Nieważne, ale jej obecność wiele komplikuje.

- Trudno mi w to wszystko uwierzyć - powiedział Marc. - Myślałem, że będzie lepiej, jeżeli początkowo nie odstawię jej na brzeg, a teraz... sam nie wiem. Dzisiaj miała jechać do domu.

- Nie. To zły pomysł. Ktoś mógłby uznać, że będzie wiedziała, gdzie cię szukać.

- Ale jeśli teraz wpadną na mój trop, to...

- Wiem, ale ona ma większe szanse z tobą niż sama. Nie można ufać tej cholernej policji.

Marc wiedział, że ojciec ma rację.

- Dowiedziałeś się czegoś? - zapytał.

- Tylko tego, że wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane, niż początkowo sądziliśmy. Stoi za tym ktoś o wiele potężniejszy od Bobby'ego Landry. Użyli go jako przynęty, a ponieważ Bobby ma wygląd jasnowłosego cherubina, sądzili, że tak naprawdę nikt go nie będzie

podejrzewał.

- Domyślałem się tego. To była pułapka, a ja w nią wpadłem. Nie wiem tylko, dlaczego właśnie mnie wybrali na świadka.

- Jednym z powodów była twoja reputacja znakomitego dziennikarza. Nikt nie odważyłby się podać w wątpliwość twoich relacji. Ale jest jeszcze inna przyczyna. Nie znam na razie szczegółów. - Edward Dureax umilkł na chwilę. - Jestem w ciągłym kontakcie z jednym z moich przyjaciół, który interesuje się tą sprawą z przyczyn zawodowych. Wierzę mu, że nam pomoże,

- Możesz podpowiedzieć swojemu przyjacielowi, żeby zaczął od tego wszawego Arnie Turnera. Właśnie on zadzwonił do mnie i powiedział o spotkaniu gubernatora z Landrym. Powinienem być przewidzieć, że nie można mu ufać. Sprzedałby własną matkę, gdyby tylko ktoś chciał zapłacić. Mogę się założyć, że Arnie pracuje dla tego, kto zorganizował to wszystko.

- Synu, powiedz mi, co z panią Bradford? - Usłyszał po drugiej stronie słuchawki i zaraz ujrzał Samanthę z jej długimi blond włosami i gniewnymi niebiesko-zielonymi oczami.

- Co masz na myśli? - zapytał. - Czy możesz jej zaufać?

- Nie będzie z nią żadnych kłopotów - odparł szybko Marc. - To znaczy, z pewnością niczego nie powie, ale będą kłopoty innego rodzaju... - A jak się miewa Angelique i mój drogi kuzyn Jean Claude? Co myślą o mojej sytuacji? - Gardło miał ściśnięte i z trudem wydobywał głos. Tak naprawdę nic go nie obchodziły reakcje tych dwojga, ale gwałtownie chciał zmienić temat. Rozmowa o Samancie wywoływała zbyt duże napięcie.

Minęło kilka sekund, zanim usłyszał głos ojca.

- Z Angelique wszystko w porządku - powiedział Edward Dureaux.

- Czy już się wyprowadziła? - Marc oparł się o szklaną ścianę budki.

- Nie... jeszcze nie i postanowiłem nie naciskać. Poczekamy do oficjalnego rozvodu, tym bardziej że przecież tu nie mieszkasz...

- W porządku, tato. Rozumiem. - Marc pomyślał, że ojciec zawsze miał zbyt miękkie serce.

- Czy ona jest w domu? - zapytał. - Nie ... wyszła. - Pewnie z Jean Claude'em, pomyślał. - Czy uwierzyłbyś Marc - ciągnął Edward - że po tym wszystkim ten idiota - twój kuzyn - upiera się, że będzie startował w wyborach na gubernatora. - Ojciec sapnął z niesmakiem. - Nieważne. Nie musisz się o niego martwić, on zawsze daje sobie radę. Chciałbym, abyś zadzwonił za dwa dni. Będę miał wtedy więcej informacji. Czy jesteś w bezpiecznym miejscu?

Marc rozejrzał się dokoła. Jedynym miejscem, gdzie czuł się bezpiecznie, była „Jenny”, ale nie chciał martwić ojca.

- W całkiem bezpiecznym - odpowiedział. - Mam tylko nadzieję, że nikt nie podsłuchiwał i nie wysledzą, skąd dzwoniłem.

- Nie sądzę, żeby już założyli mi podsłuch, biorąc pod uwagę ten ich biurokratyczny bałagan. Jednak na wszelki wypadek kończmy już. Nie kręć się tam zbyt długo i uważaj na siebie, synu. - Tato?

- Tak?

- Dziękuję. Kocham cię.

Marc zaczekał na cichy sygnał zwiastujący przerwanie połączenia, po czym powoli odwiesił słuchawkę. Patrzył szklanym spojrzeniem na ulicę, a tysiące myśli przelatywały mu przez głowę. Jak powie o tym Samancie? Obiecał jej bezpieczeństwo, a tymczasem...

Otworzył drzwi budki. Podmuch świeżego powietrza przyjemnie ochłodził mu twarz. Zamyślony skierował się w stronę jachtu. Skoro ich nazwiska pojawiły się w gazecie, nie mogli pozostać tu przez następne dwa dni. Ten, kto ich śledzi, lada moment wykryje, gdzie jest „Jenny”. A może już ktoś zauważył jacht? Poza tym, jeśli telefon ojca był na podsłuchu, wiedzieli, skąd dzwonił. Marc zacisnął pięści w bezsilnej wściekłości. Musiał mieć czas, aby pomyśleć, znaleźć jakieś wyjście, ale... z dala od Samantha. Najlepiej w jakimś przytulnym barze, przy szklaneczce czegoś zimnego. W połowie ulicy Marc nagle przystanął. Jakby od niechcienia obejrzał się, ale nie zauważył niczego podejrzanego, niczego, co mogłoby usprawiedliwić ten nagły dreszcz, który przebiegł mu po plecach. Pozostał jednak dziwny niepokój. Marc był zupełnie pewien, że ktoś go śledził.

7

Edward podniósł wzrok i ujrzał bratanka stojącego w drzwiach z zatroskanym wyrazem twarzy. Nie wyglądał on zbyt przekonująco, ale Edward próbował to złożyć na karb własnych uprzedzeń.

- Czy to Marc?

Stary Dureaux skinął głową.

- Wszystko w porządku?

- Tak, ale nadal się martwię. Czuję się całkiem bezradny, nie mogę też nikomu ufać.

- Nie dziwię ci się. - Jean Claude podszedł bliżej. - Biedny Marc. Czy mógłbym w czymś pomóc?

Edward pragnął z całego serca, aby Jean Claude choć raz był szczery w kwestii swojego stosunku do Marka. Przez te wszystkie lata zdążył zauważyć, jak bardzo zazdrosny jest jego bratanek.

Westchnął przygnębiony. Próbował kiedyś traktować Jean Claude'a jak drugiego syna. Było to niejako jego obowiązkiem. Chłopiec miał osiem lat, kiedy zginęli jego rodzice. Edward przygarnął go, ale już wtedy Jean Claude był nieznośny i fałszywy. Co za ironia losu! Marc, wtedy zaledwie pięciolatek, wcale nie był niechętny kuzynowi, a z pewnością miał do tego znacznie więcej powodów. Dotąd nigdy nie musiał dzielić się uczuciami ojca. Marc zawsze dbał o Jean Claude'a i traktował go jak brata.

Edward spojrzał na bratanka ze smutkiem. Jean Claude nigdy nie zdołał zaakceptować Marka.

- Dziękuję ci - powiedział w końcu. - Jeżeli uznam, że możesz mi jakoś pomóc, dam ci znać.

Jean Claude pośpiesznie wypadł z domu stryja. Wiedział już, że się spóźni. Nie powinien był zostawać na kolacji, ale Dora bardzo nalegała. Ponadto stryj tym razem też chyba potrzebował jego obecności.

Wydawało mu się, że dotąd stryj nigdy go nie potrzebował. Liczył się tylko Marc. Ale to się zmieni. Kiedy już będzie gubernatorem, wszystko się zmieni.

Chociaż dochodziła ósma, zmierzch jeszcze nie zapadł. Jean Claude jechał mercedesem po wąskich, zadrzewionych uliczkach. Garden District w Nowym Orleanie było miejscem pełnym tradycji i minionej historii, jak rzadko które na świecie. Jean Claude wychował się tutaj, znał ten teren jak własną kieszeń.

Gdy skręcał w Aleję Świętego Karola, pomyślał o Angelique. Nieprzychylnie zareagowała na jego decyzję dotyczącą startowania w wyborach stanowych, zwłaszcza, kiedy poinformował ją, że nie może ryzykować i muszą przestać się spotykać. A czego się w tej sytuacji spodziewała? Przecież wciąż była mężatką. Jean Claude zasepił się. Nie... nie zaryzykuje skandalu. Po śmierci starego Jacksona i przy podejrzaniach, które obciążały Bobby'ego Landry, miał niepowtarzalną szansę i nie mógł pozwolić, żeby wymknęła mu się z rąk. Oczami wyobraźni widział już nagłówki w prasie „Ceniony prawnik Jean Claude Dureaux wybrany na gubernatora”.

Angelique zmartwiła go. Nie przewidział, że jej reakcja będzie tak... tak dramatyczna. A teraz uparła się, że musi z nim jeszcze porozmawiać.

Po pół godzinie zastukał do jej drzwi. Gdy się otworzyły, natychmiast zapomniał o swojej starannie przygotowanej przemowie. Angelique stała obnażona do pasa, a bluzka i stanik leżały u jej stóp. Jean Claude wszedł do pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi.

Wkrótce po burzliwych zmaganiach miłosnych, Jean Claude spocony i zaspokojony oparł się wygodniej o wezgiłowie ogromnego łóża i zapalił cygaro. Z łazienki dobiegał odgłos leżącej się wody. To Angelique brała prysznic. Zaczął wspominać ich pierwsze spotkanie. Marc poznał ich ze sobą już po zawarciu małżeństwa. Od tego momentu Jean Claude oszalał na punkcie Angelique, pragnąc jej wyłącznie dla siebie. Poszperał trochę w dokumentach i odkrył, że jej niejasna przeszłość jest równie intrygująca jak jej uroda.

Raport prywatnego detektywa, którego wynajął w celu zbadania

pewnych szczegółów, okazał się niezwykle interesujący. Angelique Marie St. Pierre pochodziła z elitarnej warstwy społecznej miasta. Odebrała staranne wychowanie w typowo południowym stylu. Przygotowano ją do roli dobrej żony i matki. Oprócz dobrego nazwiska miała także pieniądze i szacunek otoczenia. Rodzina St. Pierre dawno już osiadła w Nowym Orleanie i zapracowała sobie na wysoką pozycję. Rozważne inwestycje zapewniły bogactwo kolejnym pokoleniom, dopóki ojciec Angelique - ostatni męski potomek tego rodu, nie stracił całego majątku. Jean Claude wiedział, że nie ocalało nic, oprócz małego apartamentu, którego tajemnicy Angelique strzegła wyjątkowo starannie.

Jean Claude zgasił niedopalek i wstał. W powietrzu unosił się zapach spełnionej namiętności. Zerknął na drzwi od łazienki i nałożył szorty. Zastanawiał się, co chciała osiągnąć uwodząc go z premedytacją. Ten wieczór nie zmieni przecież jego decyzji. Próbował jej to wytłumaczyć przed trzema dniami, ale najwyraźniej mu nie uwierzyła.

Pomyślał, że nie powinien tu przychodzić i przeszedł do pokoju gościnnego. Ryzykował zbyt wiele. Koniecznie musiał ją przekonać, że ich romans się skończył. Musiał się skończyć, niezależnie od tego, że wzbudzało to jego żal. Podszedł do barku i nalał sobie drinka.

- Ja też proszę, kochanie - powiedziała Angelique.

Jean Claude odwrócił się gwałtownie. Ciemne, wilgotne włosy wiły się wokół pięknej twarzy kobiety, a biały ręcznik ledwie osłaniał jej ponętne kształty. Jean Claude znów poczuł rosnące pożądanie, lecz szybko odwrócił się i sięgnął po drugą szklankę. Wiedział, że zerwanie z nią nie będzie łatwe, ale nie przewidział, że będzie aż tak zdeterminowana, że posłuży się własnym ciałem.

- Dlaczego nie założysz szlafroka? - rzucił przez ramię.

Usłyszał ciche kroki bosych stóp po dywanie. Kiedy Angelique przesunęła palcem po jego krzyżu, zeszytywniał na chwilę, ale nie mógł opanować pragnienia, które gwałtownym dreszczem przeszło jego ciało.

Największym wysiłkiem woli odsunął od siebie pokusę.

- Nie, Angelique! - warknął. - Załóż szlafrok, a potem porozmawiamy... tylko porozmawiamy.

Angelique otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zmieniła zamiar. Potrząsnęła głową i zatykając rękami uszy, opuściła pokój. Kiedy wróciła, Jean Claude zauważył jej nienaturalny spokój. Spojrzenie kobiety wydawało mu się puste i dziwnie nieprzytomne. To tylko moja wybujała wyobraźnia, pomyślał. Powinien być zadowolony, że nie histeryzowała tak, jak poprzednio, ale czuł dziwny niepokój. Chociaż może w końcu zrozumiała jego racje.

Odetchnął głęboko i przygotował sobie następnego drinka.

- Czy, byłoby inaczej, gdyby Marc nie żył? - zapytała Angelique.

- Ale żyje - odpowiedział Jean Claude. - Nie ma sensu mówić o tym, co byłoby, gdyby były inne uwarunkowania.

- Ale ma umrzeć.

Jean Claude odwrócił się i popatrzył na nią.

- Co przez to rozumiesz? Co to ma znaczyć, że ma umrzeć?

Powoli poprawiła szlafrok.

- Przecież ktoś próbował go zabić, jakiś zawodowy morderca - powiedziała. - Skoro mu się nie udało, spróbuje powtórnie. A kiedy Marc umrze, będziemy mogli być razem. Zostanę wdową, bardzo bogatą wdową. Jego ubezpieczenie na życie jest bardzo wysokie. Po kilku miesiącach wyjdę za ciebie i nie będzie żadnego skandalu.

Jean Claude poczuł nagły ucisk w żołądku. Zrobiło mu się niedobrze. Czy to możliwe? Czy mogła zrobić coś równie nieprawdopodobnego jak...? Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Nie, nie mogła. Jednak jej nienaturalny spokój nadal go niepokoił, a jej oczy... W tych oczach czaiło się coś przerażającego.

Angelique podeszła bliżej i wyjęła szklankę z jego dłoni.

- Kocham cię. Kocham cię od momentu pierwszego zbliżenia. -

Uśmiechnęła się. - Pamiętasz, kochanie? Pamiętasz, jak po raz pierwszy kochaliśmy się?

- Tak, oczywiście. - Pamiętał doskonale. Ciągle wspominał tę noc. Po kolacji Edward i Marc zasiedli do gry w szachy, a Jean Claude i Angelique

wyszli na werandę. Był duszny, upalny wieczór. Jean Claude był wściekły na Marka. Teraz już nawet nie pamiętał z jakiego powodu. Angelique wyraźnie go prowokowała i postanowił wyrównać rachunki z kuzynem. W powietrzu unosił się zapach gardenii, wzrastało podniecenie Angelique. Przycisnął kobietę do kolumny i ręce jego zaczęły poznawać jej ciało. Zaskoczył go brak bielizny pod jedwabną sukienką. Z przyjemnym zaskoczeniem odebrał jej chętną gotowość.

Spojrzał w oczy Angeliaue. Zapatrzona we wspomnienia, delikatnie głaskała jego tors. Znów odczuł, że coś jest nie tak i czegoś nie rozumie. Nagle na jego czole pojawiły się kropelki potu. Jean Claude przypomniał sobie plotki, krążące podczas jej małżeństwa z Markiem. Ludzie mówili, że załamała się po śmierci rodziców i została umieszczona w szpitalu dla obłąkanych. Uznał wtedy, że nie ma w nich odrobiny prawdy, ale teraz...

Pozornie nieważne sprawy nabierały teraz innego znaczenia. W jej życiu były okresy, o których nawet wynajęty detektyw nie był w stanie niczego powiedzieć. Co się z nią wtedy działo? Czy możliwe, żeby w tych plotkach kryła się prawda? A jeżeli teraz nastąpił nawrót choroby na skutek załamania z powodu jego decyzji?

Cofnął się, uciekając od dotyku jej rąk. Czuł się winny. Wykorzystał ją. Najpierw po to, aby wyrównać porachunki z Markiem, a potem dla zaspokojenia nie opanowanej namiętności. Była dla niego jak narkotyk, nie mógł przestać myśleć o niej.

Kiedy jego ambitne dążenia wymagały zerwania tego romansu, sądził, że Angeliaue zrozumie, że ich związek ma czysto fizyczne podłoże. Nie wziął pod uwagę tego, że Angeliaue może go pokochać i teraz... Co, do diabła, miał zrobić?

8

Samantha zerknęła w stronę budynków w pobliżu przystani. Ściemniało się i widziała tylko niewyraźne sylwetki przemykające po ulicach. Usiadła i oparła się plecami o maszt. Popatrzyła na wodę. Delikatny wiatr rozwiewał jej włosy i z roztargnieniem odgarnęła je do tyłu. Na przystani było nadzwyczaj spokojnie. Ciszę nocy z rzadka przerywały kroki i głosy żeglarzy powracających na swoje jachty.

Zrobiło się już późno. Samantha ziewnęła, łagodne kołysanie „Jenny” działało usypiająco. Napięcie, jakie odczuwała czekając na Marka, wyczerpywało ją. Przymknęła na chwilę oczy.

Ostrożnie balansując torbami pełnymi zapasów, Marc wszedł na „Jenny” i zerknął za siebie. Czy już zaczynam wariować, pomyślał. Chociaż zniknęło wrażenie cudzej obecności za plecami, wciąż czuł się niespokojnie. Postawił na pokładzie ciężkie torby i jeszcze raz się obejrzał. Światelka na jachtach zapalały się i gasły. Z oddali dochodziły dźwięki muzyki. Nie widział nic podejznanego. Może przesadzał w swoich obawach, a jego odczucia były wytworem wyobraźni? Jednak będzie się czuł bezpieczny dopiero, kiedy znajdzie się znów na otwartych wodach.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Samanthy. Ukryta za masztem, była prawie niewidoczna. Po chwili zdał sobie sprawę, że dziewczyna śpi. Podszedł do niej cicho.

- Sam - szepnął. Podskoczyła gwałtownie.

- Spokojnie. - Pogładził ją lekko po ramieniu. Koszula zsunęła się nieco i jego ręka dotykała aksamitnej skóry dziewczyny. - To tylko ja.

- Marc? - Bezskutecznie próbowała przywołać wcześniejsze uczucie złości. Ręce Marka powędrowały do jej szyi. Zaczął delikatnie masować jej napięte mięśnie. Przymknęła oczy i pochyliła głowę. - Czuję się fantastycznie.

- To wpływ morskiego powietrza i szum fal...

- Pewnie tak - przytaknęła, chociaż dobrze wiedziała, że sprawił to jego dotyk.

- Sam?

- Tak?

- Wracając do wydarzeń z dzisiejszego ranka...

- Właśnie udało mi się zapomnieć o dzisiejszym ranku. - Odsunęła się niechętnie.

Marc rozłożył ręce w obronnym geście.

- Co mogę powiedzieć? Przepraszam. Nie powinienem tak postąpić.

- To nie było fair.

- Wiem, ale... - Marc zaczął masować jej plecy. - Uważałem, że to konieczne ze względu na twoje bezpieczeństwo, no i chciałem mieć trochę czasu, aby pomyśleć... w samotności.

- Domyśliłam się tego, kiedy zobaczyłam, jak idziesz do baru.

- Szłaś za mną? - Jego ręce znieruchomiały. Samantha spojrzała na Marka i skinęła potakująco głową.

- Zamierzałam ci wygarnąć, co myślę o twoim porannym numerze - powiedziała.

- Do diabła! - Ręce mężczyzny zacisnęły się boleśnie na jej ramionach.

- Przez cały czas to byłaś ty?

Zmieszana i przestraszona cofnęła się do tyłu.

- Nie musisz wrzeszczeć. Od razu wróciłam na jacht.

- Świetnie... po prostu wspaniale. - Sarkazm bił z każdego jego słowa.

- A ja w tym czasie co chwilę spoglądałam przez ramię, zastanawiając się, kiedy zastrzeli mnie ten sukinsyn, który za mną idzie.

- Myślałeś, że...

- Masz cholerną rację - przerwał jej Marc. - Skąd miałem wiedzieć, że zostawiłaś jacht, aby mnie szpiegować.

Samantha poderwała się i zacisnęła pięści.

- Ja szpiegowałam, ja? Ty, ty... - Chciała go uderzyć. Uderzyć, żeby nabrał trochę rozumu. - Jeżeli chcesz wiedzieć, to martwiłam się o ciebie, chociaż teraz zupełnie nie rozumiem dlaczego.

- Dobrze, dobrze. - Marc uniósł ręce. - Rozumiem. Samantha patrzyła na niego z zaciśniętymi ustami.

- Czy będzie lepiej, jeżeli jeszcze raz przeproszę? - zapytał.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Słuchaj, przykro mi z powodu mojego wybuchu.

- Naprawdę było mu przykro. Było mu też przykro z innych powodów, a przede wszystkim dlatego, że wplątał ją w swoje kłopoty. Jednak nie mógł nic na to poradzić w tej chwili. Musiał ją przekonać, aby odłożyła powrót do domu. Wyciągnął ręce i położył na jej barkach. - Czy mogłabyś usiąść?

Popchnął ją leciutko i Samantha usiadła na pokładzie. Podkurczyła nogi i skrzyżowała ręce na piersiach. Marc ujął ją pod brodę.

- Postępuj - zaczął, obiecując sobie, że będzie starannie dobierać słowa. Kiedy chciała się odwrócić, zwiększył nacisk na jej brodę i zmusił, aby patrzyła mu w oczy. - Muszę ci o czymś powiedzieć. Obiecałem ci, że już dzisiaj będziesz w domu, ale trzeba jeszcze z tym poczekać.

- Dlaczego? - Zmrużyła oczy.

- Rozmawiałem z ojcem. Sytuacja się zmieniła. Prasa wie, że jesteś ze mną.

- Nie rozumiem.

Marc puścił ją i w zamyśleniu potarł brodę.

- Którą wersję wybierasz? - zapytał. - Porwanie, czy obłąkana dziedziczka fortuny znika wraz z kochankiem?

Samantha otworzyła usta ze zdumienia.

- Żartujesz? - wykrztusiła.

- Chciałbym. Wygląda na to, że twój przyjaciel rozpoznał mnie na zdjęciu...

- Tommy?! - Samantha chwyciła go za ramię. - Czy z nim wszystko w porządku?

- Tak mi się wydaje.

- Co mu się stało? Dlaczego nie wrócił?

- Wiem tylko, że miał jakiś wypadek i przez kilka dni leżał nieprzytomny.

- Biedny Tommy - Samantha puściła ramię Marka. - On wcale nie chciał podpływać do tego jachtu.

- Czy to ktoś ważny dla ciebie?

Samantha nie odpowiadała przez dłuższą chwilę.

- Tak czy nie? - ponaglił Marc. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tommy Bailey jest moim przyjacielem. Zawsze okazywał dużo serca mojej babci.

- No cóż, jestem pewien, że będzie z nim wszystko w porządku.

Marc odwrócił się i Samantha poczuła lekkie rozczarowanie. Trudno było go zrozumieć, lepiej będzie, jeśli przestanie się starać.

- Chciałabym chociaż zadzwonić do Tommy'ego, aby przekonać się, że nic mu nie zagraża,

- To nie jest najlepszy pomysł. - Marc potrząsnął głową. -

Przynajmniej w tej chwili.

- Dlaczego? - Samantha odsunęła się.

- Ojciec twierdzi, że ci, którzy mnie szukają, na pewno już wiedzą o tobie. Powrót do domu może narazić cię na niebezpieczeństwo. Zechcą spróbować wykorzystać ciebie lub tych, z którymi się kontaktujesz, aby trafić na mój ślad.

Nogi ugięły się pod Samanthą. Do tej chwili niepokoiła się tylko o Marka. Nawet przez moment nie myślała, że jej także może coś grozić. Była przecież tylko przeciętną nauczycielką angielskiego, przechodniem, który wplątał się w wydarzenia, ponieważ całkiem przypadkowo znalazł się w określonym czasie w niewłaściwym miejscu.

- Zadzwonię do ojca za dwa dni - powiedział Marc.

- Pracuje nad jakimś planem i dopóki nie skończy, musisz pozostać ze mną.

- A policja? Czy nie mogą mi zapewnić ochrony?

- Taką jak zapewnili mnie? - Roześmiał się. - Pewnie. Świetnie cię obronią.

- Rozumiem.

Pożałował tych gorzkich słów. Ujął rękę Samantha i uścisnął ją delikatnie.

- Przepraszam, że cię w to wplątałem - westchnął.
- Powinienem być cię odstawić na brzeg wtedy, gdy o to prosiłaś.
Samantha uśmiechnęła się niewesoło.
- Wiesz, moja babcia zwykła mówić, że nie trzeba martwić się o zamknięcie bramy, kiedy owce już uciekły.
- Twoja babcia musi być bardzo mądrą kobietą - powiedział.
- Była taka.
- Była?
- Tak. - Pochyliła głowę i spojrzała na ich złączone ręce. - Umarła... trzy tygodnie temu.
Marc ujął ją pod brodę. Ścisnęło mu się serce na widok jej smutnych oczu. Chciał ją jakoś pocieszyć, przytulić do siebie i pocałować, ale nie mógł.
- Czy to ta, która cię wychowała? - spytał. Przytaknęła i spróbowała się uśmiechnąć.
- Bardzo ją kochałaś, prawda?
- Tak... tak, kochałam ją. - Nagle rozpogodziła się.
- Była wspaniałą kobietą. Gdyby wiedziała, że nazwano mnie obłąkaną dziedziczką...
- Skąd im to przyszło do głowy?
Samantha wzruszyła ramionami. Uśmiech zniknął z jej twarzy.
- Babcia zostawiła mi sporo pieniędzy. Specyficzny ton w jej głosie uświadomił Markowi, że dziewczynę coś dręczy.
- Czy chciałabyś porozmawiać? - zapytał. Wzruszyła ją jego troska, ale stanowczo potrząsnęła głową.
- Nie, jest już późno. Jak zacznę mówić o babci, nie skończę do rana.
- Kiedy indziej?
- Chętnie - odrzekła łagodnie.
Marc wstał i wyciągnął ręce do Samantha. Ujęła jego dłonie i uniosła się. Mężczyzna odetchnął głęboko. Tak bardzo pragnął przyciągnąć ją do siebie. Impuls był na tyle silny, że trzymał jej ręce odrobinę za długo, jednak zdrowy rozsądek zwyciężył. Puścił ją niechętnie i podszedł do pozostawionych toreb.

- Najlepiej będzie, jeśli wyptyniemy z samego rana - krzyknął przez ramię.

Znieśli zapasy na dół i Marc starannie zamknął właz.

- Nie chcę tu żadnych nieproszonych gości - wyjaśnił.

Sama myśl, że ktokolwiek mógłby się zjawić na jachcie, wprawiła Samanthę w drżenie.

- Jesteś pewien, że nie powinniśmy natychmiast wyruszyć? - zapytała.

Potrząsnął przecząco głową.

- Wystarczy, że odpłyniemy jutro rano. Samantha z zakłopotaniem gładziła się po ramieniu.

Wstydziła się swojego lęku.

- A więc dobranoc - powiedziała i odeszła.

Marc zaczekał, aż zamknie za sobą drzwi, po czym powłókł się do swojej kabiny. Położył się, ale nie mógł zasnąć. Było niemiłosiernie duszno, a poza tym nie opuszczały go myśli o Samancie. Wspominał krótkie chwile, w których trzymał ją w ramionach. Tak łatwo byłoby zapomnieć o wszystkim, zanurzyć się, zatracić w jej słodyczy.

Zacisnął powieki. Musi przestać myśleć o niej... Nie miał prawa jej dotknąć, a poza tym żałoba po babci czyniła ją emocjonalnie bezbronną. Przekręcił się na brzuch i zaczął się zastanawiać, jak przeżyje tych parę następnych dni.

Samantha nagle otworzyła oczy. Nie miała pojęcia, dlaczego się obudziła. W kabinie nadal panowały ciemności. Chyba niewiele czasu upłynęło, odkąd się położyła. Nagle usłyszała kroki nad swoją głową. Powoli Usiadła na łóżku i nasłuchiwała uważnie. To pewnie Marc wyszedł na pokład, żeby się ochłodzić, było przecież tak gorąco. Coś ją jednak zaniepokoiło. Marc przechadzałby się bosy albo w tenisówkach. Człowiek na pokładzie nosił buty o twardych podeszwach.

Mordercy! Serce Samanthy zabiło gwałtownie. Musi natychmiast zawiadomić Marka. Szybko wstała z łóżka. Już dochodziła do drzwi, kiedy nagle usłyszała skrobanie. Zamarła, włosy zjeżyły się jej na głowie. Skrobanie naraz ucichło. Samantha wzięła głęboki oddech i sięgnęła do klamki. Wtem drzwi otworzyły się gwałtownie, ktoś pociągnął ją i

zamknął w uścisku. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, lecz czyjaś dłoń błyskawicznie je zastoniła.

- Cicho, Sam. To ja - wyszeptał jej w ucho Marc.

Ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz, ale odetchnęła z ulgą. Marc puścił ją, a wtedy znów rozległ się hałas na pokładzie. Samantha chwyciła mężczyznę za rękę.

- Hej, Mabel! Otwieraj te cholerne drzwi! - Usłyszeli głośny, bełkotliwy wrzask jakiegoś mężczyzny. - No, Mabel!

- Co u diabła! - Marc włączył światło i ruszył po schodkach.

- Mabel, kogo tam kryjesz na dole?

Samantha poszła za Markiem i ujrzała, jak otwiera właz.

- To nie ten jacht, kolego - powiedział.

- Gdzie jest Mabel?

- Słuchaj, co do ciebie mówię, człowieku. Nie ma tu żadnej Mabel.

Zabieraj się stąd albo ci w tym pomogę.

- George, gdzie jesteś? - rozległ się z daleka piskliwy kobiecy głos.

- Mabel? - George odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos. - Co ty tam robisz?

- Ty pijaku! Wlazłeś na cudzy jacht! - wrzasnęła Mabel. - Wracaj tutaj!

George jeszcze raz spojrzął na Marka, po czym wzruszył ramionami i chwiejnym krokiem pomaszerował w stronę pomostu. Marc przyglądał mu się wystarczająco długo, aby upewnić się, że George nie wyleciał za burtę. Potem zaklął cicho i z hukiem zamknął właz. Kiedy się odwrócił, ujrzał stojącą nieruchomo Samanthę. Wyglądała bezbroniwie w za dużej podkoszulce, z rękami kurczowo obejmującymi własne ramiona.

Marc podszedł do niej i ujrzał olbrzymie łzy, spływające powoli po policzkach dziewczyny.

- Nie płacz, Sam. - Przytulił ją do siebie. - Już sobie poszli. - Przycisnął ją mocniej i poczuł jej krągłe, gorące piersi na swoim torsie.

- Myślałam, że to tamci... że nas znaleźli - mówiła urywanym szeptem. - Chciałam cię ostrzec i... Boże, bałam się, że już za późno...

- Już po wszystkim - przerwał, gładząc ją delikatnie po plecach. - Uspokój się.

Samantha wciąż trzymała go mocno, lecz czuł, że powoli zaczyna się odprężyć. Tak bardzo pragnął, żeby była bezpieczna i już nigdy nie musiała się bać. Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Sam - wyszeptał i dotknął jej policzka. - Nie masz pojęcia, jak wiele dla mnie znaczysz.

Czuła się bezpiecznie w jego objęciach. Łagodny dotyk uspokajał ją. Mogła wreszcie zapomnieć o mordercach i śmierci. Miękką brodą Marka przyjemnie łaskotała jej twarz.

Nagle ich usta spotkały się. Jak wargi mężczyzny mogły być tak twarde i wymagające, a jednocześnie tak delikatne? Całował ją gwałtownie i zachłannie. Samantha jęknęła czując, jak wypełniają olbrzymie pożądanie. Siła, nad którą nie mogła zapanować, sprawiła, że mocniej przywarła do niego. Świat na zewnątrz przestał istnieć, tworzyli teraz zupełnie inną, własną rzeczywistość.

Po chwili Samantha uświadomiła sobie niebezpieczeństwo wynikające z tej bliskości. Los zetknął ich zupełnie przypadkowo. Nie szczędził emocjonujących zdarzeń i przesadne reakcje były czymś całkowicie naturalnym. Nie może jednak pozwolić sobie na to, aby sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Z pewnością nie zaryzykuje powtórzenia błędu, który kosztował ją tak wiele.

- Nie - zaprotestowała i szarpnęła się do tyłu. - To znaczy... czuję się już całkiem dobrze - dodała wyjaśniająco. Wygładziła starannie koszulę i przezornie odsunęła się jeszcze dalej.

Marc poczuł się opuszczony. Pragnął znów wziąć ją w ramiona. Tak dobrze było mieć ją blisko siebie. Przecież ona także nawet przez moment nie była obojętna. Był pewien, że chciała tego, podobnie jak on.

Dlaczego nie poznał jej wcześniej? Dlaczego pojawiła się teraz, w najgorszym momencie? Nie wiedział nawet, czy dożyje następnego dnia. Poza tym, dlaczego uciekła z jego objęć?

- Sam, musimy porozmawiać. Oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że jest coś między nami. To znaczy... - Przymknął oczy, aby pozbierać myśli. Czuł się jak niezdarny sztubak, który z trudem usiłuje omówić jakies

skomplikowane zagadnienie. Zaskoczyło go to, bo przecież nigdy nie miał kłopotu z doborem właściwych słów.

Otworzył oczy i postanowił jasno postawić sprawę.

- Bardzo mi się podobasz. Nie chciałbym być źle zrozumiany, ale sądzę, że ty czujesz to samo. Chciałbym...

Samantha uniosła rękę w ostrzegawczym geście.

- Przestań - wykrztusiła i przez chwilę nie była w stanie mówić dalej.

W końcu uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Przyznaję, że ty również bardzo mi się podobasz - wyznała śmiało. - Ale zgadzam się z babcią, która twierdziła, że pragnienie nie zawsze musi być zaspokojone i to jest dla mnie właśnie ten przypadek.

- W tych okolicznościach to rozumiacie. Wciąż szukają mnie ci zabójcy i...

- To nie ma nic do rzeczy. - Westchnęła, widząc jego zdumione spojrzenie. - Czy ty nie rozumiesz? Jesteśmy skazani na przebywanie ze sobą i to może prowadzić do błędnej interpretacji naszych odczuć. To tylko... tylko efekt sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

- Nie zgadzam się. - Energicznie potrząsnął głową. - To coś więcej.

- Możliwe, ale są jeszcze inne powody. - Uniosła w górę palec. - Po pierwsze, nie mam zwyczaju wskakiwać do cudzego łóżka, aby zaspokoić pożądanie. Chodzi mi o coś więcej, niż zwykłe rozładowanie napięcia. Po drugie - wciąż jesteś żonaty.

Przeszył go ostry gniew.

- Nie miałem na celu rozładowania się - wybuchnął.

- Nie jestem facetem, który lubi zabawiać się w ten sposób. A jeśli chodzi o moje małżeństwo, to za miesiąc będę wolnym człowiekiem. Mówiłem ci, że żona wniosła pozew.

- Jasne. - Wywróciła oczami w udanym zachwycie.

- Jasne, że mi mówiłeś. Ale ja też ci mówiłam, że już to kiedyś słyszałam. Poza tym odnoszę wrażenie, że nie jesteś zachwycony ewentualnym rozwodem. Założę się o każde pieniądze, że z radością przyjmiesz żonę z powrotem.

- Czy on właśnie tak postąpił?

- Kto? - zapytała.

- Twój były kochanek.

Samanthę ogarnęła wściekłość.

- To nie twoja sprawa - rzuciła. - Żeby jednak wszystko było jasne, chcę ci powiedzieć, że byłam zaręczona.

- Coś takiego! - parsknął Marc bez zastanowienia.

- Byłaś zaręczona z żonatym mężczyzną!

Opamiętał się, kiedy zobaczył, że Samantha pobladła i drżą jej wargi. Poczuł się jak skończony dureń. Chciał naprawić swój nietakt. Zrobił krok w jej kierunku.

- Przepraszam - wyszeptał. - Nie chciałem. Ja... Samantha cofnęła się i potrząsnęła głową.

- Nic nie rozumiesz - powiedziała. - Nie wiedziałam, że on jest żonaty, a kiedy się dowiedziałam, zapewniał, że właśnie się rozwodzi. Podobnie jak ty... Nawet wtedy wciąż mu wierzyłam. - Skrzywiła się boleśnie.

- Dopiero, kiedy dowiedziałam się, że jego żona jest w ciąży, zmieniłam zdanie.

Marc zaklął cicho. Nic dziwnego, że tak się czuła. Została nie tylko zraniona, ale także upokorzona do głębi.

- Nie możesz porównywać mnie z tamtym facetem - próbował wyjaśnić. - Zapewniam cię, że Angeliq^{ue}! tak ma na imię moja była żona - nie jest w ciąży.

- Roześmiał się gorzko. - A jeśli chcesz wiedzieć coś więcej o kłamstwach i upokorzeniu, to powiem ci, co wyznała mi moja ukochana żona podczas naszej ostatniej kłótni.

Samantha była zaskoczona słysząc tyle gorzkości w jego głosie.

- Otóż przyznała się, że podstępem doprowadziła do tego małżeństwa. Wiedziała, że może liczyć na moją odpowiedzialność i dlatego skłamała, że jest w ciąży.

Oczywiście uwierzyłem i poślubiłem ją. Nie chciałem, aby moje dziecko wychowywało się bez ojca.

Samantha współczuła mu z całego serca, ale jego przeżycia nie zmieniały tej całej sytuacji.

Marc nie zamierzał jej przygnębiać. Chciał tylko udowodnić, że myliła się w ocenie jego intencji. Jednak z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że dziewczyna trwa w swoim postanowieniu. Uznał, że powiedzieli sobie wystarczająco dużo dzisiejszej nocy.

Kiedy później wciąż nie mógł zasnąć, bezszelestnie wyśliznął się z koi i narzucił ubranie. Wszedł na pokład i postawił grot, czekając aż złapie poranny wiatr. Wnioski, jakie wysnuł z rozmowy z ojcem i przypadkowe spotkanie z pijanym żeglarzem, skłoniły go do podjęcia decyzji. Wyprowadził „Jenny” z zatoczki.

RRS

9

Jean Claude chodził po pokoju i zastanawiał się, dlaczego stryj wezwał go tak wcześnie. Zatrzymał się przed kominkiem i spojrzał na stojące tam zdjęcie. Zrobiono je, kiedy on i Marc byli jeszcze dziećmi. Doskonale pamiętał ten dzień. Marc miał wtedy pięć, a on osiem lat. Ubrani w identyczne podkoszulki, wybierali się do ogrodu zoologicznego. To był dobry okres w jego życiu, pełen chłopięcych marzeń. Jednak wszystkie marzenia legły w gruzach właśnie tego dnia.

Marc wybiegł wtedy na ulicę i potrącił go samochód. Chłopiec miał złamane biodro. Tego dnia Jean Claude przekonał się, kto naprawdę liczył się dla stryja.

Odwrócił się, gdy do pokoju weszła Dora. Przyniosła kawę i rogaliki na srebrnej tacy.

- Czy stryj Edward ciągle rozmawia przez telefon? - zapytał.

Dora skinęła głową i postawiła tacę na małym stoliku.

- Pan Edward prosi, żebyś zaczekał - powiedziała nieprzyjaznym głosem.

Urażony Jean Claude zastanawiał się, co spowodowało jej zachowanie. Dora ustawiła filiżanki na stoliku, po czym ruszyła w stronę drzwi. Zauważył nakrycia dla trzech osób.

- Czy przyjdzie ktoś jeszcze? - zapytał,

- Nie wiem. Jestem tylko gospodynią. Twój stryj kazał przygotować kawę dla trzech osób i tak zrobiłam.

- Wychodziła już, lecz nagle zatrzymała się w drzwiach. Odwróciła się z rękami na biodrach.

- Gdzie jest żona Marka? Wczoraj znowu nie wróciła na noc do domu.

- Skąd mam wiedzieć? - wzruszył ramionami Jean Claude.

- Dobrze wiesz.

Jean Claude uśmiechnął się kwaśno i podszedł do stolika.

- Nigdy nie mogę cię oszukać, Doro - westchnął.

- Zawsze potrafisz przejrzeć mnie na wylot.

Mówił prawdę. Dora była nie tylko gospodynią, lecz kimś znacznie ważniejszym w tym domu. Czuł do niej wielki szacunek. Wiele razy w dzieciństwie wstawiała się za nim u stryja. W przeciwieństwie do Edwarda, nie wyróżniała żadnego z chłopców.

- Dużo widzę - powiedziała powoli. - Ale to sprawa pomiędzy tobą i twoim kuzynem. Obaj jesteście głupcami, kiedy w grę wchodzi kobieta. Im szybciej nastąpi rozwód i ona wyniesie się z domu, tym lepiej dla tej rodziny. - Podeszła do niego. - A przy okazji, sądzisz, że jak zareaguje twój stryj, kiedy dowie się o was?

Uśmiech Jean Claude'a zniknął.

- Nie dowie się, bo już nie ma o czym. Poza tym, to nie ma znaczenia. Dobrze wiesz, że jestem mu całkiem obojętny.

Dora przecząco potrząsnęła głową.

- Wiem, że tak sądzisz, ale bardzo się mylisz - powiedziała łagodnie.

- Jak tak nie uważam - odparł i machnął ręką w stronę zdjęcia. - Może gdybym to ja... Gdyby ten samochód potrącił mnie, a nie Marka. - Urwał i na moment przymknął oczy. - Nieważne - dodał. - Teraz to nie ma znaczenia.

Nalał sobie kawy i gdy sięgał po cukier, usłyszał szelest sukni Dory. Delikatnie dotknęła jego ramienia.

- I to cię zżera przez tyle lat? - westchnęła ciężko. - Boże, przecież byliście tacy mali.

- To prawda. - Podeszedł do sofy. - Ale on nigdy mi nie wybaczył ani nie dał zapomnieć, że powinienem był wtedy uważać na Marka.

- To niedorzeczne! Tamtego dnia był bardzo przygnębiony. Gdyby kierowca był trzeźwy, nic by się nie wydarzyło. Poza tym twój stryj tylko przez chwilę złościł się na ciebie. Dobrze wiedział, że byłeś za mały, żeby upilnować Marka. Wściekł się, ale później tego żałował i nigdy więcej o tym nie wspominał.

- Rzeczywiście, nigdy nic nie mówił, ale to zawsze stało między nami. - Jean Claude nie mógł powstrzymać gorzkich słów. - Wszystko, co robiłem, nie było dla niego wystarczająco dobre, niezależnie od tego, jak

się starałem. Ani oceny, ani stypendium naukowe, ani wykształcenie prawnicze... nic. Liczył się tylko Marc, ukochany syn był zawsze najlepszy.

Dora podeszła do niego.

- Wiem, że to, co powiem, nie przekona cię, ale przynajmniej zastanów się nad tym. - Ponownie dotknęła jego ramienia. - Marc teraz walczy o swoje życie. Tak, twój stryj bardzo go kocha, ale to wcale nie znaczy, że ciebie kocha mniej. Odkąd przybyłeś do tego domu, próbował traktować cię jak własnego syna. Musisz jednak wiedzieć, że nad życie kochał twoją ciotkę. Była bardzo delikatną kobietą i zdawała sobie sprawę, że urodzenie dziecka stanowi dla niej śmiertelne zagrożenie. Jednak uparła się, żeby je mieć i zmarła w czasie porodu. Miała takie same ciemne włosy i błękitne oczy jak Marc. Zrozum więc, że dla twojego stryja Marc jest tą częścią jej, która mu pozostała. - Dora nachyliła się nad nim. - A teraz on ciebie potrzebuje.

- Ona ma rację. - Edward Dureaux stał w progu. Dora pobladała i szybko wycofała się z pokoju.

- Naprawdę cię potrzebuję.

Jean Claude odwrócił się do stryja. Ich oczy spotkały się. Zawsze pełen życia, Edward Dureaux wyglądał teraz jak człowiek powalony nieszczęściem. Na jego twarzy malował się smutek, pogłębiły się zmarszczki pod oczyma. Sprawiał wrażenie człowieka, który ma dużo więcej niż sześćdziesiąt lat. Ale Jean Claude zauważył coś jeszcze. W przygaszonych oczach stryja i jego zgarbionych ramionach ujrzał człowieka, którego przez całe życie próbował pozyskać.

Cóż za złośliwość losu, pomyślał. Teraz z powodu Marka jego stryj nareszcie go potrzebował. Lekko skinął głową. Z wyrazu twarzy Edwarda wynioskował, że oczekuje on czegoś więcej. Ale przecież i tak nigdy nie potrafił go w pełni zadowolić.

Edward ciężko usiadł na krześle. Wyglądało na to, że każdy ruch kosztuje go wiele wysiłku.

- Musimy porozmawiać - powiedział i położył głowę na oparciu krzesła.

Jean Claude przeraził się. Nalał stryjowi filiżankę kawy.

- Czy są jakieś wiadomości od Marka? - zapytał.

- Naprawdę cię to obchodzi? - Edward wziął kawę. Jean Claude poczuł, że robi mu się gorąco z zakłopotania.

- Chciałem tylko... - zaczął.

- Nieważne - przerwał Edward. - To nie ma znaczenia. Odpowiem na twoje pytanie. Nie rozmawiałem z Markiem, ale jeden z moich przyjaciół bada tę sprawę. Nie podoba mi się to, co odkrył. Podczas mojej ostatniej rozmowy z Markiem zaniepokoiło mnie coś, co powiedział. Przekazałem to przyjacielowi z prośbą, aby sprawdził pewne rzeczy. Dzwonił do mnie, ale nie chciał o tym mówić przez telefon. Powinien być tu lada chwila.

Jean Claude usiadł naprzeciwko stryja.

- Kim jest ten przyjaciel? - zapytał. - Czy na pewno można mu ufać?

- Służyliśmy razem podczas wojny koreańskiej - odrzekł Edward. - Ocalił mi życie więcej razy, niż jestem w stanie zapamiętać. Teraz pracuje w FBI. W tym momencie rozległ się dźwięk dzwonka.

- To pewnie Patrick - powiedział Edward. - Otwórz drzwi. Dora na pewno topi żalę w wytężonej pracy. Jestem przekonany, że w tej chwili przygotowuje ciasto, unurzana po łokcie w mące.

Jean Claude skinął głową i poszedł wpuścić gościa.

Patrick O'Connor wygląda zupełnie przeciętnie, pomyślał i uściśnął rękę nieznanemu. Kiedy już siedzieli w pokoju gościnnym, szybko przekonał się, jak złudna była powierzchowność O'Connora. Jean Claude czuł się niespokojnie pod jego badawczym spojrzeniem. Patrick był bezpośredni i jednocześnie bystry oraz precyzyjny w ocenach.

- Marc miał cholerne szczęście, że uszedł z życiem - powiedział wprost. - To jedna z najważniejszych grubych ryb kazała go usunąć.

Edward zaklął, a Jean Claude'a przeszył zimny dreszcz.

- Dalej, Patrick. - Edward utkwiał badawcze spojrzenie w mężczyźnie. - Niech się wszystkiego dowiemy.

- Człowiek, o którym mówię, jest bardzo sprytny. Nie uwierzyłbyś, jakie ma układy. Obserwujemy go już od lat.

- Kto to jest? - zapytał Jean Claude. - Jak się nazywa?

Przez chwilę Patrick nie odpowiadał. Jean Claude poczuł niepokój pod jego badawczym spojrzeniem.

- Nazywa się Antonio Manchetti. Jean Claude, czy mówi ci cokolwiek to nazwisko?

Jean Claude czuł się zaskoczony tym, że pytanie skierowane zostało bezpośrednio do niego. Zupełnie jak gdyby Patrick miał jakieś powody, aby go podejrzewać.

- Słyszałem o nim - odparł. - Każdy, kto czyta gazety w Luizjanie, wie kim jest ten człowiek.

- Oczywiście - uśmiechnął się Patrick.

- Do czego zmierzasz, Patrick? - spytał Edward Dureaux.

- Kilka lat temu nasi ludzie zajmowali się sprawą przeciwko Manchettiemu. Znaleźli kogoś, kto wiedział wystarczająco dużo o jego machinacjach. Wystarczająco dużo, aby unieszkodliwić go na bardzo długo.

- I co się stało? - Edward odstawił pustą filiżankę na stoliczek.

- Rozmawialiśmy z tym człowiekiem tak długo, aż w końcu zgodził się złożyć zeznanie. Pojechaliśmy po niego i jego rodzinę, ale kiedy dotarliśmy na miejsce, ich już tam nie było. Ktoś lub coś musiało ich wystraszyć. A kiedy udało się nam ich odnaleźć, było już za późno. Wraz z żoną zginęli w pożarze.

- Dobry Boże! - Edward opadł ciężko na oparcie krzesła.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnął Patrick. - Ten człowiek miał córkę. Powinna być z nimi tamtej nocy, ale z jakiegoś powodu nie było jej tam.

Przerażenie ogarnęło Jean Claude'a. Pochylił się do przodu, opierając rękę o nogi. Nagle Patrick spojrzał mu prosto w oczy.

- To, że pozwolili jej żyć tak długo, graniczy z cudem. - O'Connor przeniósł wzrok na Edwarda. - Przykro mi, Edwardzie. Ta kobieta to twoja synowa.

Tego samego popołudnia Jean Claude siedział w swoim luksusowym biurze na przedmieściu i usiłował połączyć się telefonicznie z Angelique. Zerknął na zegarek i po szóstym sygnale cisnął słuchawkę na widełki. Gdzie ona się podziewała, do diabła.

Wstał i powoli przemierzył pokój. Spojrzał na stos dokumentów, z których każdy wymagał natychmiastowego przejrzenia. Próbował pracować, ale bezskutecznie. Przez głowę przebiegało mu tysiące pytań, na które nie znał odpowiedzi. Wciąż powracał myślami do ubiegłej nocy i rozmowy z Angelique. Fakt, że Manchetti postanowił usunąć Marka i był jednocześnie kiedyś powiązany z ojcem jego żony, nie wyglądał na przypadkowy zbieg okoliczności. Potarł dłonią bolący kark i przystanął przy oknie. Rozsunął żaluzje i patrzył w zamyśleniu na wąską ulicę. Po chwili znów spacerował po pokoju.

Cholerny Patrick O'Connor! Ten człowiek wiedział o jego romansie z Angelique. Jean Claude był tego pewien. Tylko ze względu na Edwarda Patrick powstrzymał się od otwartego oskarżenia.

Ale oskarżenia o co? O romans z żoną kuzyna, czy także o coś więcej? Tylko Angelique mogła mu udzielić odpowiedzi na to pytanie.

Jean Claude siadł za biurkiem i ponownie sięgnął po słuchawkę. Kiedy już zamierzał ją odłożyć, ktoś nagle odezwał się.

- Halo?

Po chwilowej uldze poczuł gwałtowny przyptyw wściekłości.

Gdzie, u diabła, byłeś? - warknął.

- Słucham?

- Próbuję się z tobą skontaktować już od dwóch godzin. Musimy się zaraz spotkać.

- Tak szybko, kochanie? - Drażniła się z nim. - Czy to oznacza, że zmieniłeś zdanie?

- Coś się wydarzyło i...

- O, Jean Claude! - Dźwięcznie zachichotała Angelique. - Zawsze mówisz takie okropne rzeczy.

- Przestań. Nie jestem w nastroju do takich rozmów. To naprawdę ważne.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Jean Claude mógł sobie wyobrazić, jak piękną twarz Angelique wykrzywia grymas wściekłości.

- Gdzie chcesz się spotkać? - zapytała w końcu.

Przebiegło mu przez głowę podejrzenie, że O'Connor może go śledzić.

Za chwilę pojawiła się refleksja, że już zaczyna wariować. Dlaczego miałby go śledzić? Jednak uznał, że jeśli nawet nie śledzi jego, to z pewnością obserwuje Angelique. Tylko w ten sposób mógł dowiedzieć się o ich romansie. A skoro wiedział o tym O'Con-nor, dla innych też mogło to przestać być tajemnicą. Z przerażenia pot wystąpił mu na czoło i sięgnął po chusteczkę, aby je otrzeć.

- Zostań tam, gdzie jesteś - powiedział. - Niedługo przyjadę.

Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, odwiesił słuchawkę. Rozmowa w domu stryja może być ryzykowna, ale to lepsze wyjście, niż dać O'Connorowi dodatkowy powód do podejrzeń.

Po upływie pół godziny Jean Claude wszedł osobnym wejściem do swojego apartamentu, po czym ostrożnie przemknął się do drugiej części domu. Zastukał cicho do drzwi i rozejrzał się dokoła. Obawiał się, że może natrafić na Dorę.

Po kilku długich minutach Angelique otworzyła drzwi. Wszedł pośpiesznie do pokoju, a ona starannie zaryglowała zamek.

- Otwieranie zajęło ci sporo czasu - powiedział.

- Co ci się stało?

Jean Claude nie odpowiedział. Rozluźnił krawat i wskazał ręką w kierunku szklanki, którą trzymała w dłoni.

- Zrobisz mi drinka? - zapytał.

- Jasne. - Wzruszyła ramionami. - To, co zwykle?

- Tak, podwójną porcję.

Angelique wręczyła mu szklankę i usiadła na krześle.

- Na litość boską - wybuchnęła. - Może przestaniesz chodzić po pokoju i wyjaśnisz mi, dlaczego ryzykujesz spotykając się tu ze mną.

Jean Claude zatrzymał się naprzeciw niej.

- Powiedz mi, co wiesz o człowieku nazwiskiem Antonio Manchetti.

Pobladła, ale nie odezwała się słowem. Po chwili odprężyła się i niby od niechcienia upiła łyk ze szklanki.

- Dlaczego chcesz wiedzieć coś o nim? - zapytała.

- Dziś rano był tu przyjaciel stryja. To agent FBI, który zajmuje się sprawą związaną z Markiem.

Szklanka wysliznęła się z rąk Angelique. Płyn wylał się na dywan, zostawiając dużą, ciemną kałużę. Gdy pochyliła się, aby podnieść szkło, Jean Claude chwycił ją za ramię.

- A więc miałem rację - wycedził. - Ty coś wiesz.

- Puść mnie. To boli.

Jean Claude zacieśnił uścisk i szarpnął ją mocno.

- Jeszcze nie skończyłem - powiedział. - Znasz, czy nie, człowieka o nazwisku Antonio Manchetti?

- A jeżeli tak, to co z tego? - Popatrzyła na niego wyzywająco.

- Skąd go znasz?

Wyrwała się i cofnęła o kilka kroków.

- To przyjaciel mojego ojca. Był dla mnie bardzo dobry po wypadku rodziców.

- Dobry dla ciebie?! - Była aż tak naiwna, czy po prostu głupia? Musiał jednak postępować z nią delikatnie, aby jej nie przestraszyć. Wziął głęboki oddech i spokojnie zapytał. - W jaki sposób okazywał ci tę dobroć?

Kiedy przypomniał sobie, co usłyszał dzisiaj o Manchettim, omal się nie udławił własnymi słowami.

- Nic nadzwyczajnego - odparła pocierając ramię. - Przysyła mi drobne prezenty na urodziny czy na gwiazdkę, no i czasem zabiera mnie na kolację.

- A co dostaje w zamian? - Jego głos brzmiał szorstko. - Zapraszałaś go do swojego apartamentu? Może zostawał na noc?

- Nie, skąd! - Angelique ruszyła w stronę Jean Claude'm. - To nie jest tak, jak myślisz.

Próbowała pogłaskać go po twarzy, ale odsunął się gwałtownie.

- A więc pewnie od czasu do czasu oddajesz mu jakieś przysługi.

- Kochanie, przestań, bardzo cię proszę. On mógłby być moim ojcem. Przecież wiesz, że cię kocham i zrobiłabym dla ciebie wszystko.

Jean Claude wybuchnął gorzkim śmiechem.

- Wszystko? - zapytał. - Włącznie z morderstwem?

Pobladła i pociemniały jej oczy.

- Powiedziałaś kiedyś, że nawet jeśli rozwiode się z Markiem i wyjdę za ciebie, to wybuchnie taki skandal, że nie będziesz mógł zostać gubernatorem. Nie rozumiesz? Nie ma innego sposobu.

- I dlatego uznałaś, że zamordowanie Marka znakomicie rozwiąże sprawę? - zapytał.

- Zrobiłam to dla nas - zaszlochala.

Jean Claude chwycił Angelique za ramiona i mocno nią potrząsnął.

- Nie dla nas, Angelique. Zrobiłaś to dla siebie. Ale dlaczego? Dlaczego, do cholery? Czy chodziło ci o pieniądze, pieniądze z ubezpieczenia? Łzy pomieszane z tuszem spływały jej po twarzy, pozostawiając ciemne smugi na policzkach.

- Musiałam. - Usta Angelique drżały spazmatycznie. - Dopóki miałam ciebie, nic się nie liczyło. Kiedy wystąpiłam o rozwód, też nie zależało mi na zabezpieczeniu finansowym. Ale kiedy ty... kiedy... nie mogłam zostać bez niczego. Muszę jakoś żyć. Oni właśnie tak mi mówili. Mówili, żebym myślała o sobie, żebym starała się zdobywać to, co chcę.

Jean Claude zadrżał, a kobieta zachowywała się jak wariatka. Niewiele było sensu w tym, co mówiła.

Angelique płakała coraz bardziej rozpaczliwie. Przez kilka minut patrzył na nią w milczeniu. To, co zrobiła, przyprawiało go o mdłości, ale jeszcze bardziej brzydził go jego własny udział w tej sprawie. Jedyną pociechą był fakt, że wreszcie poznał prawdę. O'Connor może poczuć się usatysfakcjonowany. Jeśli Angelique była niezrównowazona psychicznie, być może będzie w stanie zapewnić jej właściwą opiekę.

Zacisnął powieki i zaczął analizować sytuację. Kogo próbował oszukać? Jego mały romans nabrał olbrzymich rozmiarów. Nawet jeśli nie udowodnią mu współudziału w morderstwie oraz próbie następnego i tak może pożegnać się ze stanowiskiem gubernatora. Rozgłos nadany tej sprawie z pewnością go przekreśli.

Westchnął ciężko. Jeżeli jakimś cudem uda mu się powstrzymać Manchettiego, szanse na to, że stryj go zrozumie, nie mówiąc już o przebaczeniu, równały się zeru. A jeśli Marc zostanie zamordowany, rozpacz zabije stryja.

Płacz Angelique przeszedł w cichutkie pochlipywanie.

- Nie jesteś już na mnie zły, prawda? - Uniosła trwożnie głowę. Głos miała cichy i niepewny.

Przez kilka chwil nie odpowiadał. Trudno było przewidzieć, jak zachowa się Angelique przy próbie dalszego indagowania. Mogłaby zaprzeczyć wszystkiemu, co dotąd powiedziała. Nie miał przecież żadnego świadka.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- A więc kochaj się ze mną.

Położyła jego rękę na swojej piersi i zarzuciła mu ramiona na szyję. Pocałowała go mocno i żarliwie.

Jean Claude wyplątał się z objęć Angelique i leciutko ją odsunął.

- Nie ... nie możemy. - Oddychał ciężko. - Nie mogę. Nie teraz - dodał pośpiesznie. - Odpocznij sobie, przyjdę później.

Odwrócił się i po krótkim zmaganiu z zamkiem wypadł z pokoju.

Kiedy dotarł do swojego apartamentu, szybko rozebrał się i wszedł pod prysznic. Liczył na to, że zimna woda trochę go orzeźwi. Nie było jednak sensu zwlekać z tym, co i tak musiał zrobić. Odkładanie na później tylko utrudni sprawę.

Zakręcił kurek i po kilku minutach ruszył na poszukiwanie stryja. Zatrzymał się przed drzwiami biblioteki. Już miał zapukać, lecz nagle opuścił rękę. Poczuł, że ogarnia go obezwładniająca słabość. Chciał uciekać, schować się, zrobić cokolwiek, aby tylko uniknąć tej konfrontacji. Lecz musiał przez to przejść, nie miał innego wyjścia. Zapukał i otworzył drzwi. Stryj siedział za ogromnym, antycznym biurkiem.

- O, Jean Claude. - Edward uniosł głowę i uśmiechnął się. - Wejdz, proszę.

Jean Claude wszedł do pokoju, targany sprzecznymi uczuciami. Woń cygar i starych książek mieszała się z cytrynowym zapachem środka do czyszczenia mebli, którego od lat używała Dora.

- Oglądałem albumy ze starymi zdjęciami. - Edward gestem wskazał Jean Claude'owi miejsce przy sobie.

- Spójrz na to. Mam wrażenie, że zrobiono je wczoraj.

- Przewrócił kolejną stronę. - Czas płynie zbyt szybko.

Jean Claude był zaskoczony widokiem tak licznych zdjęć z okresu jego dzieciństwa.

- Miałeś dziewięć lat, kiedy robiono to zdjęcie. - Edward zamyślił się. - Zawsze byłeś bardzo poważnym chłopcem, o wiele za poważnym jak na swój wiek. Na pewno spowodowała to śmierć twoich rodziców.

Nagle stryj przerwał i spojrzał bratankowi w twarz.

- Nie przyszedłeś tu bez powodu - powiedział. Jean Claude z trudnością przełknął ślinę. Wszystko, co dotychczas robił, co zdołał osiągnąć, miało na celu uzyskanie aprobaty stryja. Uświadomił sobie, że jeśli wyzna mu wszystko, nigdy już nie osiągną porozumienia. Przyklęknął przy fotelu.

- O Angelique?

Jean Claude skinął głową i odetchnął głęboko.

- Tak. Skąd wiedziałeś?

- Wiem o tym od miesiący. - Głos Edwarda był bardzo zmęczony. - Liczyłem na to, że pewnego dnia odzyskasz rozsądek i zobaczysz, jaka ona jest naprawdę. Nie, poczekaj. - Położył rękę na ramieniu Jean Claude'a, zmuszając go, żeby pozostał na miejscu. - Pozwól mi skończyć... Nie winię ciebie. Na początku także mnie zauroczyła. Zresztą, który normalny mężczyzna nie byłby nią zachwycony? Lecz kiedy Marc podał mi powody, dla których postanowił ożenić się z nią, nabrałem podejrzeń, że wszystko to sobie sprytnie ukartowała. Jednak perspektywa posiadania wnuka przełamała wszystkie opory. Przecież Marc nigdy jej naprawdę nie kochał. Chciał być tylko w zgodzie ze swoimi zasadami. A kiedy straciła dziecko... - Edward przerwał. - Kiedy powiedziała, że straciła dziecko, wiedziałem już, że kłamała.

Jean Claude patrzył na niego z napięciem.

- Stryju Edwardzie, jest coś jeszcze - powiedział. - I musisz o tym wiedzieć.

10

Samantha budziła się powoli. Pierwszym wrażeniem był zapach świeżo parzonej kawy. Ziewnęła i przewróciła się na drugi bok. W tym momencie Marc zapukał do drzwi.

- Proszę - krzyknęła.

Wszedł z kubkiem parującej kawy w dłoniach. Miał na sobie to samo ubranie, co wczoraj. Wyglądał na wyczerpanego i przygnębionego. Samantha stłumiła pragnienie, aby przytulić go siebie. Taki gest mógłby prowadzić do większej intymności. Nie mogła zapominać o powodach, które nie pozwalały na ulokowanie uczuć w tym mężczyźnie.

- Która godzina? - zapytała.

- Około siódmej.

- Gdzie jesteśmy?

- Zakotwiczylem w opuszczonej zatoczce, kilka mil na północ od miejsca, gdzie byliśmy wczoraj. Powinno tu być bezpiecznie. Mniej więcej za dwa dni wrócimy do Cedar Keys i wtedy skontaktuję się z ojcem. - Marc wyciągnął przed siebie kubek. - Chcesz kawy?

- Pachnie zachęcająco. - Przerzuciła nogi przez krawędź łóżka i wzięła kubek. - Czy ty w ogóle dzisiaj spałeś?

Potrząsnął przecząco głową.

- Próbowałem, ale chyba byłem zbyt zdenerwowany.

Przez chwilę zatrzymał wzrok na jej obnażonych nogach, a kiedy spotkały się ich oczy, Samantha ujrzała pełne namiętności spojrzenie mężczyzny. Trwało to tylko moment i dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy nie uległa złudzeniu i nie było to jedynie grą jej wyobraźni.

W ciągu dnia Marc co jakiś czas popadał w drzemkę, a nawet kiedy nie spał, trzymał się od niej z daleka. Zaczęła się tym przejmować dopiero następnego dnia. Zauważyła, że ciągle pogrążony jest w myślach. Potrafiła sobie wyobrazić, jak ciągle analizuje sytuację. Jak

waha się z wyborem kolejnych posunięć, jak usiłuje przewidzieć zamiary prześladowców.

Niepokój włókł się za nią jak potężny, ponury cień. Im bliższy był dzień, w którym Marc miał się skontaktować z ojcem, tym bardziej się bała. Powtarzała sobie, że powrót do Cedar Keys niczym nie grozi, jednak wciąż szarpał nią strach. Strach, że tam już czekają mordercy. Późnym popołudniem Samantha patrzyła ponuro na przypaloną breję, która miała stanowić ich kolację. Zaklęła siarczyście i zsunęła patelnię do zlewu. Odkręciła kran i w tym momencie zdała sobie sprawę, jaki błąd popełniła. Chmura dymu natychmiast wypełniła kuchnię.

- Sam? - Marc zerknął na dół. - O Boże! - Błyskawicznie zbiegł po schodach i chwycił wiszącą obok drzwi gaśnicę. - Nic ci się nie stało?

- Nie! Nie rób tego! - Samantha złapała go za rękę. - To nie będzie konieczne. - Wzięła gaśnicę i odwiesiła ją na miejsce. - Nie ma ognia, to tylko dym.

Marc rozejrzał się w poszukiwaniu źródła dymu i podszedł do zlewu. Dym ulatniał się powoli, pozostawiając paskudny odór. Marc zmarszczył nos i odwrócił się do Samantha.

- Czy to miała być nasza kolacja? - zapytał wskazując na zlew.

- Nie waż się powiedzieć ani słowa więcej - parsknęła jak rozzłoszczona kotka.

Spojrzał na nią z rozbawieniem. Ze związanych do tyłu włosów wysunęło się kilka wilgotnych pasemek i przykleiło do czoła. Zbyt duża koszula była mokra od potu i lepiła się do ciała Samantha. Workowate spodnie pomieściłyby na pewno kogoś znacznie potężniejszego od niej. Spojrzenie Marka powędrowało do twarzy dziewczyny. Wysunięta szczeka i uparte spojrzenie wymownie określały jej nastrój. Była spocona, zagniewana i... prześliczna. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Pytam tylko z czystej ciekawości. - Podszedł bliżej. - Co to miało być?

- Fasolka po bretońsku - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

- I bardzo dobrze, że się spaliła. - Skrzywił się z niesmakiem. - Nie znoszę fasolki po bretońsku. Mam dla ciebie inną propozycję. Wrócimy do Cedar Keys o kilka godzin wcześniej i zaproszę cię na prawdziwą

kolację do klimatyzowanej restauracji.

Samantha odwróciła się i bez słowa opuściła kuchnię.

- Sam, zaczekaj! - krzyknął, ale już zniknął. Jeszcze raz spojrzał na spaloną papkę, wzruszył ramionami i pomaszerował za nią.

Siedziała na pokładzie, odwrócona tyłem do niego. Ręce zaplotła wokół kolan i w zamyśleniu patrzyła przed siebie. Dostrzegła go dopiero, jak skręciła głowę, aby wytrzeć spocony policzek w rękaw koszuli. W milczeniu usiadł obok niej.

Samantha patrzyła na rozległą zatoczkę. Upajała się jej pięknem i z całych sił pragnęła, żeby udzielił się jej spokój otaczającej przyrody. Chciała być silna, ale kiedy wspomniał o powrocie na brzeg, natychmiast się rozkleiła. Gdyby tylko mogli odpłynąć gdzieś daleko. Z pewnością istniało takie miejsce, gdzie mogliby czuć się bezpiecznie.

Przygryzła wargi i zacisnęła powieki.

- Sam? - Głos Marka był łagodny i zatroskany. -Może porozmawiamy o tym, co cię gnębi?

Samantha ukryła twarz w dłoniach i milczała.

- Boję się - powiedziała w końcu.

Marc przyciągnął ją do siebie. Bez wahania przytuliła się do mężczyzny.

- Wyznać ci pewien sekret? - zapytał, a kiedy skinęła głową, dodał. - Ja też.

- Ty? - Spojrzała na niego zdumiona. Uśmiechnął się krzywo, po czym lekko przycisnął głowę dziewczyny do swojej piersi.

- Tak, ja również się boję. - Wyciągał szpilki z jej włosów i głąskał wciąż jeszcze wilgotne, jedwabiste pasma. - Kobiety nie mają monopolu na to uczucie.

Nie przerywał uspokajającego gładzenia. Samantha myślała o tym, co usłyszała od niego.

Nie, to chyba niemożliwe - powiedziała w końcu i przysunęła się jeszcze bliżej.

- Sam.

- Tak?

- Jeśli chodzi o ten bałagan w kuchni... Podniosła głowę i spojrzała na niego. Uśmiechał się łagodnie.

Jean Claude spojrzał na zegar wiszący nad kominkiem i przeniósł wzrok na stryja. Starszy pan siedział za biurkiem i przerzucał strony najnowszego nabytku, jakim był ponad stuletni poradnik medyczny. Marc mógł zadzwonić w każdej chwili. Jean Claude był bardzo zmęczony. Ostatnie dwa dni były niestęchanie wyczerpujące. Stryj odzywał się rzadko, a nawet jeśli coś mu przekazywał, w każdym słowie słysząc było oskarżycielski ton. Przynajmniej Jean Claude tak to odbierał. Zastanawiał się teraz, czy kiedykolwiek zdoła się wyspać. Dzielił czas na poufne spotkania z Edwardem i O'Connorem i nieustanne pilnowanie Angelique.

Wyznanie Edwardowi prawdy o romansie było jednym z najtrudniejszych zadań, jakie kiedykolwiek miał do wykonania. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Edwarda. Malowały się na niej różne odczucia - odraza, zrozumienie i ból. Wiedział jednak, że za tym bólem krył się także gniew. Nikt nie mógł bezkarnie krzywdzić najbliższych Edwarda Dureaux.

Edward zadzwonił natychmiast do Patricka O'Connor'a, lecz informacje o Angelique nie zdziwiły agenta. Tylko dzięki jego naleganiom Edward zgodził się, aby Angelique pozostała w jego domu. Jean Claude podejrzewał, że stryj nie wyrzucił go z domu, ponieważ Patrick przydzielił mu zadanie do wykonania. Jean Claude miał obserwować Angelique, aby poznać jej kontakty. Ta kobieta była przecież tropem prowadzącym do Manchettiego.

Ponownie zerknął na zegar. Wciąż się niepokoił, jak Marc zareaguje na jego plan. Przewidywał, że Edward będzie miał dużo kłopotów z przekonaniem syna. Jean Claude zamknął oczy i rozważał sytuację. Nie wiedział, co Angelique powiedziała Markowi w momencie, kiedy zażądała rozwodu. Jeśli chociaż przelotnie wspomniała, że jego brat jest tym drugim, Marc na pewno nie zaakceptuje jego pomysłu. Na myśl o tym, serce zabiło mu mocno i poczuł, jak zwilgotniały dłonie.

Dzwonek telefonu wdarł się w ciszę pokoju. Jean Claude drgnął, a

Edward szybko podniósł słuchawkę.

Kiedy po półgodzinnej rozmowie odkładał ją na widełki, wytarł ręką spocone czoło. Jean Claude z napięciem oczekiwał słów stryja. Choć w pokoju wentylacja działała bez zarzutu, czuł, że koszula lepi mu się do pleców.

- On chyba oszalał - powiedział w końcu Edward.

- Ale zgadza się na ten plan, prawda?

- Tak, ale ...

Jean Claude poczuł ucisk w żołądku, widząc spojrzenie stryja.

- Nie miałem odwagi powiedzieć mu, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Angelique. Marc ma tyle innych zmartwień. Niech myśli, że ona niepokoi się o niego.

Jean Claude nie mógł znieść spojrzenia stryja, w którym malował się niemy wyrzut. Odwrócił się i podszedł do okna. Z pewnością Angelique nie była tak szalona, żeby wszystko wyznać Markowi. W przeciwnym wypadku nie wyraziłby on zgody na jego plan. Zbliżał się wieczór. Jeszcze jedna doba i nie będzie już odwrotu.

Kilka setek mil na południowy wschód od Nowego Orleanu zachodzące słońce rzucało pomarańczową poświatę na małe miasteczko Cedar Keys. Przechodnie spacerowali wzdłuż głównej ulicy, śmiejąc się i rozmawiając. Nikt się nie śpieszył, wszyscy byli odprężeni. Wszyscy z wyjątkiem Marka Dureaux.

Po zakończeniu rozmowy z ojcem nie mógł się ruszyć z miejsca jeszcze przez kilka minut. Nigdy dotąd nie doświadczał takiej niepewności i jednocześnie nie czuł się tak wściekły. Plan był bardzo ryzykowny, ale zarówno ojciec, jak i agent FBI zaakceptowali go w pełni. Jednak sama myśl, że autorem pomysłu był Jean Claude, sprawiała, że miał ochotę roztrzaskać coś ze złości. Nie chodziło o Angelique, lecz o to, że oszukiwał go ktoś, kogo traktował jak brata.

Odetchnął głęboko i wyszedł z budki telefonicznej. Skierował się w stronę przystani. Wkrótce ujrzał „Jenny”, ale na pokładzie nie było nikogo. Zastanawiał się, gdzie jest Samantha. Poczł narastający niepokój i krople potu pojawiły się mu na czole. Odruchowo wytarł je

ręką.

- Tylko bez pochopnych wniosków- wyszeptał. Rozejrzał się po przystani i przypomniał sobie, jak Samantha bała się powrotu na brzeg. Musiał ją długo przekonywać, że będą bezpieczni. Zdołał ją nawet namówić, żeby kupiła sobie jakieś ubranie.

Może wciąż jeszcze była w butiku? Zerknął przez ramię na sklepik i zdrętwiał ze strachu. Zobaczył w witrynie wywieszkę z napisem: „Zamknięte”. Postanowił nie ulegać panice i ponownie spojrzął na „Jenny”.

W końcu ją dostrzegł. Stała na pomoście i rozmawiała z dwoma chłopcami. Już wiedział, dlaczego nie poznał jej wcześniej. Dotychczas widział ją tylko w kostiumie kąpielowym albo ubraną w jego szorty i koszulę. Teraz wyglądała całkiem inaczej.

Związała włosy w luźny kok, wystawało z niego tylko kilka pasemek. Ciemnozielone klipsy w kształcie dużych kół zdobiły jej uszy. Sukienka była w tym samym kolorze. Ozdobiona z przodu koronką, przylegała ściśle do bioder i dalej przechodziła w luźny klosz sięgający poza kolana. Na nogach Samantha miała ciemnozielone, płócienne sandały.

Wyglądała oszałamiająco. Wiedział, że będzie musiał bardzo uważać, aby nie okazywać bez przerwy, jak wielkie wrażenie wywiera na nim ta dziewczyna.

- Sam! - zawołał głośno.

Odwróciła się na dźwięk jego głosu i pomachała na pożegnanie chłopcom. Marc podszedł i ujął ją za rękę.

Nawet niewinny dotyk jest lepszy niż brak jakiegokolwiek kontaktu, pomyślał.

- Co się stało? - spytała. - Co powiedział twój ojciec?

- Nie tutaj - odparł. - Później ci powiem. Po kolacji. Wciąż trzymając się za ręce poszli w stronę „Jenny”.

Chociaż Samantha nie protestowała, Marc zdawał sobie sprawę, że wcale nie zrezygnowała z pytań. Widział już ten zdeterminowany wyraz jej oczu. Potrzebował jednak trochę czasu, żeby stłumić gniew. Dopiero wtedy będzie w stanie rozsądnie rozmawiać.

Gdy weszli na pokład, Marc puścił rękę Samantha, ale ona przytrzymała jego ramię.

- Dlaczego nie chcesz powiedzieć mi teraz? Czy wydarzyło się coś jeszcze?

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nienowego...

- Ale coś cię gnębi, prawda?

- Czy możemy porozmawiać o tym później?

- Chcę rozmawiać teraz. Ja też jestem zamieszana w całą tę sprawę i należą mi się wyjaśnienia. Ja...

Chciał tylko oderwać ją od tematu, sprawić, żeby zamilkła i przestała zadawać pytania. Jednak kiedy wziął ją w ramiona, a ich usta spotkały się, zapomniał o swoich intencjach. Zapomniał także o niebezpiecznym planie Jean Claude'a. Czuł tylko bliskość dziewczyny, jej zapach i jedwabistą skórę jej ramion. Usta Samantha były ciepłe i zachęcające. Chciał całować ją mocniej i głębiej. Przeciągnął językiem po jej wargach. Rozchyliła je lekko.

Nagle dotarły do niego odgłosy ze świata zewnętrznego i cofnął się niezręcznie.

- Mamy towarzystwo - szepnął. - Twój przyjaciele postanowili cienie opuszczać.

Zdezorientowana Samantha spojrzała na Marka, po czym przeniosła wzrok na dwóch rozbawionych chłopców, którzy stali na pomoście.

- Zobacz, czego oni chcą, a ja tymczasem wezmę prysznic i zmienię ubranie.

- Ale Marc...

- Nie teraz, Sam. - Dotknął palcem jej warg. - A tak przy okazji, bardzo podoba mi się twoja sukienka, zwłaszcza z przodu - powiedział i zniknął pod pokładem.

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Znów udało mu się uniknąć wyjaśnień. Położyła ręce na biodrach, odetchnęła i poszła porozmawiać z chłopcami.

Po kilku minutach Samantha bez pukania weszła do kabiny Marka.

Stał przy szafce nagi, jedynie biodra miał owinięte ręcznikiem. Drugim wycierał mokry tors. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Samantha instynktownie chciała odwrócić się i wyjść, ale pragnienie, żeby dowiedzieć się, co mówił ojciec Marka, zwyciężyło nad zakłopotaniem.

- Gdzie są twoi przyjaciele? - spytał.

- Ze swoją mamą, na własnym jachcie - uśmiechnęła się.

- Czego chcieli?

- O nie, nie zaczynaj od początku. - Ostrzegawczo zmrużyła oczy. -

Chcę wiedzieć, co powiedział twój ojciec.

Marc jęknął i odwrócił się do niej plecami.

- Właśnie zamierzałem się ubrać - mruknął. - Masz coś przeciwko temu?

Samantha poczuła, że palą ją policzki, ale postanowiła nie tracić zimnej krwi.

- Nie, skądże - machnęła ręką. - Nie krępuj się. Kiedy skończysz, powiesz mi o czym rozmawialiście z ojcem. Ja zaczekam.

- W porządku. Jak sobie życzysz.

Jedną ręką Marc chwycił parę szortów, drugą zaś podtrzymywał ręcznik na biodrach. Gdy schylał się, aby naciągnąć spodnie, zagrały mięśnie na jego plecach. Wstrzymała oddech i wypuściła go dopiero wtedy, kiedy usłyszała szelest błyskawicznego zamka. Zrobiło się jej gorąco z wrażenia. Marc podszedł do niewielkiej szafy.

- Mój kuzyn przedstawił pewien plan - powiedział. Samantha kilkakrotnie przełknęła ślinę, zanim zdołała się odezwać.

- Co twój kuzyn ma wspólnego z tą sprawą? Sądziłam, że rozmawiałeś z ojcem.

- To prawda. - Marc wyciągnął z szafy kolorową koszulę. Wieszak zakotłosał się gwałtownie. Nadal czuł gniew. Kiedy wchodził pod prysznic myślał tylko o pocałunku z Samantha, ale zimna woda szybko przywróciła mu zdrowy rozsądek i skierowała jego rozważania na rozmowę z ojcem. Zimny tusz nie pomagał na uczucie wściekłości. Odetchnął głęboko, licząc na to, że odzyska panowanie nad sobą.

Położył koszulę na łóżku i odwrócił się do Samantha.

- Mój kuzyn Jean Claude mieszka z nami odkąd skończyłem pięć lat. Jest dla mnie jak... jak brat. - Marc omal nie zadławił się własnymi słowami. - Przynajmniej dotychczas tak uważałem. Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego jest on w to zamieszany. Pewnie spodziewa się skorzystać na tym. - Zaklął cicho. Nie potrafił ukryć goryczy. - Przepraszam. - Potargał wciąż wilgotne włosy. - Czuję się trochę sfrustrowany. Nie wiem, czy mogę ufać Jean Claude'owi. Wszystko jest takie zagmatwane.

Samantha pochyliła się i podała mu koszulę.

- Dlaczego nie zaczniesz od początku?

- Ojciec skontaktował się ze starym przyjacielem, który jest agentem FBI. Ten agent podejrzewa, że wynajęto płatnego mordercę, aby mnie zlikwidować.

- To straszne! Kto wynajął i... dlaczego? Samantha patrzyła na Marka z wyrazem przerażenia na twarzy. Podszedł do niej bliżej.

- Sam, widziałem ludzi, którzy zamordowali gubernatora - powiedział.

- Potrafię ich rozpoznać. Z jakichś przyczyn przyjaciel ojca uważa, że wszystkie ślady prowadzą do człowieka o nazwisku Manchetti.

- Antonio Manchetti? Marc skinął głową.

- Ale on ... on jest...

- To nie ma teraz znaczenia - przerwał. - Liczy się tylko fakt, że mają kogoś, kto może zeznawać przeciwko Manchetti'emu. Jednak potrzeba na to czasu. Ojciec twierdzi, że może nawet kilka miesięcy.

- Miesiące? - westchnęła. - Nie mogę zniknąć na tak długo. Mam obowiązki związane z pracą w szkole. A poza tym, co mamy robić w tym czasie? Czekać bezczynnie, aż znajdą nas mordercy?

- Przykro mi, że sprawisz zawód szkole, ale nie masz wyboru w tej chwili. - Marc ujął jej rękę. - Oczywiście, że nie będziemy czekali, aż nas odkryją. Zapoznam cię teraz z najważniejszym punktem planu. Zgodnie z nim znikniemy na zawsze.

Samantha poczuła się całkowicie zaskoczona.

- Co to znaczy „na zawsze”? - zapytała powoli. Marc pomyślał, że

nadszedł trudny moment. Jak mógł przekonać ją do tego planu, skoro sam miał tak wiele zastrzeżeń.

- Sam - delikatnie ścisnął jej dłonie. - Chcą, żeby wyprowadzić „Jenny” na otwarte wody i tam ją podpalić...

- Co?!

- Ma to sprawiać wrażenie wypadku... wypadku, w którym oboje zginęliśmy.

Patrzyła na niego w milczeniu. - Więc to jest właśnie plan twojego kuzyna? - odezwała się w końcu.

- Tak. Niezbyt cię przekonuje, prawda?

Samantha odsunęła się i podeszła do świetlika. W zamyśleniu patrzyła na zewnątrz, aż wreszcie spojrzała na Marka.

- To ma jakiś sens. - Pokiwała głową. Tym razem Marc poczuł się zaskoczony.

- Ma sens...? - wykrztusił. - To wszystko nie ma sensu.

- Oczywiście, że ma - upierała się. - Nie widzisz, że to całkiem logiczne? Skoro wszyscy uznają, że jesteśmy martwi, przestaną nas szukać.

- Wiem o tym. - Marc zaczął masować bolący kark. - Jednak nie ma dla mnie sensu to, że w planie, który ma na celu moje ocalenie, Jean Claude odgrywa tak istotną rolę.

- Aaa - wyjąkała i umilkła. Nie mogła nic dodać, gdyż nie wiedziała, jakie były stosunki pomiędzy Markiem a jego kuzynem. Z pewnością Marc nie wysuwałby bezpodstawnych zastrzeżeń. Nagle uderzyła ją pewna myśl.

- Co zrobimy, kiedy już podpalamy „Jenny”? - spytała.

- Odpłyniemy pontonem.

- Co za ulga - odetchnęła głośno. - Nie sądzę, żebym miała zadatki na długodystansową pływaczkę. Jaką odległość musimy pokonać?

- Żeby to wyglądało prawdopodobnie, musimy znaleźć się przynajmniej dziesięć mil od brzegu.

- Dziesięć mil! - Otworzyła usta ze zdumienia. - Mam nadzieję, że jesteś przygotowany na tak długie wiosłowanie. Ja wytrzymam może

dwie mile, ale dziesięć? Nie ma mowy!

Marc uśmiechnął się.

- Samantha, czy słyszałaś kiedykolwiek o takim urządzeniu jak silnik?

- Oczywiście, ale my go nie mamy.

- Nie mamy także pontonu. Wszystko musimy kupić.

- A co potem? - spytała. - Dokąd się udamy i co będziemy robili, dopóki nie wsadzą Manchettiego? Z czego będziemy żyli?

- Powoli, Sam. - Marc potrząsnął głową. - Mój ojciec i Jean Claude ustalają teraz wszystkie szczegóły, a pieniądze nie stanowią problemu. Potraktuj ten okres jako przedłużenie wakacji. Zawsze możemy jeszcze liczyć na cud, który sprawi, że ta historia wyjaśni się szybciej, niż zakładamy. Teraz proponuję zarzucić te rozważania i wybrać się na kolację.

Samantha natychmiast chciała przystąpić do omawiania szczegółowych ustaleń, ale Marc nalegał.

Zmierzch przeszedł już w noc. Kiedy wyszli na pokład, powitało ich rozgwieżdżone niebo i księżyc w pełni. Samantha zatrzymała się i patrzyła w niemym podziwieniu.

- Jest tak pięknie - westchnęła.

- Widok nie jest nawet w połowie tak piękny jak ty - szepnęła.

- Marc, przestań.

- Dobrze, ale to prawda.

Spojrzała na niego z wyraźną niechęcią. Przytrzymał ją, kiedy chciała zejść z pokładu na pomost.

- Czy już mówiłem, że podoba mi się twoja sukienka? - zapytał.

Niechęć przerodziła się w podejrzliwość.

- Chyba wspominałeś, że podoba ci się przód - powiedziała.

Marc zachichotał i objął ją ramieniem.

- Rzeczywiście, jest fascynujący. - Ruszyli w stronę miasta. - Jak to się utrzymuje?

Samantha złodowaciała. Marc niechętnie cofnął ramię i schował ręce w kieszeniach.

- Restauracja jest już blisko - mruknął.

- Jesteś pewien, że to bezpieczne?

Niczego nie był pewien. Zbyt wiele się ostatnio wydarzyło. Tego wieczoru pragnął tylko zapomnieć o całym świecie i cieszyć się towarzystwem dziewczyny. Z całym rozmysłem nie odpowiedział na jej pytanie.

- Kiedy byłem tu ostatnio, półmisek z owocami morza przeszedł wszelkie wyobrażenia o ich różnorodności i smaku - powiedział. - O, już jesteśmy na miejscu.

- Co to za nazwa? - Zabawnie wyduła policzki. - „Owoce morza”. Czy nie podają tu niczego innego?

W restauracji panował tłok, a ponieważ nie mieli rezerwacji, musieli czekać, aż zwolni się jakiś stolik. Samantha miała nadzieję, że jedzenie okaże się tego warte. Restauracja wyposażona była w klimatyzację i mimo takiego zagęszczenia ludzi panował tu przyjemny chłód.

Początkowo Marc ignorował dziwne mrowienie w karku. Jednak gdy to uczucie nasilało się, rozejrzał się od niechcienia. Ktoś ich obserwował. „Jesteś pewien, że to bezpieczne”, przypomniał sobie. Dokładnie przyjrzał się ludziom stojącym w kolejce. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Przeniósł spojrzenie na bar i tam właśnie dostrzegł przyczynę swojego niepokoju.

Barman wyraźnie wpatrywał się w niego. Kiedy Marc odwzajemnił spojrzenie, mężczyzna odwrócił wzrok, lecz za chwilę znów przyglądał się Markowi.

- Sam. - Marc przytulił Samanthę. - Zaczekaj na mnie, wezmę jakieś drinki w barze.

- Świetnie - przytaknęła. - Weź dla mnie małą wódkę.

Marc skinął głową, przecisnął się przez tłum i podszedł do baru. Sądził, że barman zignoruje jego obecność, ale mężczyzna przerwał wycieranie szklanek i zbliżył się do niego.

- Czym mogę służyć?

- Jak ci na imię? - zapytał cicho Marc.

- Jack. - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Wszyscy tak mnie nazywają.

- A więc powiedz mi teraz, Jack, dlaczego wciąż się na mnie gapisz?
- Oszalałeś człowieku. Na nic sienie gapię.
- Doprawdy? - Marc chwycił barmana za koszulę i przyciągnął go do siebie tak blisko, że prawie stykały się ich czoła. - Co powiesz na to, Jack, że uszkodzę ci trochę twarz?
- Człowieku, uspokój się. - Barman nie był już taki pewny siebie. - Wszystko w porządku.
Marc puścił mężczyznę.
- Dwaj faceci byli tu mniej więcej przed godziną. Pokazywali wszystkim twoje zdjęcie i pytali, czy ktoś cię widział.
Marc niemal słyszał, jak wali mu serce.
- Co im powiedziałaś? - zapytał.
- Nic, przysięgam. - Mężczyzna uniósł ręce w obronnym geście. - A niby co miałem im powiedzieć?
- Dokąd poszli?
- A skąd mam wiedzieć?
Marc sięgnął do kieszeni. Wyciągnął dziesięciodolarowy banknot i położył na ladzie.
- Przecież mogłeś coś usłyszeć - powiedział. Jack wziął banknot i schował go pośpiesznie.
- Tak, wspominali coś o tym, że sprawdzą inne restauracje w mieście.
- Dziękuję, Jack. - Marc odwrócił się.
- Ej, proszę pana - uniesienie zwrócił się barman. - Może interesuje pana, co jeszcze mówili.
Marc ponownie sięgnął do kieszeni. Oczy Jacka pożądliwie śledziły banknot, który znów wylądował na ladzie.
- Mówili, że wrócą za parę godzin.
Marc bez słowa opuścił bar i ruszył w stronę Samantha. Chwycił ją za rękę i pociągnął do drzwi.
- Marc! - krzyknęła. - Co ty robisz?
- Wychodzimy.
- Ale dlaczego? Już prawie mamy stolik.
- Zaufaj mi - rzucił w pośpiechu. - Później ci to wyjaśnię.

Na ulicy Marc prowadził ją tak, żeby przez cały czas nie rzucała się w oczy. Kiedy doszli do portu, dziewczyna ruszyła w stronę „Jenny”, ale przytrzymał ją.

- Poczekaj tutaj. - łagodnie popchnął ją w boczną alejkę. Najpierw sam sprawdzę łódę.

Samantha nie puszczała jego dłoni.

- Jeżeli sądzisz, że zostanę tu sama, to grubo się mylisz - powiedziała.

- Nie ma mowy, Dureaux. Nie ma mowy.

- Samantho, nie czas teraz na kłótnie...

- Słusznie - przerwała. - Idziemy.

Marc wymamrotał coś niepochlebnego na temat upartych kobiet i ruszył przed siebie. Samantha postępowwała za nim krok w krok. Obeszli przystań i ostrożnie wstąpili na jacht.

- Zostań tam - szepnął i machnął ręką w stronę kokpitu. - Sprawdzę, co dzieje się na dole. Schowaj się i uważaj na tych, co będą podchodzili do jachtu.

Dziewczyna pośpiesznie skinęła głową. Marc zawahał się. Choć starała się demonstrować odwagę, widział w jej oczach jak bardzo się bała.

- To nie potrwa długo - dodał uspokajająco.

- Bądź ostrożny i... śpiesz się - wyszeptała.

Marc dokładnie przeszukał pomieszczenia na dole. Kiedy przekonał się, że nie ma najmniejszych śladów czyjejkolwiek obecności, powrócił na pokład.

- Wszystko w porządku. Nie sądzę, żeby ktoś tu był. Sam, czy ty mnie słuchasz? - Gdy nadal nie odpowiadała, ukląkł przed nią i ujął jej zimne ręce w swoje dłonie. Nawet w półmroku widać było, jak bardzo jest blada. Ścisnął jej palce. - Musimy zaraz odpływać.

- Znaleźli nas, prawda?

- Nie - zaprzeczył stanowczo. Nie podobał mu się głos dziewczyny. Słychać było w nim tak ogromne drżenie, jakby za chwilę miał się załamać. - Nie znaleźli nas, ale szukają. Dlatego musimy odpłynąć.

Puścił dłonie Samantha i pogładził ją po policzku.

- Wiem to od barmana z restauracji - dodał. - Zadałem mu kilka pytań.

Delikatnie uniósł jej twarz do góry. Pokusa, aby ją pocałować, okazała się zbyt silna. Nie mógł jej się oprzeć i wcale nie chciał.

Samantha wysunęła się z jego objęć.

- Och, Marc! - powiedziała z rozpaczą w głosie. - I co my teraz zrobimy?

- Musimy wydostać się stąd tak szybko, jak to możliwe - westchnął. - Sam, potrzebuję twojej pomocy.

- A co z pontonem i silnikiem?

- Niedaleko stąd na północ znajduje się mała przystań. Tam kupimy wszystko, co potrzebne. No chodź. - Złapał ją za ramiona i pociągnął w górę. - Idź się przebrać, a ja wyprowadzę jacht. Zobaczysz, że poczujesz się bezpieczniej, kiedy odpłyniemy.

I ja również, dodał w myślach.

11

Kiedy opuścili przystań, Samantha uspokoiła się nieco. Siedziała na pokładzie z nogami zwieszonymi nad wodą i obserwowała oddalające się światła Cedar Keys. W pewnej chwili zadrżała gwałtownie. Przypomniała sobie, jak Marc mówił, że będzie czuła się bezpieczniej, gdy tylko wypłyną. Jednakże poczucie bezpieczeństwa, podobnie jak wszystkie inne subiektywne uczucia, było względne. Kiedy spotkała Marka i przypisywała mu jak najgorsze intencje, otwarte wody przerażały ją. Teraz Marc był jej obrońcą i te same wody stanowiły jedyne schronienie przed prawdziwymi mordercami.

Marc obserwował milczące czuwanie Samantha. Siedziała nieruchoma i sztywna, samotna sylwetka na tle rozgwieżdżonej nocy. Pragnął podejść do niej, objąć ramieniem i przyrzec, że nic im nie grozi. Nie mógł tego uczynić. Złożył już zbyt wiele obietnic, których nie był w stanie dotrzymać.

Samantha podciągnęła nogi i wstała. Podeszła powoli do kokpitu.

- Jak długo będziemy jeszcze płynąć? - zapytała.

- Już niedługo. Zakotwiczę tuż obok małej przystani w Horseshoe Point, a stamtąd popłynę dinghy i kupię wszystko, co może nam być potrzebne.

- Czy masz pieniądze? - Zanim zdążył odpowiedzieć, pośpieszyła z wyjaśnieniami. - To znaczy... kupię już żywność, dać mi pieniądze na ubranie i...

- Sam! - Marc podniósł rękę, aby ją uciszyć. - Mam wystarczająco dużo pieniędzy, aby kupić to, czego nam potrzeba. Jean Claude ma załatwić rezerwację w motelu na północ stąd, a także zaopatrzyć mnie w dodatkowe pieniądze.

- Wygląda na to, że wszystko zostało zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach - westchnęła.

- Tak, na to wygląda.

- A ja wciąż odnoszę wrażenie, że nie dowierzasz swemu kuzynowi.

Marc mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi.

- Coś cię niepokoi - powiedziała. - Chciałbyś o tym porozmawiać?

Spojrzał na żagiel.

- To Jean Claude mnie niepokoi - wyznał. - Gdybyś go znała, wiedziałabyś dlaczego.

- Opowiedz mi o nim - zaproponowała.

Milczał przez kilka chwil. Jean Claude był ostatnią osobą, o której chciałby rozmawiać.

- Marc? - Samantha delikatnie dotknęła jego ramienia. - Opowiedz mi o swoim kuzynie.

Marc popatrzył na wodę oświetloną blaskiem księżyca.

- Z niezrozumiałych dla mnie powodów Jean Claude zawsze mnie odrzucał. - W jego głosie słychać było smutek. Wzruszył ramionami i ciągnął dalej. - Kto wie, może miał swoje powody. Wiem tylko, że w przeszłości ledwo raczył mnie zauważać. Dlaczego teraz miałby chcieć mi pomóc?

- Jest starszy czy młodszy od ciebie?

- Starszy o trzy lata.

Samantha z premedytacją wykorzystała okazję do szczerzej rozmowy. Wiele dowiedziała się o matce Marka, jego dzieciństwie, tak bardzo różnym od jej własnego. Teraz mogła sobie wyobrazić, co znaczyło dorastać jako Dureaux. Roześmiała się serdecznie, gdy opowiedział jej o Dorze i swoich podejrzaniach dotyczących uczuć gospodyni do Edwarda Dureaux. Trudno jej było uwierzyć, że wciąż jeszcze można spotkać ludzi, którzy tak poważnie traktują granice wynikające z różnic klasowych.

- To jedna z najsmutniejszych historii, jakie słyszałam - powiedziała. - Biedna Dora.

- Biedna Dora, rzeczywiście - Marc roześmiał się i zaczął zwijać żagle. - Rządzi gospodarstwem i ojcem żelazną ręką. Myślę, że on także od dawna ją kocha.

Gdyby tak nie było, nie zniósłby jej despotyzmu. Chyba, że jest ślepy i

głuchy... Ale wierz mi, że na pewno nie jest.

Gdy słuchała opowieści o jego rodzinie, uderzyło ją pewne spostrzeżenie. Ani słowem nie wspomniał o swojej żonie. Czyżby temat ten był zbyt bolesny?

Odwróciła się i podeszła do burty. Przed nimi rozciągała się rozległa i ciemna zatoka. Wydawało się, że kończy się dopiero w miejscu zetknięcia z rozgwieżdżonym niebem.

Marc zarzucał kotwicę, a Samantha wciąż rozmyślała o tym, co mówił o swojej rodzinie. Był bardzo związany z ojcem, Dorą, a także z Jean Claude'em. Można to było wywnioskować ze sposobu, w jaki o nich opowiadał. Wspomniała również o tej nocy, gdy się pokłócili. Chociaż z goryczą wyrażał się o żonie, nie zaprzeczył, że przyjąłby ją z powrotem, gdyby zechciała powrócić. Zamiast udzielić jasnej odpowiedzi, szybko zmienił temat. Fakt, że ożenił się z Angelique z powodu ciąży, świadczył na jego korzyść, ale czy zawsze będzie miał poczucie obowiązku w stosunku do kobiety, z którą związał się małżeństwem? Czy już na zawsze pozostanie między nimi więź emocjonalna?

Usłyszała za sobą kroki Marka, ale nie oderwała wzroku od wody.

- Sam? Dlaczego nagle zamilkłaś?

- Myślę.

- Zbyt intensywne rozmyślanie może doprowadzić człowieka do szaleństwa.

- Możliwe - odpowiedziała obojętnie.

Marc odwrócił ją twarzą do siebie i przytrzymał.

- Boisz się jutrzejszego dnia?

- Trochę - westchnęła cicho.

Objął ją ramieniem z taką swobodą, jak gdyby był to najbardziej naturalny gest w ich kontaktach.

- Nie powinnaś - wyszeptał w miękkie, puszyste włosy.

Tak dobrze było trwać w jego uścisku. Samantha przez moment upajała się poczuciem bezpieczeństwa. Pokusa, aby go zachęcić i poddać się temu, czego oboje pragnęli, była nie do zniesienia, niemalże sprawiała ból. Dziewczyna odsunęła się.

- Szczerze mówiąc myślałam o twojej żonie - rzuciła. Przez chwilę wpatrywał się w nią uważnie. Zadrżały mu mięśnie szczęki, a oczy przybrały chłodny, odległy wyraz.

- Dlaczego myślisz o Angelique? Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Po prostu próbuję zrozumieć.

- Dlaczego? Co tu jest do rozumienia?

- Nie wiem dlaczego. Wiem tylko, że czuję się zagubiona. Nigdy nie zaprzeczyłeś, że przyjąłbyś ją z powrotem.

Marc zaklął cicho.

- Ten sukinsyn, twój były przyjaciel, nieźle cię załatwił - powiedział.

- Widzisz? —Rzuciła mu wściekłe spojrzenie. - Znowu to robisz.

- Co robię, na litość boską?

- Unikasz odpowiedzi na pytanie. Chcesz wiedzieć, co myślę? - Nie dała mu czasu na odpowiedź. - Myślę, że nie odpowiadasz, ponieważ to prawda. Myślę, że nie możesz o niej mówić, bo wciąż ją kochasz i nie sądzę, abyś się kiedykolwiek od niej uwolnił.

- Przyznaję, że Angelique pozostawiła ślady - powoli powiedział Marc.

- Masz rację. Nie wiem, czy zdołam się od niej kiedykolwiek uwolnić, ale... - Cofnął się i potrząsnął głową, jak gdyby nie był już w stanie dłużej rozmawiać - ... pamiętaj, że zbyt intensywne rozmyślanie doprowadza człowieka do szaleństwa.

Następnego dnia obudziło Samanthę lekkie kołtykanie. Leżała bez ruchu na koi. Zdawało się jej, że minęły lata odkąd po raz pierwszy obudziła się na „Jenny”. Rozejrzała się po kabinie i poczuła ukłucie w sercu. Za kilka godzin będą musieli zniszczyć ten piękny jacht. Odrzuciła koc i wyśliznęła się z łóżka. Pośpiesznie narzuciła na siebie koszulę i szorty. Ponownie rozejrzała się po kabinie i szybko poszła w stronę wyjścia.

Kiedy wyjrzała przez właz, zobaczyła, że Marc stoi przy sterze i uważnie ogląda mapę. Po rozmowie o Angelique, milczał przez resztę wieczoru. Milczał i był ponury. Być może rozumiał to, co mu powiedziała.

- Dzień dobry - krzyknęła głośno. Odwrócił głowę i machnął ręką w jej

stronę.

- Chodź tutaj - zawołał. - Chcę ci coś pokazać. Gdy podeszła na wyciągnięcie ręki, przyciągnął ją bliżej. Rozpostarł mapę na sterze.

- Wkrótce będziemy na miejscu - powiedział wskazując palcem małej punktu.

- I co dalej?

- Wezmę łódkę i kupię w miasteczku wszystko, co będzie nam potrzebne.

- Nie zakotwiczymy na przystani?

- Nie. Jeżeli plan ma się udać, nie możemy zostać zauważeni.

Marc jeszcze raz pokazał jej na mapie Horseshoe Point i obecne położenie jachtu. Samantha zaczęła modlić się w duchu na myśl o tym, co ich czeka. Miała nadzieję, że mężczyzna wie, co robi.

- Tutaj - postukał w mapę. - Tutaj odpoczniemy trochę po wiosłowaniu.

Ujrzała małą, czarną kropeczkę.

- Czy to wyspa? - zapytała.

- Prawie, prawie - Marc roześmiał się. - To idealne miejsce, żeby zostawić zapas paliwa i ubranie. Kiedy podpalimy „Jenny”, musimy się śpieszyć. Im mniejsze obciążenie, tym szybciej popłyniemy. Te silniki nie są specjalnie mocne.

Po południu Marc powiosłował w stronę miasteczka i szybko wrócił z zakupami. Pomogła mu wnieść paczki na pokład, a potem przyglądała się, jak Marc sprawdza każdą sztukę zakupionego sprzętu. Gdy ujrzała ponton, niewiele większy od przeciętnej wanny, ciarki przebiegły jej po krzyżu.

- Jesteś pewny, że to utrzyma dwoje ludzi? - zapytała.

- Denerwujesz się?

- Trochę.

- Nie ma potrzeby. Ponosi cię wyobraźnia. Samantha miała co do tego poważne wątpliwości, ale milczała. Kiedy uświadomiła sobie, że ich życie zależy od odrobiny szczęścia, zadrżała ze strachu.

- Czy możesz mi coś powiedzieć? - odezwała się w końcu.

- Czy tu... w tych wodach są rekiny?

- Pewnie tak, ale dokuczają ludziom tylko wtedy, gdy ludzie dokuczają im - wzruszył ramionami.

Zastanowił się, czy ta opinia nie dotyczy przypadkiem węży. Niewiele wiedział o zwyczajach rekinów, liczył na to, że Samantha również ma niewiele do powiedzenia na ten temat. Do diabła, nawet przez chwilę o tym nie pomyślał, tak bardzo był zajęty realizacją planu ich ucieczki, także planowaniem dalszych posunięć. Jeśli Jean Claude sądził, że Marc zniknie bez słowa i będzie potulnie czekał na zakończenie tej historii, to czekała go niespodzianka.

Marc skierował jacht w stronę maleńkiej wysepki, gdzie mieli ukryć zapasy. Samantha pozostała na „Jenny”, a Marc podpłynął łódką do brzegu. Wybrał jedną z wielkich kęp krzaków i umieścił pod nią przywiezione pakunki. Dla oznaczenia miejsca przewiązał gałązkę jaskrawoczerwoną szmatą.

Zepchnął łódkę na wodę i zaczął wiosłować w stronę jachtu. Patrząc na niego, Samantha uświadomiła sobie, że za chwilę czeka ich realizacja głównego punktu planu. Poczuła, że coś ją ścisną w żołądku, zrobiło się jej niedobrze. Odetchnęła głęboko. Nie było sensu zastanawiać się nad grożącym im niebezpieczeństwem. Maszyna poszła w ruch, teraz nie mieli już wyboru.

Gdy Marc dotarł na „Jenny”, podnieśli kotwicę. Wiatr był bardzo słaby i minęła godzina, zanim znaleźli się na wybranym miejscu. Godzina ta była wypełniona wywodami Marka na temat szczegółów związanych z planem. Miała dosyć roztrząsania tego, chciało się jej wyc z rozpacz. Poczuła ulgę, gdy wreszcie przeszła na ponton i odpłynęła kawałek. Spojrzała na „Jenny” i na widok wydobywającego się dymu coś zacisnęło się jej w gardle. Fale kołysały gumową łódką, lada chwila mogła nastąpić wywrotka. Wydawało się, że ogień jest już wszędzie. Płomienie szalały po pokładzie, sięgały masztu. Samantha przystoniała oczy dłońią. To wszystko wydarzyło się tak szybko, o wiele za szybko. Ponton zakołysał się niebezpiecznie i przez krótki czas musiała skoncentrować się wyłącznie na utrzymaniu równowagi. Kiedy opanowała sytuację, ogarnął

ją niepokój. Gdzie był Marc? Przecież powinien już płynąć w jej stronę.

Nagły odgłos eksplozji niemal ją ogłuszył. Zaskoczona patrzyła na tłące się kawałki jachtu rozrzucone dokoła. Chwilę później usłyszała inny dźwięk. Ze zdumieniem odkryła, że to jej własny głos wykrzykujący imię Marka.

RRS

12

Czarny dym unosił się nad tym, co pozostało z „Jenny”, lecz nadal nie było widać Marka. Samantha ostrożnie pochyliła się do przodu.

- Marc? - krzyknęła. W odpowiedzi nie dobiegł żaden głos.

W ułamku sekundy Samantha zrozumiała pewną prawdę. Popętniła niewybaczalny błąd, choć obiecała sobie, że nigdy więcej tego nie zrobi. Znowu zakochała się w mężczyźnie, który był związany z inną kobietą.

Oczy dziewczyny zamglily się, ukryła twarz w dłoniach. Wiedziała, że jeżeli teraz zacznie histeryzować, jej los będzie przesądzony. On nie mógł zginąć, po prostu nie mógł... Był tu gdzieś, na pewno.

Uniosła głowę i jeszcze raz rozejrzała się uważnie. Kawałki drewna wynurzały się z wody i ponownie tonęły, zupełnie jak gdyby bawiły się ze sobą w chowanego. Nagle ujrzła ciemną głowę tuż nad powierzchnią wody.

- Marc? - Serce rozszalało się w piersiach Samantha. Uważnie śledziła, jak zbliżał się do niej. - Nic ci nie jest?

Płynął powoli, z ogromnym wysiłkiem. Nie odpowiadał.

- Bałam się, że... - przerwała, gdyż coś ją zaniepokoiło. - Trzymaj się - krzyknęła. - Już płynę.

Odwróciła się, chwyciła linkę i spróbowała uruchomić silnik. Zawarczał i umilkł. Po trzeciej nieudanej próbie zakłęta i wzięta w dłonie wiosło. Mięśnie ramion zaprotestowały, ale zignorowała ból. Kiedy była już o kilka metrów od Marka, zauważyła smugę krwi na jego czole. Ogromnym wysiłkiem zdławiła strach. Krew przyciąga rekiny, pomyślała i zaczęła szybciej wiosłować. Przynajmniej tyle wiedziała o tych morskich drapieżnikach.

Marc uchwycił się pontonu, Samantha podała mu wiosło. Omal nie przewrócił gumowej łódki, zanim udało mu się na nią dostać. Przez moment leżał wyczerpany i z trudem łapał oddech.

- Co się stało? - Dotknęła delikatnie jego twarzy. Rana była raczej niewielka w porównaniu z ilością krwi. Szybko przejechała rękami po jego ramionach, plecach i nogach.

- Nic mi nie jest. - Marc złapał ją za przegub. Usiadł z wysiłkiem. - Nie mamy czasu. Musimy stąd odpłynąć, zanim nas ktoś zobaczy. Zamieńmy się miejscami.

- Jesteś pewien, że dasz radę? - Krwawisz jeszcze... - Ruszył w jej kierunku. - Marc? Uważaj! - Ponton rozkołysał się i woda dostała się do środka.

- Zobacz, czy uda się ją wyłączyć. - Odwrócił się w stronę silnika i pociągnął za linkę. Za drugim szarpnięciem motor zaskoczył. - Sam, zajmij się wodą. Nigdy nie dołyniemy na miejsce z takim ciężarem.

Samantha rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś naczynia.

- Użyj tego. - Marc wskazał leżącą menażkę. - Pośpiesz się. I podaj mi kompas.

- Przecież to jest woda do picia - zaprotestowała. Marc nie krył zniecierpliwienia.

- Jeśli nie pozbedziemy się dodatkowego ciężaru, woda do picia nie będzie nam potrzebna. Nie wystarczy nam paliwa, żeby dołynąć do wyspy.

Drżącymi rękami wyjęła kompas z plastikowej torebki i podała go Markowi. Otworzyła menażkę i z wahaniem wyciągnęła w jego stronę. Polał wodą głowę, po czym wypił pośpiesznie kilka łyków. Samantha też przełknęła odrobinę, a resztę wylała.

Przez następnych kilkanaście minut czerpała wodę z pontonu i wylewała za burtę. Ramiona omdlewały z wysiłku, a minuty zamieniały się w godziny. W końcu udało jej się usunąć prawie całą wodę. Teraz pozostawało tylko czekać. Ponton posuwał się w ślimaczym tempie poprzez nie kończące się fale. Upał był niemiłosierny, lecz Samantha przekonywała siebie, że odczuwane pragnienie nie wynika z autentycznej potrzeby picia, lecz jest tylko przewrotną reakcją na brak wody.

Marc nie miał odwagi spojrzeć na nią. Od początku wszystko szło nie

tak, jak powinno. Głowa pękała mu z bólu. Przymknął oczy i zaklął cicho.

- Marc? - Samantha dotknęła jego ramienia. - Pozwól, że zobaczę, co z twoją głową.

Odsunął jej rękę. Nie chciał jej troskliwości. Nie zasługiwał na nią.

- Sam, to tylko zadrapanie - powiedział. - Nic mi nie jest.

- Nie wyglądasz, jak człowiek, któremu nic nie dolega. Co tam się stało?

- Kuchenka - mruknął.

- Co?

- Kuchenka, do cholery! Zapomniałem o kuchence gazowej - spojrzał na nią. - Zadowolona jesteś?

- Nie, nie jestem. - Odwzajemniła spojrzenie. - Poza tym nie wrzeszcz na mnie.

- W porządku. - Przewrócił przesadnie oczami. - zanim zdążyłem wydostać się na pokład, wybuchła kuchenka. Impet eksplozji wyrzucił mnie do wody. Zapamiętałem, że wszystko fruwało w powietrzu, więc starałem się jak najdłużej nie wypływać na powierzchnię.

- Wystraszyłeś mnie...

- Posłuchaj - Marc raptownie podniósł rękę. - Słyszysz?

- Samantha uniosła głowę i zmartwiła. Usłyszała jakiś odległy hałas.

- Co to? - szepnęła.

- Spójrz... tam.

- Wzrok Samantha pobiegł w kierunku wskazywanym przez jego rękę. Zmrużyła oczy i ujrzała źródło dźwięku. Nad resztkami, Jenny" krążył helikopter.

- Helikopter? Czy nas odkryli?

- Mam nadzieję, że nie. - Marc wzruszył ramionami.

- Chyba jesteśmy już dostatecznie daleko. Sądzę też, że przeszukują tylko najbliższą okolicę.

- Jak długo jeszcze będziemy płynąć? - spojrzała na niego.

- Niedługo - odpowiedział krótko, modląc się w duchu, aby jego obliczenia okazały się prawidłowe. Mieli już niewiele benzyny.

Kiedy po godzinie prawie już doptywali do wyspy, silnik zaczął się

krztusić.

- Cholera - wyszeptał Marc.
- Może przechyłę zbiornik?
- Spróbuj - skinął głową.

Samantha przechyliła zbiornik, aby można było wykorzystać tę odrobinę, którą jeszcze została.

- No maleństwo - Marc przemawiał pieśczośliwie, jednocześnie zgrzytając zębami. - Jeszcze tylko troszkę.

Po kilku minutach silnik zgasł nieodwołalnie i Marc chwycił za wiosło.

- Jesteś pewien, że to ta wyspa? - spytała Samantha.
- Nie widzę szmatki i całe otoczenie wygląda inaczej.
- Oczywiście, że ta - odparł zdecydowanie.

Jednak w miarę zbliżania się do brzegu, okolica wydawała się coraz bardziej obca. Drzewa były niższe, a plaża o wiele węższa, niż zapamiętał z poprzedniego pobytu. Nigdzie też nie było tej przeklętej flagi.

Samantha miała rację.

Kiedy fala wepchnęła ponton na brzeg, usłyszeli zbliżający się warkot. Nie było czasu zastanawiać się nad czymkolwiek.

- Sam, ponton! Pomóż mi ukryć go między drzewami. Nadlatuje helikopter.

- W momencie, kiedy udało im się wciągnąć ponton między gęste, nadbrzeżne zarośla, helikopter wyłonił się spoza linii drzew i za chwilę przeleciał nad nimi.

Wyczerpany Marc oparł się o pień drzewa.

- Omal nie wpadliśmy - wyszeptał.
- Chyba przez cały czas szukają rozbitków. - Samantha również oddychała z trudem. - Myślisz, że wrócą jeszcze?

Marc oderwał się od drzewa.

- Nie będziemy tu czekać, żeby się o tym przekonać.
- Pochylił się i wyciągnął z pontonu małe zawiniątko, starannie zabezpieczone plastikowym opakowaniem. Wyciągnął z niego mapę i przez kilka minut studiował uważnie, po czym spojrzał na Samanthę wskazując jakiś punkt.

- Widzisz?

Dziewczyna uklękała obok niego.

- To na pewno jest właśnie ta wyspa. - Postukał palcem w mapę. - Tylko prąd zniósł nas na drugą stronę.

- Złożył mapę i wsunął ją do jednego z tobołków. - Chodź! - Złapał ją za rękę. - Przed nami spory kawałek drogi.

Gdy szli wzdłuż plaży, Marc odzyskiwał pewność siebie. Okolica wyglądała znajomo.

- Marc! - Samantha nagle się zatrzymała. - Tam! Ręka dziewczyny wskazywała rozległą kępę krzaków. Na jednym z nich powiewała czerwona szmatka.

Kiedy dotarli do pakunków z zapasami, Marc wyciągnął menażkę i podał Samancie. Zachłannie wypita kilka łyków.

- Nie miałam pojęcia, że woda może aż tak smakować - westchnęła.

Marc także ugasił pragnienie, po czym starannie zamknął menażkę i schował do plecaka.

- Ja to poniosę - Samantha zarzuciła torbę na plecy. - Ty weź kanister.

- Już późno, Sam - Marc uniósł kanister i ruszył w stronę, z której przyszli. - Musimy dotrzeć na brzeg zanim się ściemni.

Samantha poprawiła plecak i posłusznie ruszyła za nim.

Gęsty las rozciągał się po obu stronach drogi. Głęboką ciszę przerywało czasem przedwieczne kumkanie żab. Samantha patrzyła na plecy Marka. Koszula mężczyzny była mokra od potu. Wyprawa na ląd zajęła więcej czasu, niż przewidywali. Silniki do pontonu nie odznaczały się dużą mocą, nie mogli więc rozwinąć pożądanej prędkości. Późniejsza wędrówka po plaży także zdawała się nie mieć końca. Wreszcie znaleźli kamienistą drogę, która prawdopodobnie prowadziła donikąd.

- Odpocznijmy kilka minut. - Marc zatrzymał się gwałtownie.

Zatopiona w myślach Samantha omal się nie przewróciła, gdy próbowała umknąć zderzenia.

- Następnym razem daj jakiś znak, że się zatrzymujesz - powiedziała.

- Następnym razem uważaj, gdzie idziesz - odburknął.

Samantha zignorowała tę uwagę i z trudem pokuśtykała w stronę pobocza. Oboje byli tak wyczerpani, że kłótnia na pewno nie poprawiłaby sytuacji. Usiadła i ostrożnie zdjęła but.

- Przeklęty piasek - mruknęła i uważnie obejrzała piętę.

- Co się stało? - Marc podszedł i przyklęknął obok. - Pozwól, niech obejrzę. - Delikatnie ujął jej nogę w kostce i lekko dotknął olbrzymiego bąbla. - Jeżeli pęknie, będzie cię cholernie bolało.

Samantha skrzywiła się.

- Chyba spróbuję iść bosą przez jakiś czas - powiedziała.

Na moment spotkały się ich spojrzenia.

- Nie chciałem być taki gburowaty - Marc zaczął głaskać jej stopę.

- Ja też nie - szepnęła, poruszona pieśczętą.

Gdy Marc pochylił się i musnął ustami bąbel, na moment straciła oddech z wrażenia. Zapomniała o całym świecie, czuła tylko gwałtowne, rosnące pożądanie.

- Przepraszam, przyjęte?

Samantha nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Skinęła głową w odpowiedzi.

- Świetnie. - Puścił jej stopę i wstał. - Możesz iść bosą. W cieniu nie powinno być zbyt gorąco.

Wyciągnął mapę z kieszeni, a Samantha zrzuciła drugi but.

- Jeszcze tylko kilka kilometrów do autostrady - powiedział. To już niedaleko.

„Było już całkiem ciemno, kiedy dotarli do autostrady. Wyczerpana Samantha mogła myśleć wyłącznie o kąpieli w wannie pełnej gorącej wody.

- Cholerne komary - rozległ się nagle zachrypnięty głos Marka.

Natrętne owady pojawiły się natychmiast po zachodzie słońca. Gdyby Samantha nie była bliska płaczu z wyczerpania, uznałaby pewnie całą tę sytuację za zabawną. Co kilka sekund Marc przeklinał i wymierzał sobie uderzenie.

Nagłe pojawienie się świateł na autostradzie i ryk silnika diesla przerwały ponure rozmyślenia dziewczyny. Gdyby tylko udało się

zatrzymać ten pojazd.

- Pomódl się trochę. - Marc ruszył na środek drogi. Samantha chwyciła go za ramię.

- Jeżeli się zatrzyma, to co powiesz kierowcy? - Spojrzała na drogę, a potem znów na Marka. Światła zbliżały się z niepokojącą szybkością. - Mężczyzna i kobieta na pustej szosie nie wzbudzają zaufania.

Marc położył plecak na ziemi.

- Nie martw się - ścisnął jej rękę. Zastosuję wypróbowany sposób pod tytułem „Zabrakło mi benzyny”. Wierzę, że jest niezawodny.

- A jeśli zostaniesz rozpoznany?

- Sam, przecież to Floryda. Nie sądzę, żeby moje zdjęcie ukazało się w tutejszych gazetach. A jeżeli nawet, to jest tak piekielnie ciemno, że nie rozpoznałby mnie własny ojciec. Poza tym jestem przecież w przebraniu - potarł zarośniętą szczękę.

Olbrzymi pojazd zwolnił nieco, kiedy ich mijał. Samantha wstrzymała oddech w oczekiwaniu. A jeśli się nie zatrzyma? Jednak po kilkunastu metrach ciężarówka stanęła.

- Chodź! - Marc chwycił dziewczynę za rękę. Kiedy dobiegli do pojazdu, otworzył drzwi i podsadził Samanthę.

- Co się stało? Zgubiliście się?

Zachrypnięty damski głos był zaskoczeniem dla obojga. Samantha zatrzymała się jak wryta.

- Nie, proszę pani - Marc delikatnie popchnął dziewczynę, po czym wsunął się do środka i zamknął drzwi. W kabinie panował gęsty półmrok. - Skończyła się nam benzyna.

- Jestem Tiny.

- Kobieta wyciągnęła rękę i uścisnęli sobie dłonie. Marc nie wymienił jednak żadnych imion przy powitaniu.

Mimo zmęczenia Samantha z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Widziała Tiny zaledwie przez kilka sekund, zanim Marc zatrasnął drzwi, ale to wystarczyło. Widok tej damy głęboko zapadł jej w pamięć. Nigdy dotąd nie spotkała osoby, która nosiłaby imię równie nie pasujące do wyglądu.

Marc objął Samanthę ramieniem.

- Daleko jedziesz? - zwrócił się do Tyny.

- Zostawiam ładunek w Tallahassee, ale jadę aż do St. Pete. - Kobieta wrzuciła bieg i poprawiła lusterko. Zastanawiała się przez moment. - Nie widziałam żadnego opuszczonego samochodu.

Samantha zadrżała.

- Zepchnęliśmy go w krzaki - wyjaśnił spokojnie Marc. - Przewrotny zawsze ubezpieczony.

- Racja - Tyna spojrzała na nich i uśmiechnęła się. - Mielicie sporo szczęścia. Najbliższe miasteczko znajduje się jakieś piętnaście kilometrów stąd.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni za podwiezienie - powiedział Marc.

- Czy są tam jakieś motele? - zapytała Samantha.

- Jest jeden. Nazywa się „Gwiazdna Gospoda”. Wygląda niezbyt zachęcająco, ale jest tam czysto.

- Świetnie - szybko wtrącił Marc. - Jutro zobaczymy, co z samochodem.

Kiedy powiedział „jutro”, Samantha poczuła smutek. De jest jeszcze tych dni przed nimi? Przez cały czas starała się unikać myśli o swoim niedawnym odkryciu. O tym, że kocha Marka. Nie chciała zastanawiać się nad tym, bo i tak nie mogła niczego zmienić. Po pierwsze, 'wciąż była Angelique. Po drugie, nawet gdyby Marc odwzajemniał jej uczucia, szanse na długie i szczęśliwe życie we dwoje byłyby znikome. W każdej chwili groziło im niebezpieczeństwo. Misternie ułożony plan mógł rozsypać się w gruzy na skutek drobnego potknięcia lub nieprzewidzianego zbiegu okoliczności. Samantha wzdrygnęła się na myśl o czyhających zagrożeniach. Nie, nie było co liczyć na jakiegokolwiek jutro. Mielili tylko chwilę obecną.

Po kwadransie jazdy z mroku wyłonił się jaskrawy neon. Wysiedli, a ciężarówka z rykiem potoczyła się dalej. Samantha z niechęcią popatrzyła na obskurny, podłużny budynek. Pocieszała się tylko, że opinia Tyny o czystości tego miejsca być może będzie miała pokrycie w rzeczywistości.

- Chodź. - Marc postukał ją w plecy. - Musimy się zameldować.
- Marc! - Samantha zatrzymała się tuż przed wejściem. - Czy wystarczy ci pieniędzy, żeby zapłacić za tę noc?

Marc spojrział na nią z niepokojem.

- Nie możemy skorzystać z karty kredytowej. - Zamyślił się. - To naprowadziłoby na nasz ślad. Jak myślisz, ile kosztuje noc w takim motelu?

Samantha zatrzymała się. Zazwyczaj w takich motelach tablice z cennikiem wystawione są na zewnątrz budynku.

- Ile masz? - zapytała.

Marc sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilka banknotów. Przeliczył je bardzo uważnie.

- Tylko dwadzieścia cztery dolary - mruknął. Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Opłata za pojedynczy pokój wynosiła dwadzieścia dolarów.

- Idź lepiej sam - powiedziała. - Ja tu zaczekam. Nawet w tym słabym oświetleniu dostrzegła, że Marc jest wyraźnie zakłopotany. Pomyślała, że dotychczas pewnie nigdy nie brakowało mu pieniędzy.

Po kilku minutach Marc wrócił z uśmiechem na twarzy i papierową torbą w ręce.

- Co to jest? - spytała, gdy ruszyli na poszukiwanie pokoju. Wszystkie drzwi miały ten sam brudnoczerwony kolor.

- To jest nasza kolacja, moja droga. Prezent od zarządu motelu.

Zaciekawiona otworzyła torbę. Ujrzała kilka opakowanych w serwetki paczków i dwa plastikowe kubki.

- Staruszka w recepcji zaproponowała mi, żebym się poczęstował. - Zatrzymali się przed drzwiami, oznaczonymi numerem 113. Marc przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi na oścież.

W nagrzanym pomieszczeniu pachniało pleśnią. Samaritha weszła do środka i zapaliła lampę. Łagodne światło rzuciło niewielki krąg, litościwie pozostawiając w cieniu zniszczone meble, lecz dziewczyna dostrzegła wypaczoną szafę, rozdarte pośrodku czarne, winylowe krzesło i łóżko nakryte czerwono-czarnym kocem.

W oknie wisiały zasłony w tym samym kolorze. Tuż pod nim

znajdowało się urządzenie klimatyzacyjne.

Marc nacisnął przycisk i chłodne powietrze wypełniło pokój.

- Cóż, nie jest to na pewno apartament w luksusowym hotelu, ale wolę to od komarów i piachu - powiedział.

Samantha pomyślała, że wstrzyma się z oceną, dopóki nie obejrzy wszystkiego. Położyła plecak na szafce i podeszła do drzwi, które, jak sądziła, prowadziły do łazienki. Pomacała ścianę w poszukiwaniu kontaktu i ostre światło wypełniło niewielkie pomieszczenie. Kiedy wzrok oswoił się na tyle, że mogła coś dostrzec, odetchnęła z ulgą. Hotel wyglądał obskurnie, ale łazienka aż lśniła od czystości.

Natychmiast podeszła do wanny i odkręciła kurki - szybko zrzuciła ubranie i wskoczyła do środka. Mrucząc z zadowolenia przymknęła oczy i zanurzyła się w ciepłej wodzie.

Marc usłyszał szum wody i przestał kontrolować swoją twarz. Zniknął wyraz udawanego spokoju i zastąpił go pełen dezaprobaty grymas. Ten obskurny hotel był przysłowiowym gwoździem do trumny. Nie przejmowałby się tym wcale, gdyby trafił tu sam, ale Samantha zasługiwała na coś lepszego. Na domiar złego pozostały mu tylko cztery dolary... cztery nędzne dolary. Jean Claude miał mu dostarczyć pieniądze, ale umówione miejsce znajdowało się stąd około stu mil na północ.

Powoli zniechęcenie ustępowało i poczuł, jak narasta w nim gniew. Od początku nie był przekonany do tego planu. Zniszczenie „Jenny” odebrał jak morderczy cios zadany przyjacielowi. Czuł się wyczerpany, chociaż daleko jeszcze było do końca tego planu.

Marc podszedł do okna i rozsunął zasłony. Gdzieś w ciemnościach trzasnęły drzwi od samochodu. Wzburzone głosy wibrowały coraz głośniejsz, po czym nagle zamilkły. Tylko plusk wody i brzęczenie urządzenia klimatyzacyjnego zakłócały panującą ciszę.

Nazwisko Antonio Manchettiego wciąż krążyło w jego głowie. A więc to właśnie ten sukinsyn był za wszystko odpowiedzialny. Zapłaci za to, tylko jak go odnaleźć? Nie przestawał myśleć o tym od ostatniej rozmowy z ojcem. Nie mógł przecież biernie obserwować rozwoju

wydarzeń i liczyć wyłącznie na Jean Claude'a. Musi jechać do Nowego Orleanu. Tylko co miał zrobić z Samantha? Jeśli opowie jej o swoich zamiarach, dziewczyna będzie nalegała, aby z nim jechać, a to na pewno zwolni tempo poszukiwań. Zgodnie z instrukcją, po odebraniu pieniędzy zatrzymają się w domu, który załatwił Jean Claude. Dopiero wtedy pojawi się w gazetach wiadomość o ich wypadku. Manchetti odwoła poszukiwania, a Marc udając, że postępuje według zaleceń, będzie mógł przystąpić do realizacji własnego planu. Jednak Samantha nie może się o niczym dowiedzieć. W ciągu ostatnich dni zorientował się, że nie potrafi jej odmawiać. W chwili słabości mógłby wyrazić zgodę na każdą jej propozycję.

W jego myśli wdarł się nagle głośny plusk wody. Marc zaciągnął zastony, odwrócił się i popatrzył na drzwi od łazienki. Natychmiast stanęła mu przed oczyma wizja nagiej Samantha. Teraz tylko te cienkie drzwi dzieliły go od kobiety, której tak bardzo pragnął.

Podszedł w stronę krzesła i spojrzał na nie z niesmakiem. Znowu próbował się oszukiwać. Dzieliło ich znacznie więcej niż te drzwi. Także przeświadczenie Samantha, że ciągle zależy mu na żonie. Jak miał ją przekonać, że będzie wolny, kiedy tylko uprawomocni się rozwód i że nie ma mowy o żadnych powrotach? Tylko czy rzeczywiście będzie kiedykolwiek wolny?

13

To kłamstwo. - Angélique patrzyła na Patricka O'Connora. W pokoju gościnnym zapanowało na chwilę olbrzymie napięcie. - Tony nie zrobiłby czegoś takiego. Był przyjacielem ojca.

- Angélique, każde słowo pana O'Connora jest prawdziwe. - Spokojny głos Jean Claude'a brzmiał bardzo pewnie. Mężczyzna pochylił się i postawił filiżankę na stole. - Widziałem raporty, słyszałem taśmy z przesłuchań twojego ojca.

- Chyba masz mnie za idiotkę - spojrzała na niego z niesmakiem. - Gdybyś mówił prawdę, Tony już od dawna siedziałby w więzieniu.

- Bez oficjalnego świadectwa pani ojca wszystkie nasze dowody nie są nic warte.

Angélique zignorowała wyjaśnienie O'Connora. Wciąż wpatrywała się w Jean Claude'a. Jej oczy przypominały mu oczy rannego, oszalałego z bólu zwierzęcia. Nagle wyraz ten zniknął. Angélique wstała z krzesła i podeszła do stolika.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy. - Nalała sobie filiżankę kawy. - To nie ma ze mną nic wspólnego.

Jean Claude poczuł niepokój, gdy uśmiechnęła się do niego. Wyraz jej twarzy był dziwnie nieprzytomny, nie potrafił go rozszyfrować.

O'Connor odkaśliął głośno.

- Pani Dureaux, wiemy o pani związku z Manchettim - powiedział. - Wiemy także, że wraz z nim planowała pani zamordowanie swojego męża.

Wyraz twarzy Angélique nie zmienił się, jedynie nieznacznie rozdęła nozdrza. Wciąż się uśmiechała.

- To chyba najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. Poza tym Marc nadal żyje. - Roześmiała się głośno, na granicy hysterii. - Dlaczego, na miłość boską, miałabym robić coś takiego? Przecież się rozwodzimy, i to ja złożyłam pozew.

- Przestań, Angeliaue. - Jean Claude wstał i ruszył w jej kierunku. - Oni wiedzą.

Cofnęła się, a uśmiech zamarł jej na twarzy.

- Niby co mają wiedzieć? - wyszeptała.

- Powiedziałem im. Powiedziałem im wszystko.

Odwróciła się do okna. Jej plecy były nienaturalnie usztywnione, ręce zaciśnięte w pięści.

- Nie masz świadków - syknęła. - Nie masz dowodów.

- Niech pan jej powie, O'Connor. - Jean Claude stanął obok kominka. Jego wzrok spoczął na zdjęciu.

- Od tygodni śledzi panią nasz człowiek - zaczął agent. - Był świadkiem pani spotkań z Manchettim. Wasza ostatnia rozmowa na Jackson Square została nawet nagrana.

Przerwał. Angelique nie reagowała, wciąż wyglądała przez okno. O'Connor westchnął ciężko.

- Co do motywu - wiemy, że po śmierci męża otrzyma pani olbrzymie ubezpieczenie, jest też ten romans z Jean Claude'em... - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Angelique pochyliła głowę.

- Rzeczywiście powiedzieliście im o wszystkim, prawda, Jean Claude?

- Nie musiałem. I tak większość już wiedzieli - odparł.

- A ty to potwierdziłeś.

- Tak. Nie chciałem być częścią tego spisku.

- Nie, oczywiście, że nie - wyszeptała. Wyprostowała się i spojrzała na Edwarda. - Czy ty wierzysz w to, co mówią o Tonym? Że... że moi rodzice zostali zamordowani?

Skinął głową.

- Ja też słyszałem te taśmy i przeglądałem raporty - odparł;

Jean Claude patrzył z niepokojem na stryja. Obawiał się wcześniej, że taka konfrontacja będzie dla niego zbyt ciężka, jednak jak dotychczas Edward trzymał się dobrze. Gdy omawiali plan, Jean Claude zaprotestował przeciwko uczestnictwu stryja, lecz starszy pan nie chciał nawet o tym słyszeć. Musiał być pewien, że wszystko idzie tak, jak

należy, od tego przecież zależało życie Marka.

O'Connor nagle wstał i ruszył w kierunku Angelique.

- Angelique Dureaux, aresztuję panią za współudział w planowaniu morderstwa - zaczął. - Ma pani prawo...

- Na litość boską, O'Connor - Jean Claude stanął pomiędzy nimi. - Musi pan to robić właśnie teraz?

- Wie pan, że muszę - odparł agent. - Jako prawnik powinien pan zdawać sobie sprawę, jak ważne są szczegóły.

Jean Claude patrzył na niego w milczeniu. Po chwili odsunął się.

- Tak jak mówiłem... Ma pani prawo milczeć...

O'Connor wciąż mówił. Myśli Jean Claude'a odpłynęły gdzieś daleko. Czuł się tak, jak gdyby brzemień całego świata spoczęło na jego ramionach. Był pusty, całkiem pusty i... samotny.

- Co teraz będzie?

Pytanie Angelique wyrwało Jean Claude'a z zamyślenia.

- To zależy - odparł O'Connor. - Jestem upoważniony do zawarcia umowy z panią, ale być może wolałaby pani, żeby był tu adwokat.

- Jaką umowę?

- Jeżeli chce pani, żeby adwokat...

- Proszę przestać - przerwała. - O jakiej umowie pan mówi?

Napięcie zelzało, ale Jean Claude nie pozwolił, aby na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Połknęła przynętę, pomyślał, tak jak to przewidział O'Connor. Agent odetchnął głęboko.

- Pani współpraca z nami z pewnością zostanie wzięta pod uwagę - powiedział.

- Co miałabym zrobić?

- Pokazać się na procesie.

- Nie ma mowy - potrząsnęła głową. - Co go powstrzyma od zamordowania mnie? Nie uchroniliście przecież moich rodziców.

- Nie dowie się o tym aż do dnia, w którym pojawi się pani w sądzie. Wtedy będzie już za późno. Na razie mamy przeciwko niemu tylko spisek w celu zamordowania Marka, ale to i tak wystarczy, żeby wypadł z kursu na parę lat. Po procesie już na pewno nie ośmieli się nic zrobić.

Będzie wiedział, że w takim wypadku czekałoby na niego krzesło elektryczne.

- Nie może pan zagwarantować, że on się wcześniej nie dowie. -

Angelique była wyraźnie zdenerwowana.

- Nikt oprócz naszej czwórki nie będzie wiedział o tej umowie - odparł O'Connor.

- Edward? - spojrzała na teścia.

- Możesz wierzyć Patrickowi. On nie kłamie. Powiedz jej wszystko - zwrócił się starszy pan do przyjaciela.

Agent spojrzał pytająco na Jean Claude'a. Ten skinął głową.

- Niech pani tu usiądzie. To zajmie trochę czasu. - O'Connor wskazał jej krzesło. Gdy usiadła, zaczął mówić. Jean Claude przysłuchiwał się, jak zapoznaje ją z planem. Nakłonienie Angelique do współpracy było konieczne.

Jakiś czas temu O'Connor poruszył niebo i ziemię i w końcu odkrył, że po śmierci rodziców skierowano Angelique do stanowego szpitala psychiatrycznego. Wyglądało na to, że ostatnio ponownie popada w niebezpieczny stan. Wszyscy trzej uznali, że wymaga opieki lekarskiej. Ponieważ orzekanie tego przed sądem ciągnęłoby się w nieskończoność, jedynym rozsądnym wyjściem było jej dobrowolne zgłoszenie się do szpitala lub sanatorium.

Powodzenie ich planu zależało też od współpracy Marka. Jean Claude nie był pewien, czy kuzyn postępuje zgodnie z zaleceniami. Na tę rozmowę z Angelique czekali aż do dzisiaj rana, kiedy to nadeszła wiadomość o wypadku na jachcie.

Jean Claude przymknął oczy. Przypomniawszy sobie, jak Dora zareagowała na informację "w gazecie. Wpadła w histerię, ledwo udało się ją uspokoić. Wciąż jeszcze leżała w łóżku, w stanie kompletnego szoku. Jean Claude nie chciał jej na to narażać, ale O'Connor nalegał na zachowanie absolutnej tajemnicy. Twierdził, że im mniej osób wie, tym mniejsza szansa wpadki. Uznał także, że Dora w żaden sposób nie będzie rozpacziała na fałszywym pogrzebie, jeżeli powie się jej o wszystkim. Edward próbował oponować, ale w końcu niechętnie zgodził

się na warunki O'Connora.

- Proszę pozwolić, że to wyjaśnię...

Jean Claude usłyszał głos agenta i ponownie wrócił do rzeczywistości.

- Jestem tak zrozpaczona śmiercią Marka, że przeżywam załamanie nerwowe i zamykają mnie w szpitalu dla wariatów, tak?

- To nie jest szpital dla wariatów - sprecyzował O'Connor. Umieścimy panią w prywatnej klinice, jednej z tych, które specjalizują się w leczeniu nerwic.

- Kiedy?

- Natychmiast. - O'Connor wytrzymał jej spojrzenie. - Zgadza się pani?

Angelique nie odpowiedziała od razu. Jean Claude wstrzymał oddech, ale jego uwaga skupiona była na stryju. Mimo że Edward wydawał się rozluźniony, jego bratanek zauważył wyraźne oznaki stresu - worki pod oczyma, napięte mięśnie szczęki. Tak wiele - właściwie wszystko - zależało od Angelique, od jej współpracy. Jeżeli się nie zgodzi, nie otrzyma pomocy, której wyraźnie potrzebowała, a oni nie będą mieli nic na Manchettiego. Dopóki on był wolny, Marc i ta kobieta nazwiskiem Bradford pozostaną w ukryciu - żywi, ale martwi dla świata.

Angelique powoli pokręciła głową.

- Nigdy w to nie uwierzy. Wie, że zostawiłam Marka i co czuję do... - urwała i spojrzała na Edwarda. - Przepraszam, nie powinnam była tego mówić.

W twarzy Edwarda nie drgnął ani jeden mięsień. Angelique wzruszyła ramionami.

- Nie uwierzy - powtórzyła. - Domyśli się, że coś jest nie tak.

- Wobec tego musi go pani przekonać, że robi to pani wyłącznie po to, aby oddalić od siebie podejrzenia.

W końcu Angelique zgodziła się, ale niechętnie, bez przekonania. Jean Claude zamiast ulgi czuł jeszcze większe zdenerwowanie. Stał w oknie i patrzył, jak stryj i O'Connor odprowadzają Angelique do samochodu Edwarda. Teraz nie można było tracić ani chwili czasu. Wkrótce zjawią się tu reporterzy, potem trzeba będzie załatwić formalności pogrzebowe, a na końcu czekał ich sam pogrzeb. Ze

względu na Dorę najbardziej obawiał się tego ostatniego.

Piekły go oczy. Gdy Lincoln wyjechał na ulicę, Jean Claude zacisnął dłonie w pięści. Poczut ból w żołądku. Już nic nie miało być takie jak dawniej.

RRS

14

Samantha i Marc przeszli przez most, który oddzielał wysepkę od lądu. Dziewczyna z westchnieniem przywitała chłodny wiatr znad zatoki. Słońce zniknęło już za horyzontem, niemiłosierny upał zelżał nieco. Samochody nie miały prawa wjazdu na ten teren. Nie było tu dróg, jedynie wybrukowane ścieżki, po których można było jeździć tylko rowerem.

W pewnym momencie droga rozgałęziała się. Marc zawahał się, po czym ruszył w prawą stronę.

- To całkiem beznadziejne. - Samantha nie mogła powstrzymać się od dokuczania mu. - Te wszystkie domki są takie same. W „Gwiazdnej Gospodzie” były przynajmniej czerwone drzwi i obsługa.

- Przestań - jęknął Marc. - Wciąż boli mnie pewna część ciała od podskakiwania na platformie tego pikapu.

- Pozostali pasażerowie nie mieli nic przeciwko temu.

- Uważaj, Sam - przestał jej ostrzegawcze spojrzenie.

Samantha wybuchnęła śmiechem. Tego ranka starsza pani zarządzająca „Gwiazdną Gospodą” zaproponowała im podwiezienie do pobliskiego miasteczka. Powiedziała, że tam mieszka jej lekarz i że musi jechać z dziećmi na wizytę. Lekarz okazał się być weterynarzem, a dzieci czterema dorodnymi basetami. Dwa z nich wymiotowały w samochodzie, więc Marc i Sam jechali na platformie z pozostałymi dwoma.

Potem jeszcze dwukrotnie autostopem. Minęło południe, gdy wreszcie dotarli do umówionego motelu. Marc przedstawił się jako Marc Brown i recepcjonista wręczył mu pokazną kopertę. Podczas lunchu Marc wyjaśnił Samancie, że zatrzymają się w jednym z domków jednorodzinnych nieopodal, podczas gdy przyjaciel ojca nadal będzie prowadził śledztwo.

Minęli pierwszą grupę domków i gdy zbliżali się do drugiej, Samantha

czuła, jak narasta w niej niepokój. Za każdym razem, gdy pytała Marka o przebieg śledztwa, wyraźnie wykręcał się od odpowiedzi i w pośpiechu zmieniał temat. Bez uzgodnienia z nią odwołał rezerwację w motelu. Bardzo śpieszył się, żeby dotrzeć do domku - za bardzo. Miała wrażenie, że stara się coś przed nią ukryć. Ale co?

Druga grupa składała się z pięciu jednopiętrowych domków, które stały obok siebie frontem do podwórka z basenem. Każdy z nich posiadał mały pomost wychodzący na prywatną plażę.

- Miło tu - powiedziała Samantha, gdy Marc zatrzymał się przy drugim z kolei domku.

- Jeden z klientów Jean Claude'a mieszka tu obok

- Marc zapukał do drzwi.

- Jeden z klientów?

- Mój kuzyn jest prawnikiem. Ma dostęp do tej własności. - Uniósł rękę, aby ponownie zastukać, lecz w tym momencie drzwi otworzyły się. Ujrzeni kobietę w średnim wieku, ubraną w strój pokojówki.

- Dzień dobry pani. Nazywam się Marc Brown. - Spojrzał na Samanthę. - Żona i ja jesteśmy gośćmi Jean Claude'a Dureaux. Czyba zawiadomił o naszym przybyciu?

- Oczywiście, pan i pani Brown. Proszę chwileczkę poczekać. - Odwróciła się i zniknęła.

- A co, jeśli nagle pojawi się klient twojego kuzyna?

- zapytała szeptem Samantha.

- Nie pojawi się.

Zastanowiło ją, skąd Marc może mieć tę pewność, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, kobieta wróciła. W ręce trzymała cienką, brązową kopertę.

- Dziękuję. - Marc wziął kopertę i wsadził ją pod pachę.

Kobieta skinęła głową i zamknęła drzwi. Marc ruszył w stronę sąsiedniego domku, Samantha dreptała tuż za nim.

- Skąd możesz mieć pewność, że ten facet się tu nie pojawi? - zapytała.

Marc zatrzymał się i włożył rękę do koperty.

- Jest na safari w Afryce, nie wróci przed upływem dwóch miesięcy. - Wyciągnął klucz i otworzył drzwi. - Poza tym to tylko jeden z jego domów.

- O, rany! - Samantha weszła za Markiem do środka. Stała przed obrazem, który wisiał nad zawaloną drobiazgami sofą. Jej oczy rozszerzyły się, gdy dostrzegła nazwisko artysty. Większość jego dzieł wisiała w muzeach. Odkaszlnęła, gdyż zaschło jej w gardle z wrażenia. - Nie sądzę, żeby spędzenie tu kilku dni sprawiło mi specjalną przykrość.

Marc nie odpowiedział. Gdy się odwróciła, ujrzała, że patrzy na nią z zamysłonym wyrazem twarzy.

- Marc? Czy coś się stało?

Kiedy podeszła do niego, niespodziewanie wziął ją w ramiona i przytulił z całej siły, zupełnie, jak gdyby chciał nauczyć się jej ciała na pamięć.

- Sam..., och, Sam... - wyszeptał.

Pocałował ją z jakąś zapamiętałą rozpaczą. Poruszona Samantha próbowała się odsunąć. Nagle poczuła w ustach jego język. Zmysłowość tego pocałunku wywołała w niej natychmiastowy efekt. Zatopiła palce we włosach Marka. Ręce mężczyzny znalazły się pod jej koszulą. Głaskał plecy Samantha, po czym odsunął się nieco i pieścił brzuch. Zatrzymał się tuż pod jej piersiami. Wahał się długo, tak długo, że zadrżała z niecierpliwości. Przyciągnęła go do siebie. Jęknęła, gdy poczuła, że jego kciuki delikatnie głaszczą twardniejące sutki.

Było jej gorąco, pragnęła więcej. Wiedziała jednak, że jeśli teraz się podda, będzie tak samo jak wtedy.

Będzie zawsze tą drugą, kimś, kogo można się pozbyć. Próbowала o tym nie myśleć, ale było jeszcze coś, coś daleko ważniejszego. Kochała Marka bardziej niż kiedyś Clarka, co znaczyło, że z łatwością mógł złamać jej serce. Nie mogła ryzykować. Odwróciła głowę.

- Nie... proszę, nie - szepnęła i spróbowała go odepchnąć. - Ja... ja nie mogę.

Jeszcze przez chwilę trzymał ją w ramionach, czuła bicie jego serca. Westchnął głęboko i wypuścił ją z objęć. Bez słowa wyszedł na zewnątrz.

Samantha gwałtownie usiadła na łóżku. Zdezorientowana wyteżęła wzrok w ciemnościach. Gdzie była? Śniło jej się, że na „Jenny”. Ale przecież „Jenny” już nie istniała... Skąd więc ten dziwny sen? Skąd poczucie straty? Kiedy rozbudziła się na dobre i przypomniała sobie, co się stało, uznała, że to nadwerężone nerwy. Przez kilka minut siedziała bez ruchu i zastanawiała się, skąd to uczucie, że coś nie jest w porządku. Było bardzo cicho. Zbyt cicho.

Wyciągnęła rękę w kierunku lampy. Oślepią jej blaskiem, zmrużyła oczy. Zegarek wskazywał piątą rano. Energicznie odrzuciła kołdrę, założyła szlafrok i ruszyła w stronę kuchni. Gdy mijała sypialnię Marka, zatrzymała się w otwartych drzwiach. Światło księżyca padało na łóżko - na puste łóżko. Serce Samantha biło jak oszalałe.

- Marc! -zawołała.

Odpowiedziała jej cisza. Zawołała ponownie, znów bez skutku. Opanował ją dziwny pośpiech, pośpiech, którego nie mogła opanować. Biegała po domu i zapalała wszystkie światła. Kiedy okazało się, że dom jest pusty, wróciła do swojej sypialni.

Może był na plaży. Tak, z pewnością. Był na plaży. Kiedy sięgała po szorty, zobaczyła, że na szafce leży coś białego. Powoli wzięła w ręce grubą kopertę, na której widniało jej imię. Zabawne, charakter pisma Marka nie był jej znany, jednak wiedziała, że to on pisał. Gdy odkryła zawartość koperty, poczuła ucisk w piersiach. Plik banknotów pięćdziesięcio i studolarowych. I karteczka.

Samantha położyła pieniądze na szafce. Drżała jej ręka, gdy rozkładała kartkę papieru. Przez chwilę słowa tańczyły jej przed oczyma, nie była w stanie ich odczytać. Odszedł - nawet nie powiedział do widzenia. A może powiedział? Może pocałunek znaczył właśnie to?

Napisał, że zamierza przeprowadzić dochodzenie na własną rękę, że nie dowierza Jean Claude'owi... Zmięta kartkę w kulkę i rzuciła ją na środek pokoju. Drugą ręką zmiotła pieniądze z szafki. Rozsypały się po dywanie.

Jak po tym wszystkim, co się wydarzyło, mógł zrobić coś takiego? Po prostu sobie pójść? Zatrzęsa się z wściekłości i chwyciła szorty. Jeżeli

sądził, że tak łatwo pozbędzie się jej, to grubo się mylił. W pośpiechu zaczęła szukać koszuli. Jeśli będzie musiała, pojedzie za nim aż do Nowego Orleanu. Oboje mieli tyle samo do stracenia.

Kiedy już się ubrała, zgarnęła kilka studolarowych banknotów i wsadziła je do kieszeni. Potrzebowała szybkiego środka lokomocji - taksówki. Zawahała się, po czym pozbięła resztę pieniędzy. Na pewno się przydadzą. Rozejrzała się w poszukiwaniu telefonu i poszła do kuchni.

Marc prawdopodobnie będzie podróżował autostradą biegnącą wzdłuż wybrzeża, nie zaryzykuje międzystanowej. Po kolei otwierała szuflady w kuchni, aż w końcu znalazła książkę telefoniczną. Zaczęła szukać przedsiębiorstw taksówkarskich, lecz nagle zmieniła zdanie. Co u diabła, pomyślała i otworzyła książkę na literze L. Równie dobrze może jechać jednym pojazdem przez całą drogę do Nowego Orleanu. Znalazła jedyne w okolicy przedsiębiorstwo zajmujące się wynajmowaniem limuzyn i wykręciła numer. Po kilku sygnałach odebrał zaspany męski głos.

- Proszę pani, a wie pani, która jest godzina? - powiedział mężczyzna, gdy wyjaśniła mu, o co chodzi.

- Dostanie pan dodatkowe sto dolarów, jeżeli zjawi się pan za piętnaście minut przy moście. - Samantha odwiesiła słuchawkę i poklepała się po kieszeni.

Marc pomachał energicznie ręką, ale samochód przejechał z głośnym piskiem opon. Dotychczas tylko raz udało mu się złapać okazję i nie zjechał specjalnie daleko. Poprawił plecak i ponownie ruszył przed siebie. Szosa była prawie zupełnie pusta. Jeszcze za wcześnie, pomyślał, ruch zacznie się po wschodzie słońca.

Ciemną, ponurą autostradę oświetlał tylko księżyc i nieliczne gwiazdy. Z każdym krokiem Marc czuł się coraz podłej. Dotychczas sądził, że pozostawienie Samantha jest najwłaściwszą decyzją. Teraz już nie był tego taki pewny.

Antonio Manchetti był niebezpiecznym człowiekiem. Jeżeli coś nie wyszło, z pewnością wiedział już, że żyją. Samantha została sama, nie

miął jej kto bronić.

Przed świtem przejechały tylko dwa samochody. Jeden nawet nie zwolnił, a drągi Marc przegapił, gdyż zszedł na pobocze, aby napić się wody. Z każdą chwilą coraz bardziej niepokoił się o Samanthę. Nie opodal szosy stało kilka budynków. Marc ujrzał neon dużego magazynu i przyśpieszył kroku. W tego rodzaju miejscach zazwyczaj były telefony.

Gdy dochodził do magazynu, na parkingu zauważył trzy samochody. Długa, czarna limuzyna zupełnie nie pasowała do otoczenia - zużytego mustanga i ciężarówki. Jeżeli jechała na wschód, może mógłby wrócić do Samanthy.

Uśmiechnął się i wszedł do środka budynku. Chłodne powietrze przyjemnie owiało jego twarz. Pachniało świeżo zaparzoną kawą. Nagle Marc zmartwił, jego uśmiech zniknął. Tuż obok Samantha opierała się o kontuar.

- Dlaczego tak długo? - zapytała.

Marc powoli położył plecak na podłodze. Wyraz twarzy Samanthy zmiotł resztki dobrego samopoczucia. Ten wyraz mógł oznaczać tylko jedno - poważne kłopoty.

- Kawa gotowa, proszę pani.

Marc zmrużył oczy, gdy Samantha przyjęła szklanekę gorącego napoju z rąk młodego mężczyzny ubranego w uniform szofera.

- Mówiła pani, że dwie łyżeczki cukru?

- Tak - uśmiechnęła się. - Dziękuję ci, Bill. Bill? Marc uniósł w górę jedną brew.

- Coś jeszcze, proszę pani?

- Nie - odrzekła. - Proszę poczekać w samochodzie. Zaraz przyjdziemy.

Samochód mógł oznaczać tylko jedno - limuzynę. Jak, u licha, zdołała go wyprzedzić? Widział przecież wszystkie przejeżdżające samochody... z wyjątkiem jednego. Marc odsunął się, żeby przepuścić Billa, po czym spojrzał na Samanthę. Płaciła właśnie za kawę.

- Masz na coś ochotę? - zapytała. - Na kawę albo coś do jedzenia?

- Może kawę. - Podszedł do automatu.

- Proszę to dodać do rachunku - zwróciła się do kasjera. - I proszenie

zapomnieć o benzynie.

Marc nalał sobie kawy. Zastanawiał się, w jaki sposób wytłumaczy jej wszystko. Wyglądało na to, że będzie musiał zapłacić za to, co zrobił. Miał tylko nadzieję, że w limuzynie jest przegroda oddzielająca pasażerów od kierowcy.

- Gotowy?

Przerzucił plecak przez ramię i skinął głową.

- Dokąd jedziemy? - spytał, gdy już usadowił się obok niej na tylnym siedzeniu samochodu.

Nie odpowiedziała. Limuzyna wjechała na autostradę i pomknęła na zachód.

Kilometry mijały w zupełnej ciszy. Sytuacja przypominała Markowi pierwszy wspólny dzień na „Jenny”. Wtedy Samantha też była wściekła. Zerknął w jej kierunku, ale siedziała odwrócona do niego tyłem i wyglądała przez okno. Ciche siąpięcie zaniepokoiło Marka.

Ostrożnie dotknął ramienia dziewczyny.

- Sam...

Odepchnęła rękę Marka i odwróciła się twarzą do niego.

- Nie dotykaj mnie, ty... ty... nie dotykaj mnie. - Mimo że po jej policzkach spływały ogromne łzy, oczy miały zimny, odpychający wyraz.

- Czy pozwolisz mi to wyjaśnić? Próbowałem tylko ochronić cię. Myślałem, że będzie najlepiej, jeżeli...

- Nic mnie nie obchodzi, co myślałeś. Nie musiałeś wymykać się potajemnie jak jakiś... jakiś... Właściwie to masz w tym sporą wprawę.

- To nie ma nic do rzeczy - Marc starał się mówić cicho i spokojnie.

- Owszem, ma. Pierwszego dnia na jachcie prosiłam cię, żebyś odstawił mnie na brzeg. Odmówiłeś. Miałeś wtedy okazję pozbyć się mnie, zaprzepaściłeś ją. A teraz, chcesz czy nie, jesteś skazany na moją obecność.

- Obiecujesz?

- Jeżeli pomyślisz... - przerwała nagle. - Co powiedziałeś?

- Obiecujesz, że jestem skazany na twoją obecność?

- Ja... ja...

Marc uśmiechnął się.

- Dla porządku powiem, że wszedłem tam, aby do ciebie zadzwonić. Uznałem, że zostawienie ciebie nie było jednak najlepszym pomysłem. Nie patrz na mnie w ten sposób. Przysięgam, że to prawda.

- To dlaczego od razu tego nie powiedziałaś? - parsknęła.

- A uwierzyłabyś mi?

- Skąd ta pewność, że teraz ci wierzę?

- A jeżeli podpiszę cyrograf własną krwią, to uwierzysz? - roześmiał się.

- Nie ma mowy - odparła, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Kaszlnięcie Billa przyciągnęło ich uwagę.

- Przepraszam bardzo - powiedział szofer z wahaniem w głosie.

- Co się stało, Bill? - zapytała Samantha.

Bill przez cały czas patrzył przed siebie, ale w lusterku wyraźnie odbijała się jego rozbawiona twarz.

- Jeżeli już skończyliście tę, hm, dyskusję, to czy mogę o coś zapytać?

- Jasne, mów - mruknął Marc.

- Kiedy pani Brown wynajęła limuzynę, nie powiedziała właściwie, dokąd jedziemy.

Marc uniósł pytająco brew i spojrzał na Samanthę. Gdy skinęła głową, uśmiechnął się.

- Do domu, Bill - powiedział. - Do Nowego Orleanu.

Samantha już kilka razy była w Nowym Orleanie. Najbardziej utkwiła jej w pamięci wizyta z lat dziecięcych, gdy razem z rodzicami przybyła tu w Tłusty Czwartek. Przypomniała sobie kolorowe tratwy, jaskrawe kostiumy i to, jak siedziała na ramieniu ojca, cała w szklanych paciorkach i błyskotkach.

Tym razem nie będzie Tłustego Czwartku ani spontanicznej radości. Ta wizyta różniła się od innych. Była niebezpieczna i utrzymywana w tajemnicy. Samantha wzdrygnęła się i spojrzała na Marka. Tłumaczył właśnie Billowi, jak ma jechać. Czy jego obecność tutaj zmieni cokolwiek? Marc był przekonany, że tak. A może podejrzenia dotyczące kuzyna zaćmiły jego obiektywne spojrzenie na sprawę? Przecież jeżeli

ktoś go rozpozna, cały plan legnie w gruzach.

Marc odchylił się do tyłu i objął ją ramieniem.

- Zaczynasz mieć wątpliwości? - zapytał.

- Nie. - Bezwiednie przysunęła się bliżej. Przy nim czuła się bezpieczniej. - No, może kilka. Nie bardzo rozumiem, co chcesz tu osiągnąć. Czy możesz zrobić coś, czego dotychczas nie zrobiono?

Umilkła na chwilę. Broda Marka urosła nieco i była odrobinę potargana. Bardzo chciała rozczesać ją palcami, ale zamiast tego zacisnęła dłoń w pięść.

- A jeżeli ktoś cię rozpozna? - zapytała.

- Nie jestem pewien, czy coś zdziałam, ale przynajmniej sprawdzę, jak się mają sprawy z Jean Claude'em. Jego nagła troska o mnie działa mi na nerwy, dotychczas nigdy nie był w stosunku do mnie bezinteresowny. A co do rozpoznania... - przerwał i pogłaskał się po brodzie. - To powinno pomóc. Nigdy dotąd nie miałem zarostu.

Mimo że jego argumenty brzmiały przekonująco, Samantha nie mogła pozbyć się wątpliwości.

Wkrótce limuzyna zjechała z autostrady. Marc prowadził teraz Billa wzdłuż wąskich uliczek Nowego Orleanu.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Samantha.

- Mój przyjaciel, jeszcze z dzieciństwa, mieszka tu niedaleko.

Zamieszkamy razem z nim.

- Czy to nie będzie zbyt ryzykowne? - Spojrzała na Billa i zniżyła głos do szeptu. - A jeżeli twój przyjaciel niechcący zdradzi, że wciąż żyjemy? Jeżeli...

- Przestań się martwić. - Pochylił się nad nią. - Wierzę Rayowi.

Kilka minut później Marc kazał Billowi zatrzymać samochód.

- Dalej pójdziemy piechotą - wyjaśnił.

Gdy Bill otworzył drzwi, Samantha wysiadła i rozejrzała się po opustoszałej ulicy. W powietrzu wisiał zapach stęchlizny, niezbyt natrętny, ale nieprzyjemny. Zmarszczyła nos i przyjrzała się dwu- i trzypiętrowym budynkom, wyraźnie nadszarpniętym zębem czasu. Okalały z obu stron ulicę, przez co wydawała się jeszcze węższa.

Marc przez kilka minut dyskutował z Billem na temat zapłaty, po czym podszedł do Samantha.

- Musisz mi zapłacić - powiedział. - Ja mam tylko pięćdziesiąt dolarów, resztę zostawiłem tobie.

Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że Marc dał jej prawie wszystkie pieniądze. Oskarżała go o ucieczkę, o oszukanie jej, ale teraz ten gest wzruszył ją. Naprawdę interesowało go, co się z nią dzieje. Sięgnęła do kieszeni po pieniądze, po czym wręczyła je Markowi. Odliczył wynagrodzenie Billa i dołożył dodatkowe sto dolarów.

- Najlepiej będzie, jeżeli tu przenocujesz, a jutro zwiedzisz miasto. - Potrząsnął ręką Billa. - Dziękuję za wszystko.

Samantha również pożegnała szofera i chwilę później limuzyna zniknęła za zakrętem.

- Gotowa? - Marc podniósł plecak i wziął ją za rękę.

- Jak daleko stąd mieszka twój przyjaciel? - zapytała, gdy przeszli na drugą stronę ulicy.

- Tuż obok.

Wkrótce Marc zatrzymał się przed dębowymi drzwiami i nacisnął dzwonek.

- A jeśli nie ma go w domu?

- Powinien być - Marc zerknął na zegarek. - Wyszedł z pracy ponad godzinę temu.

- Kto tam? - odezwał się nagle tubalny głos.

- Ray, to Marc. Otwórz.

- Do diabła, jeśli to jakiś głupi dowcip... - drzwi otworzyły się gwałtownie.

Przyjaciel Marka był wysokim blondynem, zbudowanym niczym atleta. Jego rozmiary, a także spojrzenie społe sprawiły, że Samantha instynktownie przysunęła się do Marka.

- O Boże! To ty! - Ray złapał Marka za ramiona i potrząsnął nim mocno. - Myślałem... Wiesz, że podobno nie żyjesz?

- Jak widzisz, to nieprawda. - Marc uśmiechnął się. - Możemy wejść do środka?

- Pewnie, u diabła. Musisz mi to wszystko wytłumaczyć. - W tym momencie Ray zauważył Samanthę. - Pani musi być tą Bradford, tą...

- Ma na imię Sam. - Marc wszedł do środka. - Sam, poznaj Raya Fieldinga, najlepszego przyjaciela, jaki może trafić się człowiekowi.

Samantha uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Uścisk Raya był niespodziewanie delikatny jak na człowieka tych rozmiarów.

- Chyba będę musiał uważać na to, co wygaduję, skoro jest tu dama. - Ray zaprowadził ich w głąb mieszkania. - Wybaczcie bałagan, nie spodziewałem się gości.

Bałagan spowodowany był remontem pokoju gościnnego. Dwie ściany były już odmalowane, a dwie pokryte resztkami pożółkłej tapety. Obok siebie stały leżanka, której najlepszy czas już dawno przeminął, oraz owinięta plastikowym pokrowcem sofa.

- O co chodziło z tym wysadzeniem w powietrze? Stary, jutro jest twój pogrzeb. - Ray zmrużył oczy. - To ma coś wspólnego z tą cholerną sprawą gubernatora prawda?

- Jeżeli dasz nam kawy, wszystko ci wyjaśnię - powiedział Marc.

- Marc - Samantha dotknęła jego ramienia. - Czy to będzie bardzo niegrzeczne, jeżeli się położę? Wiem, że jest jeszcze wcześnie, ale czuję się bardzo zmęczona.

Marc zerknął na Raya.

- Ray, musimy się gdzieś zatrzymać na jakiś czas. Masz dwa wolne łóżka?

- Dobrze wiesz, że tak - usłyszał w odpowiedzi. - Tędy, mała księżniczko.

Ray poprowadził Samanthę wzdłuż holu.

- Czuj się jak u siebie w domu i krzycz, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała - powiedział. - Tu jest twoja sypialnia.

- Dziękuję... dziękuję za wszystko - wykrztusiła. Skinął głową i odszedł.

Sypialnia wyglądała porządnie i czysto, choć nie było w niej zbyt wiele mebli. Samantha zaczęła się zastanawiać, jakiego rodzaju człowiekiem jest Ray. Przeraziła ją nieco jego olbrzymie rozmiary, ale miał w sobie pewną łagodność. Liczyła na to, że Marc się nie mylił, kiedy powiedział,

że Rayowi można ufać.

Nagle rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Marc wszedł i wręczył dziewczynie złożoną podkoszulkę.

- Pomyślałem, że może wolałabyś spać w tym -mruknął.

- Dziękuję- szepnęła, wzruszona jego troską. To, że mogłaby spać w czymś innym niż to, co miała na sobie, w ogóle nie przyszło jej do głowy.

- Bardzo proszę - odrzekł i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, nachylił się i pocałował ją. Nieoczekiwanie ogarnęła ją fala pożądania. Zadrżała pod wpływem dotknięcia jego ciepłych, wilgotnych warg. Przed oczyma stanęło jej wszystko, przez co dotychczas przeszli - sztorm, pijak, który ich tak przestraszył, eksplozja jachtu. Świadomość obecnej sytuacji, tego, że Marc mógł w każdej chwili zginąć, sprawiła, że ogarnęło ją pragnienie, pragnienie, którego nie była w stanie opanować. Chciała Marka bardziej niż kogokolwiek przedtem. Chciała czuć ciężar tego pięknego, umięśnionego ciała aż do momentu, kiedy przestaną istnieć jakiegokolwiek granice, kiedy ustanowią jedność.

- Marc wziął ją w ramiona, zupełnie jak gdyby czytał w jej myślach. Pomyślała, że tak bardzo do siebie pasują, że to nie może być przypadek. Objął ją mocno.

- Sam, pozwól mi tak cię trzymać - wyszeptał. - Potrzebuję teraz twojego ciepła, twojej siły.

Samantha nie zaprotestowała. To, czy on uwolni się od wpływu Angelique, przestało mieć znaczenie. Także to, czy odwzajemni miłość, którą go obdarzyła. Ta miłość, miłość którą próbowała stłumić, była na tyle silna, aby wytrzymać niepewność. Teraz weźmie od Marka wszystko, co zechce on jej ofiarować. Otoczyła ramionami jego szyję, a ich wargi ponownie się spotkały. Marc wsunął ręce pod jej koszulę i dotknął palcami piersi. Gdy zaczął głaskać sutki, przeszył ją dreszcz rozkoszy. Nagle, jak gdyby za obopólną zgodą, Samantha rozluźniła uścisk i opuściła ręce. Pośpiesznie rozpięła guziki koszuli i pociągnęła jego głowę w dół. Teraz pieścił jej piersi ustami. Osłabła z pożądania, jęknęła cicho. Marc przytulił ją mocno.

- Tak chciałbym być z tobą, w tobie. - Jego głos był szorstki,

brakowało mu tchu. Zaklął cicho. - Przepraszam. Nie powinienem był pozwolić, żeby sprawy zaszły tak daleko. Teraz nie czas na to. Ray czeka na mnie w kuchni.

Samantha przygryzła wargę. Czowała się zakłopotana, jej twarz pokryła się ciemnym rumieńcem. Marc miał rację, zupełnie zapomniała o jego przyjacielu. Choć jej ciało błagało o pieszczotę, zdawała sobie sprawę, że Ray mógł w każdej chwili tu wejść.

Marc cofnął się i położył palec pomiędzy jej piersiami.

- Diabeł z ciebie, Samantho Bradford - powiedział.

Gdy wyszedł z pokoju, przez kilka minut nie była w stanie się ruszyć. Wciąż czuła na ciele jego pocałunki. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będą mieli na to czas.

RRS

15

Marc spojrzął na nachmurzonego Raya. Miał nadzieję, że po wszystkich wyjaśnieniach przyjaciel przynajmniej będzie mu współczuł. Ale Ray nie współczuł. Uważał, że Marc zachował się jak głupiec i użył wszystkich argumentów, żeby przekonać go do powrotu na Florydę. W pewnej chwili Marc zaczął obawiać się, że ich podniesione głosy mogły obudzić Samanthę. Poszedł sprawdzić, co się z nią dzieje, spała jednak spokojnie. Kiedy wrócił do kuchni, Ray zaczął od początku.

- Nie podoba mi się to wszystko, stary - powiedział. - Igrasz z ogniem. Mówimy o grubych rybach, nie o słabowitych politykach, z którymi dotychczas miałeś do czynienia.

- Ray, oni myślą, że jestem martwy. Przecież jutro jest mój pogrzeb!

- Nadal to mi się nie podoba - upierał się Ray. - Niech się tym zajmą gliny. Wracaj na Florydę.

Marc pokręcił przecząco głową.

- Nie mogę tego zrobić...

- Owszem, możesz - przerwał Ray. Mówił coraz głośniej. - A co z twoją przyjaciółką? Nie interesuje cię, co z nią się stanie? Przecież jeżeli te sukinsyny znajdą dziewczynę, nie będzie z niej co zbierać. O tym nie pomyślałeś?

- Nie rozumiesz...

- Świetnie rozumiem. Rozumiem, że jesteś upartym durniem.

Zapadła pełna napięcia cisza. Obaj mężczyźni spoglądali na siebie, ale żaden z nich nie zamierzał ustąpić. W końcu Ray pierwszy przerwał nieznośne milczenie.

- Do diabła! - Wstał i sprzątnął kubki ze stołu. - Rób, co ci się podoba. Moja zgoda i tak nie jest ci potrzebna.

Marc nabrał powietrza w płuca i wypuścił je powoli. Czuł, że napięcie częściowo ustępuje.

- Czy możemy tu zostać? - zapytał.

- A jak myślisz? - Ray podszedł do stołu i postawił na nim kubek napełniony świeżą kawą.

- Myślę, że jesteś wyszczekanym sukinsynem z sercem wielkim jak góra.

- Zawsze miałeś zręczny język, Dureaux - Ray roześmiał się z całego serca.

- Ale za to zdążyłem zapomnieć, jak bardzo lubisz zabawiać się w adwokata diabła.

Przez kilka następnych minut Ray milczał i wpatrywał się w kubek. W końcu odkaszlnął i spojrzał na Marka.

- Powiedzieliście swojej przyjaciółce o Angelique? - spytał.

Tym razem to Marc spuścił oczy.

- Tak. Sam myśli, że ciągle zależy mi na żonie i że chciałbym, aby wróciła. - Mówił prawie szeptem. - Co mnie przeraża, to fakt, że mógłbym utracić Sam.

Po raz pierwszy odkąd zaczęli dyskutować nad sytuacją, wyraz twarzy Raya złagodniał.

- Powiedzieliście Sam, że ją kochasz?

- Nie wiem, czy można nazwać to miłością. Wiem tylko, że nie chcę jej utracić. Przy niej czuję, że życie ma sens, jest czymś więcej niż tylko marną egzystencją.

- Do diabła, stary - mruknął Ray. - Jeżeli to nie jest miłość, to ja już nie wiem, co nią jest.

- Możliwe, że masz rację - zgodził się Marc. - Ale nie mogę niczego jej wyznać, dopóki nie zrobię tego, po co tu przyjechałem. Dopóki wszystko się nie wyjaśni.

Ray pochylił się nad stosem gazet, który leżał tuż obok stołu i wziął jedną z samego wierzchu. Oddał z niej stronę i wręczył ją Markowi.

- Mamy chyba sporo roboty - westchnął. - Zerknij na to.

Oczy Marka rozszerzyły się ze zdziwienia, gdy ujrzał czarno-białe zdjęcie Angelique. Tuż obok pokazywał artykuł opisywał historię wpływowej rodziny Dureaux. Marc skoncentrował się na ostatnim

paragrafie.

- Coś tu nie gra - powiedział, gdy skończył czytać. Napisano, że pani Dureaux nie jest w stanie wziąć udziału w uroczystościach pogrzebowych. Na wiadomość o śmierci męża Angelique miała przeżyć załamanie nerwowe. Umieszczono ją w sanatorium Oakview w LeFay w Luizjanie. Marc popatrzył na Raya. - To nie może być prawda. Jakoś nie wyobrażam sobie mojej drogiej żony szalejącej z żalu po mnie.

- Ja też myślałem, że to dziwne, ale kto wie? Może to zaplanowali... wiesz, żeby wszystko wyglądało bardziej realnie.

- Może. - Marc utkwił wzrok w jakimś punkcie nad głową Raya. - Ale dlaczego Oakview? W mieście jest mnóstwo dobrych klinik. Chyba, że Jean Claude od początku kłamał.

- Dlaczego tak uważasz?

- Mój kuzyn to ambitny facet. Już widzi się jako przyszły gubernator. Nie zawaha się przed użyciem żadnych środków, żeby tylko osiągnąć swój cel.

- Nie bardzo rozumiem. - Ray potrząsnął głową. - Co ma do tego zamknięcie Angelique w szpitalu?

- Nie jestem pewien. - Marc wyprostował się. - Gubernator nie żyje. Szanse Landry'ego zaprzepaści prawdopodobnie opinia publiczna. Jean Claude ma doskonałą okazję, żeby wygrać wybory. Może to właśnie on odpowiada za morderstwo? Skoro jestem jedynym świadkiem, może się obawiać, że wpadnę na jego trop.

Ray wciąż miał zaskoczony wyraz twarzy.

- Nadal nic nie rozumiem. Co to ma wspólnego z Angelique? - wzruszył ramionami.

Na twarzy Marka pojawił się dziwny grymas.

- Od dłuższego czasu podejrzewam, że moja żona ma romans - powiedział. - Jeżeli jest kochanką Jean Claude'a, to prawdopodobnie wiedziała za dużo. Czy istnieje lepszy sposób na uciszenie jej niż zamknięcie w zakładzie dla nerwowo chorych?

- Jezu, stary. Nie miałem pojęcia, że Angelique z kimś romansowała. Przepraszam.

- Skąd miałeś wiedzieć? - Mimo powagi sytuacji, zakłopotanie Raya wydało się Markowi niemal zabawne. - Ja sam nie mogę niczego udowodnić, nawet teraz.

- A Manchetti? Jaką rolę on odgrywa w tym wszystkim?

Marc poczuł się nagle całkowicie wyczerpany. Przymknął oczy.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem - westchnął. - Jestem piekielnie zmęczony, w ogóle nie mogę myśleć. Może jutro to wszystko nabierze sensu.

Ray wstał z krzesła.

- Kładę się do łóżka. - Pochylił się i ułożył rozrzucone gazety. - Wywalę to do śmieci. Nie ma sensu martwić Sam.

- Dziękuję, Ray. - Marc przeciągnął się powoli. - Naprawdę ci dziękuję.

Ray ruszył w stronę drzwi kuchennych.

- Od czego są przyjaciele? - rzucił przez ramię. Następnego ranka Marc powoli zwłóknął się z łóżka.

Nocą wciąż nurtowały go pytania dotyczące Angelique i Jean Claude'a, pytania, na które nadal nie znał odpowiedzi. Sen nie chciał nadejść przez dłuższy czas, a gdy w końcu Marc zasnął, budził się co chwila.

Wyszedł z pokoju i po cichu przeszedł do kuchni. Gdzieś w głębi mieszkania usłyszał kaszłającego Raya. Marc postawił na ogniu dzbanek z kawą. Czekając, aż się zagotuje, wyszedł z kuchni i podniósł gazetę spod frontowych drzwi. Przeglądał ją w pośpiechu, aż znalazł to, czego szukał - krótki nekrolog zawiadamiający o dacie i miejscu jego pogrzebu. Przeszedł do kuchni i rzucił gazetę na stół. Chwilę później w drzwiach pojawił się zaspany Ray.

- Na kilometr wyczujesz zapach kawy - Ray oczywiście nie odpowiedział. Przez te wszystkie lata Marc w końcu zrozumiał, że jego przyjaciel nie należał do rannych ptaszków. Pokazał mu nekrolog. Ray przeczytał go uważnie, ale tylko mruknął coś niewyraźnie.

Gdy Ray powoli dopijał drugi kubek kawy i wciąż nie śpieszył się do wyjścia, Marc spojrzał na zegar.

- Nie idziesz do pracy? - zapytał.

Ray pracował w firmie, która zajmowała się projektowaniem i budową fantastycznych łodzi na Tłusty Czwartek. Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy, że przygotowania do tej jednodniowej ceremonii trwały prawie cały rok.

- A nie - potrząsnął głową Ray. - Od poniedziałku jestem na urlopie. Wziąłem dwa tygodnie, żeby dokończyć remont i mieć czas na malowanie.

- Czy twoje obrazy się sprzedają?

- Niektóre. - Wzruszył ramionami. - Teraz pracuję nad pokazem dla Jade's.

- Jade's? - Marc uniósł brwi. - Na pewno Jade's?

- Tak - mruknął Ray. - I co z tego?

- Nic. To świetnie. - Marc mógłby przysiąc, że policzki Raya nabrały intensywnie czerwonego koloru, ale milczał przezornie. Jego przyjaciel był wyjątkowo wrażliwy na punkcie swojej sztuki.

- Co świetnie? - W drzwiach kuchni pojawiła się nagle Samantha. Chwiejnym krokiem podeszła do dzbanka z kawą.

Marc uśmiechnął się pod nosem. Znowu pożyczyła sobie jego ubranie.

- Podobają mi się te szorty, Samantho - powiedział.

- Na mnie nigdy tak dobrze nie leżały.

Zignorowała go i spojrzała na Raya.

- On bardzo lubi zmieniać temat, kiedy nie ma ochoty odpowiadać na pytania - burknęła.

- Wiem - zachichotał Ray. - Ale muszę się z nim zgodzić. Te szorty rzeczywiście fantastycznie wiszą na tobie.

- Cudownie - jęknęła i wywróciła oczami. - Teraz będzie ich dwóch.

Ray spojrzał na Marka i obaj wybuchnęli śmiechem. Samancie z trudem udało się zachować zimną krew. Nagle zauważyła gazetę.

- Czy to dzisiejsza? - zapytała.

Gdy sięgała po nią, Ray nagle zerwał się i chwycił gazetę.

- Nie możesz jej przeczytać... to znaczy... nie masz chyba czasu... bo... bo - spojrzał z rozpaczą na Marka.

Samantha wybałuszyła oczy w niemym zdumieniu.

- Czy ja czegoś nie rozumiem? - zapytała w końcu.

- Dziwnie się zachowujecie.

- Ray jest po prostu... hm, zatroskany. Obawiał się, że możesz się zdenerwować. Dziś jest mój pogrzeb, fałszywy pogrzeb. W gazecie zamieścili nekrolog. - Poczut się okropnie, gdy Samantha zbladła i musiała przytrzymać się krzesła. - Tak trzeba było, Sam. To jedyny sposób, żeby wszystko wyglądało wiarygodnie.

- Słyszałam, jak Ray mówił o tym wczoraj wieczorem, ale nie sądziłam... Czy oni... czy ja też będę miała pogrzeb?

Nagle Marc zrozumiał.

- Och, Sam! - Wstał i przytulił ją do siebie. - Nie wiem, ale spróbuję się dowiedzieć.

Pocałował ją w czubek głowy, a Samantha pozwoliła sobie przez chwilę na luksus przebywania w jego ramionach. Żałowała, że nie może pozostać tu na zawsze. Jednak między nimi wciąż była inna kobieta. Odsunęła się.

- To dlatego, że... wiesz, babcia umarła i nie ma nikogo z rodziny, kto mógłby się zająć moimi sprawami. - Odetchnęła głęboko. - Może pan Potter sobie z tym poradzi.

- Kto to jest pan Potter? - spytał Ray.

- Mój adwokat - mój adwo... o, nie! - spojrzała z przerażeniem na Marka. - Czy wiesz, co to znaczy? Jeżeli wszyscy uważają, że jestem martwa, to co się stanie z moim spadkiem?

- Wszystko w porządku, Sam. Zapomniałaś, że pomaga nam FBI. Jestem pewien, że później to jakoś odkręcą.

- Lepiej, żeby tak było. - Wyprostowała się. - Nie zdążyłam jeszcze wydać ani centa.

- Co za dziewczyna - roześmiał się Marc. - Nie da sobie w kaszę dmuchać. Teraz wypij kawę, tygrysie, a potem poszukamy jakiegoś ubrania dla ciebie.

Marc wbił wzrok w telefon. Msza chyba już się zakończyła. Jeżeli porozmawia z ojcem, być może zdoła uzyskać odpowiedzi na niektóre

pytania. Przez cały ranek dręczyły go wątpliwości. Dopóki nie przeczytał o Angelique, niemalże uwierzył, że Jean Claude rzeczywiście pragnie mu pomóc.

Wstał i podszedł do okna w kuchni. Niewielkie patio porośnięte było subtropikalną roślinnością. Wydawało się, że jest tam chłodno i spokojnie, ale było to tylko złudzenie. Temperatura wynosiła tam ponad 35 stopni w cieniu. Marc zastanawiał się, czy Jean Claude potrafił równie skutecznie mamić? Czy udało mu się wszystkim oszukać? Co łączyło Angelique i Manchettiego? Ponownie popatrzył na telefon. Zaczeka jeszcze kilka minut i zadzwoni.

Podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Dobięły go stłumione głosy Samantha i Raya. Przed południem obaj zabrali Samanthę do butiku, aby kupiła sobie ubranie. Uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie tę wyprawę. Dziewczyna rzuciła okiem na ceny i kategorycznie odmówiła zakupu czegokolwiek. Nalegała, aby natychmiast udali się do sklepu z używaną odzieżą, który minęli po drodze. Gdy Marc odmówił, nazwała go snobem. Kiedy wrócili, Ray zniknął w swojej pracowni na górze. Samantha nie mogła poskromić swojej ciekawości. Wbrew radzie Marka, poszła za Rayem. Marc był zaskoczony, że od razu nie wróciła. Ray rzadko kiedy wpuszczał ludzi do swojej pracowni.

Ponownie spojrzął na zegarek. Musiał zadzwonić przed powrotem Samantha. Nie chciał jej niepotrzebnie denerwować, zaczęłaby zadawać pytania, na które nie znał odpowiedzi. Podszedł do telefonu i wykręcił numer. Słuchawkę podniósł Jean Claude.

- Gdzie, u diabła, byłeś? - wybuchnął natychmiast.

- Dzwoniłem do domku kilkanaście razy. Jakies kłopoty? Pieniądze? Klucz?

- Nic się nie stało - odpowiedział Marc. - Wszystko poszło tak, jak zaplanowałeś.

- Co za ulga. Twój ojciec jest cholernie niespokojny.

- Daj mi go do telefonu.

- Nie ma go.

- A kiedy będzie?

- Nie jestem pewien - odrzekł z wahaniem w głosie Jean Claude. - Wyszedł gdzieś z Dorą. Marc, nie mogliśmy powiedzieć jej prawdy. Jest kompletnie załamana. Stryj Edward uznał, że dobrze będzie zabrać ją stąd na parę godzin.

- Jezu! - Marc ścisnął mocno słuchawkę. - Dlaczego, do cholery, nie powiedzieliście jej? To okrutne, żeby...

- Wiem, wiem - przerwał Jean Claude. - To O'Connor nalegał. Powiedział, że tak będzie bardziej realistycznie. Poza tym nie możemy ryzykować przecieku.

- Do diabła! - Marc omal nie zazgrzytał zębami. - Ona należy do rodziny.

- Marc, uspokoisz się wreszcie?

Zamknął oczy i policzył do dziesięciu. Jeżeli straci głowę, z pewnością nie uzyska odpowiedzi na swoje pytania.

- Dlaczego do nas dzwoniłeś? - zapytał po chwili.

- Stryj Edward chciał się upewnić, czy wszystko w porządku.

- Powiedz mu, że w porządku. - Marc zawahał się.

- Jean Claude, czy Angelique myśli, że zginąłem?

W gazecie tak właśnie napisano, ale Marc pragnął, żeby jego kuzyn sam to powiedział.

Po chwili milczenia Jean Claude odkaslnął.

- Tak - odrzekł.

- A więc?

- Co „a więc”?

- Jak zareagowała na wiadomość o mojej śmierci? - Kurczowo ścisnął słuchawkę.

- A jak sądzisz? Była ... przygnębiona.

Głos Jean Claude'a brzmiał niepewnie - zbyt niepewnie. Marc postanowił nadal drążyć temat. Chciał się przekonać, czy kuzyn powie mu prawdę.

- Gdzie jest teraz? - zapytał.

- Jest bezpieczna - to znaczy chciałem powiedzieć, że jest w szpitalu. Tylko po to, żeby trochę odpocząć - dodał szybko.

Kilka minut później Marc odłożył słuchawkę. Teraz był najzupełniej przekonany o tym, że jego kuzyn coś knuje. Czyżby więc jego podejrzenia dotyczące udziału Jean Claude'a w zabójstwie gubernatora były słuszne? Wyraźnie denerwował się, kiedy Marc pytał o Angelique.

- Marc? Z kim rozmawiałeś? Odwrócił się do Samantha.

- Z Jean Claude'em - odrzekł.

- Kłóciłeś się z nim?

- Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Wyglądasz, jak gdyby coś cię gryzło.

- Jean Claude zawsze tak na mnie działa.

- Rozumiem. - Przechyliła głowę. - Czy ty coś przede mną ukrywasz?

Coś się stało?

Marc potarł dłonią obolały kark.

- Nie chciałem cię martwić - westchnął. - Ostatniej nocy Ray pokazał mi artykuł w gazecie. Wynikało z niego, że Angelique tak się przejęła moją... moją śmiercią, że przeżyła załamanie nerwowe i trafiła do szpitala.

Gdy ujrzał, że oczy Samantha rozszerzyły się z przerażenia, pośpieszył z wyjaśnieniami.

- Po pierwsze, Angelique nie należy do tego typu kobiet. To do niej niepodobne. Powinna raczej świętować, zwłaszcza jeżeli liczyła na pieniądze z ubezpieczenia. Po drugie, kiedy teraz zapytałem Jean Claude'a, co się z nią dzieje, przyznał, że jest w szpitalu, ale brzmiał jakos jego głos dziwnie.

- Jak to dziwnie?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. Przejęzyczył się. Powiedział, że jest bezpieczna. Nie wiem, czy to instynkt, czy paranoja, ale zastanawiam się, dlaczego właśnie tak powiedział.

- To nie ma żadnego sensu - zastanowiła się Samantha. - Dlaczego miałyby być bezpieczna? Przed kim lub przed czym musi się chronić?

- Sam chciałbym wiedzieć. To wszystko straszliwie się skomplikowało. Na początku myślałem, że to całkiem proste. Byłem świadkiem zamordowania gubernatora, człowiek odpowiedzialny za to usiłował

mnie usunąć. Myślałem, że tym człowiekiem jest Manchetti. Teraz nie jestem już tego pewien. Może po prostu Angelique wiedziała za dużo?

- Za dużo o czym? I dlaczego twoja żona miałaby mieć cokolwiek wspólnego z Jean Claude'em?

- Podejrzewam, że to właśnie za jego przyczyną rozwodzi się ze mną.

Samantha wyczuła gorzki ton w jego głosie. Nic dziwnego, że nie dowierzał kuznowi. Nagle uderzyła ją pewna myśl.

- Marc - powiedziała powoli. - Czy wiesz, w którym szpitalu jest Angelique?

- To było w gazecie - skinął głową.

- Dlaczego sam jej nie zapytasz? - Podeszła do niego.

- Kogo? - spytał zdumiony.

- Angelique. - Zanim zdążył coś powiedzieć, pośpiesznie ciągnęła dalej. - Gdyby istniał jakiś sposób, żebyś mógł się z nią spotkać, wtedy wiedziałbyś wszystko.

- To najbardziej idiotyczny pomysł, jaki w życiu słyszałem. Niby jak mam to zrobić? Czy ty wiesz, ilu tam jest strażników? - Potrząsnął przecząco głową. - Nie, musi istnieć jakiś inny sposób.

Ale nie istniał. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był pewien, że Samantha ma rację. Jeżeli chciał znać prawdę, musiał zobaczyć się z Angelique.

16

Marc ujrzał korek na moście i zdrętwiał z przerażenia. Samochody niemal dotykały się zderzakami. Kiedy wreszcie udało mu się wydostać z korka, skazany był na powolną jazdę za olbrzymią ciężarówką, której nie sposób było wyminąć. Przez otwarte okno jeepa przedostawał się intensywny zapach benzyny. Marc czuł się śpiący i wyczerpany. Zastanawiał się, czy tak samo czuje się teraz Samantha.

Biedny Ray winił siebie i piekielnie ostry ryż, który przygotował na kolację poprzedniego wieczora. Samantha jednak twierdziła, że po prostu nie najlepiej się czuje i musi dłużej odpocząć. Gdy Marc wychodził, wciąż jeszcze spała.

Wkrótce dojechał do LeFay i poczuł się nieco lepiej. To małe miasteczko zdawało się składać z kawiarni, sklepu i banku. Szpital i zakłady przemysłowe stanowiły jedyne źródło dochodu mieszkańców.

Przez następną godzinę Marc siedział na parkingu przed szpitalem i uważnie obserwował okolicę. W południe upał stał się nie do zniesienia, więc Marc zaryzykował wejście do recepcji. Utrzymane w pomarańczowo-zielonej tonacji pomieszczenie stanowiło przyjemny kontrast z rozgrzanym parkingiem. Recepcjonistka siedziała w małym, oddzielnym szybą pokoiku obok drzwi. Marc wziął ze stołu kolorowy magazyn i usiadł w fotelu w rogu recepcji. Chciał mieć możliwość przyglądania się otoczeniu bez zwracania na siebie uwagi.

Wkrótce zdał sobie sprawę, że przedostanie się do Angelique nie będzie łatwe. Ochrona wokół szpitala przypominała niemal ochronę więzienia. W trosce o zachowanie bezpieczeństwa, poszczególnym pacjentom przydzielono numery, znane tylko rodzinie i przyjaciołom. To, że cały świat wiedział o pobycie Angelique w tym szpitalu, nie miało najmniejszego znaczenia, uprawniony do wizyty gość powinien znać jej numer.

Marc wyciągnął się w fotelu i zerknął na szybkę. Gdyby tylko mógł rzucić okiem na listę pacjentów, ale jak? Minęła następna godzina. Niemal zdecydował się zrezygnować, gdy nagle do recepcji wszedł mężczyzna z torbą z narzędziami.

- Usługi telekomunikacyjne - obwieścił recepcjonistce. - Podobno macie kłopoty z linią numer cztery.

- Bingo - wyszeptał bezgłośnie Marc. Wstał jakby od niechcienia, rzucił pismo na fotel i wyszedł. Obejrzał się, aby zapamiętać godziny dla odwiedzających. Wieczorem z pewnością będzie inna recepcjonistka.

Po wyjściu ze szpitala natychmiast dostrzegł furgonetkę firmy telefonicznej. Tak jak sądził, samochód był otwarty. Zerkając na boki otworzył tylne drzwi. Wprost nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Na podłodze leżała torba z narzędziami. Schwycił ją, zatrzasnął drzwi i skierował się prosto w stronę jeepa. Wrzucił torbę do środka. Kątem oka zauważył montera, który pojawił się właśnie w drzwiach szpitala.

Marc wśliznął się do samochodu i czekał, aż furgonetka odjedzie i zniknie z pola widzenia. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze około trzech godzin oczekiwania. Teraz musiał znaleźć jakiś aparat telefoniczny, aby dowiedzieć się, co z Samanthą. Włączył silnik i ruszył w stronę kawiarni, którą mijał wcześniej.

- Sam, Marc przy telefonie.

Samanthą cisnęła książkę w kąt i przebiegła obok Raya do aparatu w kuchni.

- Widziałeś się z nią? - krzyknęła w słuchawkę, nie witając się nawet z Markiem - przez cały dzień się martwiłam.

- Spokojnie, spokojnie, Sam. Czujesz się już lepiej?

- W porządku - odpowiedziała. - Zresztą to nieważne. I co powiedziała?

Marc jęknął cicho.

- Jeszcze jej nie widziałem, ale chyba już wiem, jak się do niej dostać.

- I? - kiedy Marc nie odpowiedział, westchnęła przesadnie. - Czekam. Odpowiedz mi.

- Jadłaś dziś coś?

- Tak, trochę zupy. Nie próbuj zmieniać tematu. Marc zachichotał radośnie.

- Chciałem tylko sprawdzić, co się z tobą dzieje i powiedzieć, że późno wrócę.

- Marc Dureaux, nie waż się kończyć rozmowy. Marc uśmiechnął się i odłożył słuchawkę. Wyszedł z budki telefonicznej i skierował się w stronę kawiarni.

Trzy godziny później spojrzął na zegarek i poprosił kelnerkę o rachunek. Przed drzwiami szpitala przewiesił sobie torbę z narzędziami przez ramię, wziął głęboki oddech i wszedł do środka.

Podszedł do okienka recepcji i czekał. Początkowo młoda kobieta siedząca w środku zignorowała go i kontynuowała pisanie na maszynie. Kiedy odkasznął znacząco, spojrzała na niego uważnie.

- Czy mogę panu w czymś pomóc?

Marc uśmiechnął się do niej najpromiennie jak potrafił.

- Usługi telekomunikacyjne - powiedział. - Podobno linia numer cztery nawala.

- Nie mamy z nią żadnych problemów - spojrzała na niego podejrzliwie.

Serce Marka zaczęło walić jak oszałałe. Musiał, po prostu musiał znaleźć się za szklaną barierą odgradzającą recepcję od hallu wejściowego.

- Proszę pani, dla mnie to żadna pocięcha - wychrypiał. - Tak czy inaczej pobiorę opłatę za wezwanie.

Kobieta wstała, wciąż patrząc na niego nieufnie.

- Skoro już pan tu jest, niech pan rzuci na to okiem - wzruszyła ramionami. - Proszę iść tym korytarzem aż do pierwszych drzwi na prawo. Wpuszczą pana.

Chwilę później spotkali się przy drzwiach. Już przedtem Marc uważnie oglądał aparat telefoniczny. Liczył na to, że recepcjonistka wie o naprawie telefonów jeszcze mniej, niż on. Kątem oka dojrzał listę pacjentów. Mijały minuty, a on stawał się coraz bardziej niespokojny. Kobieta wciąż stała tuż obok, bębniąc palcami po stole, niczym

wyjatkowo niecierpliwy Anioł Stróż. Jeśli choć na chwilę nie spuści z niego oka, nie ma mowy, aby mógł przejrzeć tę listę.

- Długo to jeszcze potrwa? - wybuchnęła zniecierpliwiona. Marc podniósł głowę. Policzki dziewczyny były purpurowe.

- Nie, już niedługo - powiedział. - Wiem już chyba, w czym rzecz, muszę się tylko upewnić.

- Czy mogę pana o coś prosić? - Spojrzała na niego, po czym odwróciła wzrok. - Gdyby ktoś przyszedł, proszę mu powiedzieć, że zaraz wrócę. Proszę powiedzieć, że... że poszłam do toalety. Za minutkę będę z powrotem.

- Oczywiście. Nie ma sprawy.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, natychmiast chwycił za listę. Nazwiska umieszczone były w porządku alfabetycznym. W przeciągu kilku sekund znalazł numer Angelique i nazwiska gości. Było ich tylko trzy

- Patrick O'Connor, Jean Claude Dureaux i Harold Caldwell. To ostatnie należało do renomowanego adwokata. Szybko zapisał numer w leżącym na stole notatniku, po czym wydarł kartkę i schował ją do kieszeni.

Gdy kobieta wróciła, Marc powsadzał przewody na swoje miejsca.

- To by było na tyle - powiedział i ruszył do wyjścia. - W razie kłopotów proszę do nas zadzwonić.

Gdy Marc dotarł do obrzeży Nowego Orleanu, zapadał już zmierzch. Czas korków przeminął, więc szybko dotarł do mieszkania Raya. Otworzył drzwi kluczem, który dostał od przyjaciela. Przywitała go cisza. W mieszkaniu panował mrok, jedynie wąska strużka światła wydobywała się spod drzwi sypialni Samantha.

- Sam! - zawołał cicho, ale odpowiedziało mu milczenie. Po chwili wahania wszedł do pokoju.

Samantha leżała na łóżku. Spała głębokim snem, z ręką wciąż zaciśniętą na książce. W miękkim świetle lampy wyglądała niemal eterycznie, niczym widmo. Marc zamknął drzwi i podszedł do łóżka. Wyjął książkę z dłoni dziewczyny i położył ją na szafce. Samantha

zatrzepotała lekko powiekami, po czym otworzyła oczy.

- Marc. - Uśmiechnęła się.

Jej głos był senny, leciutko zachrypnięty. Wyciągnęła rękę do Marka.

- Miałam cudowny sen - powiedziała.

- Opowiedz mi - szepnął. Ujął jej dłoń i klęknął obok łóżka.

- Śniło mi się, że znów jesteśmy na „Jenny”. Nikt nas nie ścigał, mieliśmy mnóstwo czasu dla siebie.

Marc zaczął delikatnie głaskać dziewczynę po twarzy. Przymknął oczy. Pragnął jej powiedzieć, że kupi inny jacht, że gdy wypłyną następnym razem, naprawdę będą mieli mnóstwo czasu dla siebie. Przede wszystkim zaś chciał wyznać, że ją kocha i błagać o jej miłość.

Westchnął ciężko i odsunął się od Samantha.

- „Jenny” była wspaniałym jachtem - powiedział. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie może wyznać jej swoich uczuć. Przyszłość była zbyt niepewna, aby nawet marzyć o długim, szczęśliwym życiu z dziewczyną.

Marc pewnym krokiem podszedł do recepcjonistki. Przystrzygł nieco brodę i włożył na siebie garnitur. W ręce trzymał czarną, skórzaną aktówkę. Miał nadzieję, że robi wrażenie dobrze prosperującego prawnika.

- Przyszedłem, aby zobaczyć się z klientką - powiedział. - Pacjentka numer 5486.

- Pańskie nazwisko - kobieta spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Brown, Jack Brown z firmy „Harold Caldwell i spółka”.

Kobieta przekartkowała listę pacjentów i nagle przestała się uśmiechać.

- Owszem, jest tu pan Caldwell, ale nie widzę pańskiego nazwiska - powiedziała.

- Jestem pewien, że to przeoczenie. Mamy problemy z naszą nową sekretarką. Ta dziewczyna zupełnie się nie nadaje.

- Cóż... nie wiem...

- Proszę pani - Marc wyciągnął przed siebie aktówkę. - Jeżeli te papiery nie zostaną dzisiaj podpisane, pan Caldwell będzie bardzo niezadowolony. Czy administrator jest tu gdzieś w pobliżu? Być może

nasza klientka czułaby się lepiej w jakimś innym ośrodku?

- Tak, proszę pana... to znaczy, chciałam powiedzieć, proszę chwilę zaczekać.

Marc wstrzymał oddech, gdy kobieta nacisnęła guzik i wezwała sanitariusza. Kilka minut później obaj minęli kilkoro drzwi i poszli wzdłuż przestronnego korytarza.

Sanitariusz zatrzymał się nagle.

- Proszę tam zaczekać. - Machnął ręką w kierunku pomieszczenia po lewej stronie.

Marc wszedł do pustego pokoju i rozejrzał się dokoła. Czuł, że pot spływa mu po plecach. Usiadł w fotelu naprzeciwko telewizora i czekał. Po kilku przeciągających się w nieskończoność minutach wstał i zaczął spacerować po pokoju.

Nagle drzwi otworzyły się i stanęła w nich Angelique. Marc wpatrywał się w nią ze zdumieniem. Włosy miała potargane, twarz bez śladu makijażu. Była blada i wyglądała na zmęczoną, jednak to jej oczy przykuły uwagę Marka. Przez ułamek sekundy miała dziwny, nieobecny wyraz. Poczował, że cierpie mu skóra na grzbiecie.

- Marc?

Dźwięk jej głosu wyrwał go z oszołomienia. Chwycił ją za ramię i wciągnął do środka.

- Nic nie mów - syknął.

Wystawił głowę za drzwi i rozejrzał się po korytarzu. Na szczęście nikt jej nie słyszał. Gdy zamknął drzwi i puścił Angelique, nieoczekiwanie zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Dzięki Bogu - chlipnęła. - Wiedziałam, że przyjdiesz. Wiedziałam, że przejrzysz go na wylot.

Marc odsunął ją na odległość ramienia.

- O kim mówisz? - zapytał.

Łzy wciąż spływały po policzkach Angelique.

- Mówiłam mu, że nie uwierzysz i miałam rację. - Wytarła nos wierzchem dłoni. - Przyszedłeś, żeby mnie stąd zabrać, prawda? - Złapała go za poły marynarki. - Prawda?

Marc poczuł, że robi mu się niedobrze. Czekala na niego? A przeciez Jean Claude twierdzil, ze uwierzyla w jego smierc. Postanowil niczego nie robic pochopnie. Jako dziennikarz wiedzial, ze zanim wyda sie opinie, nalezy poznac fakty.

- Chyba bedzie lepiej, jezeli zaczniemy od poczatku.

- Machnal ruka w strone krzesla.

Gdy usiadla, podal jej chusteczke.

- Przestaj juz chlipac - warknal. - Wiesz, ze to na mnie nie dziala.

Angelique wytarla nos i zaczela nerwowo sciskac chustke.

- Wsadzil mnie tu, zebym milczala - powiedziala.

- Kto?

- Jak to kto? Jean Claude.

- Poczekaj, bo zaczynam sie gubic. Czy przez caly czas wiedzialas, ze ja zyje?

- Oczywiscie, ze tak. Mowilam ci przeciez - on chcial, zebym milczala.

- Ale na jaki temat mialas milczec?

- Powiem ci, ale najpierw obiecaj, ze mnie stad wyciagniesz.

- Myśle, ze bedzie lepiej, jezeli i tak mi powiesz.

- Zacisnal dlonie w pieści.

- Nie powiem, dopoki nie obiecasz. - Spojrzala na niego i dodala pośpiesznie: - Nie myśl, ze moglybys nie dotrzymac obietnicy. Jezeli to zrobisz, wszyscy dowiedza sie, ze tu byles, ze zyjesz.

Marc usmiechnal sie z pogarda.

- No, prosze. Niech bedzie, skonczmy juz z tym.

- Chytry, zadowolony z siebie wyraz jej twarzy nie robil na nim zadnego wrazenia. Mogla to opowiadac calemu swiatu. Kto uwierzy pacjentce szpitala psychiatrycznego, ktora wlasnie przezyta szok po stracie meza? Angelique pochylila sie w jego strone.

- Za tym wszystkim stoi Jean Claude - wyszeptala.

- On twierdzi cos wręcz przeciwnego - potrzasnal glowa Marc. - Jean Claude i FBI uwarzaja, ze za ta sprawa kryje sie Antonio Manchetti.

- Klamia. Te sukinsyny klamia.

Jej glos zamarl. Przez moment patrzyła na Marka z nienawiscia.

Trwało to jednak tak krótko, że po chwili uznał to za wytwór swojej wyobraźni.

Nagle oczy Angelique stały się zupełnie puste.

- Tony był przyjacielem mojego ojca - mówiła monotonnym, wypranym z uczuć głosem. - Jest bardzo potężny. Jean Claude wiedział o naszej przyjaźni. Powiedział im o Tony'm tylko po to, żeby jego nie podejrzewali.

- Nie podejrzewali o co?

- Jak to o co? O zamordowanie gubernatora i próbę zamordowania ciebie.

- Jean Claude jest ambitny, ale jakoś trudno mi uwierzyć, że mógłby posunąć się aż tak daleko. A co z tobą? - Spojrzał na nią z uwagą. - Co ty masz z tym wszystkim wspólnego?

W jej oczach błysnęła wściekłość.

- Wiem o wszystkim, a on nie miał na ryle odwagi, żeby mnie zabić - rzuciła.

- A dlaczego to właśnie ty wiesz o wszystkim? Uśmiechnęła się dziwnie. Coś w jej wzroku sprawiło, że poczuł się niepewnie.

- Mówiłam ci - Tony był przyjacielem mojego ojca, teraz jest moim. On dobrze wie, co dzieje się w tym stanie, zwłaszcza jeśli to ma coś wspólnego z polityką.

Marc mimo woli zaczął zastanawiać się, co jeszcze wydarzyło się w jej przeszłości i dlaczego nigdy mu o tym nie mówiła. Komu miał wierzyć? Angelique? Jean Claude'owi? Nie ufał obojgu. Zacisnął powieki.

- Marc, wiem, że mi nie wierzysz - odezwała się Angelique. - Ale przecież Jean Claude oszukał także i mnie. Dlaczego miałabym teraz kłamać? Co mogę przez to zyskać?

Wyglądało na to, że mówiła szczerze. Marc przypomniał sobie, że kiedyś już też mu się tak wydawało.

- Mogę udowodnić każde moje słowo. - Ogarnęła wzrokiem pomieszczenie i uśmiechnęła się. - Ale dopiero, kiedy stąd wyjdę.

- Jak zamierzasz to udowodnić?

- Zabierz mnie do Jean Claude'a, to ci pokażę. - Patrzyła na niego w napięciu, niczym na przeciwnika. - Staniemy przed nimi i zażądamy wyjaśnień.

Marc przestał cokolwiek rozumieć.

- Nimi? - zapytał zbity z tropu. Jej oczy znowu stały się puste.

- Miałam na myśli Jean Claude'a. - Roześmiała się wesoło. Niby o kim jeszcze mogłam myśleć?

Angelique zachowywała się zdecydowanie dziwnie. Marc uznał, że prawdopodobnie jest to stres wywołany zamknięciem. Wciąż nie mógł jednak pozbyć się uczucia, że coś nie jest w porządku. Mimo wątpliwości dotyczących prawdomówności Angelique, wszystko, co powiedziała, zdawało się potwierdzać jego przypuszczenia. Kto wie, pomyślał, Angelique i Jean Claude skonfrontowani ze sobą mogą popełnić jakiś błąd. Wtedy dowie się wreszcie, kto mówi prawdę.

- Dobrze - zgodził się z wahaniem w głosie. - Zobaczą, co się da zrobić. Szczerze mówiąc, nie ufam żadnemu z was, ale nie zamierzam przez resztę życia chować się, czy udawać umarłego. - Uniósł jej głowę do góry. - Zapamiętaj sobie jedno. Jeżeli to ty kłamiesz, znajdziesz się tu z powrotem tak szybko, aż zakręci ci się w głowie. A ja już dopilnuję, żeby cię trzymali bardzo, bardzo długo.

Angelique szarpnęła się do tyłu.

- Masz robić dokładnie to, co ci powiem - dodał. - Zgoda?

Skinęła głową.

- Dobrze - mruknął. - Daj mi teraz chwilę czasu, żebym mógł to przemyśleć.

Odwrócił się od niej i zaczął spacerować po pokoju.

- Nie mogę przyjść później. Recepcjonistka mnie rozpozna. A więc musimy zrobić to teraz. - Okręcił się na pięcie. Czy wolno ci chodzić po terenie ośrodka?

Ponownie skinęła głową. Na jej ustach pojawił się ten sam dziwaczny uśmiech.

- Dobrze. Teraz idź do swojego pokoju i przebierz się w sukienkę. Załóż płaskie buty - żadnych wysokich obcasów. Umaluj się i zrób coś z

włosami, a potem tu przyjdź. Musimy wymaszerować przez frontowe drzwi, zanim zdążą się zorientować, o co w ogóle chodzi.

Angelique nie reagowała, tylko patrzyła na niego kompletnie nieobecny wzrokiem.

- No, rusz się. - Popchnął ją leciutko.

Kiedy czekał na jej powrót, minuty ponownie rozciągały się w godziny. Gdy w końcu przyszła, wyglądała jak zupełnie inna osoba. Była spokojna i niemal pogodna. Jej oczy lśniły. Marc tłumaczył sobie, że to z napięcia i podniecenia wywołanego chwilą. Wziął ją pod ramię i ruszyli wzdłuż korytarza.

- A teraz uwaga. - Marc odetchnął głęboko. - Bądź cicho, ja będę mówił.

Serce biło mu mocno, gdy naciskał guzik. Chwilę później ukazał się znajomy sanitariusz.

- Co tu się dzieje? - warknął.

- Moja klientka ma ważne spotkanie - powiedział powoli Marc. - Zamierzam ją tam zawieźć.

- To wbrew przepisom - sanitariusz pokręcił przecząco głową. - Pan O'Connor wyraźnie mówił, że nie wolno jej pod żadnym pozorem opuszczać ośrodka. Skontaktuję się z nim.

Odwrócił się i sięgnął po słuchawkę telefonu, który wisiał nad przyciskiem. Koniec z kręceniem, pomyślał Marc. Podniósł aktówkę i z całej siły uderzył mężczyznę w tył głowy. Sanitariusz runął na ziemię. Marc pochylił się nad nim i sprawdził tętno. Zadowolony, że tylko go ogłuszył, pośpiesznie odpiął pęk kluczy od pasa mężczyzny.

- Chodź! - złapał Angelique za ramię i poprowadził w kierunku pierwszych zamkniętych drzwi. Drżała mu ręka, gdy wkładał klucz do zamka. Udało się przy trzeciej próbie. Pod wpływem impulsu wsadził ten sam klucz w zamek kolejnych drzwi. Westchnął z ulgą, gdy okazało się, że jego rozumowanie było słuszne.

- A teraz najtrudniejsza część. - Spojrzał na Angelique. - Zaparkowałem jeepa blisko drzwi wejściowych. Jeżeli poczekalnia będzie pusta, wyjdę na zewnątrz, kiedy dam ci znak. Jeżeli nie, coś

zaimprovizujemy, ale bądź przygotowana. Pewnie trzeba będzie się śpieszyć. Rozumiesz, co powiedziałem?

Milczała i patrzyła na niego błyszczącymi oczyma. Znow zrobiło mu się niedobrze.

- Rozumiesz? - Potrząsnął nią mocno. Wyrwała mu się gwałtownie.
- Doskonale rozumiem - rzuciła.

Marc czuł się coraz gorzej, ale było już za późno na odwrót. Zbyt daleko się posunął. Wszedł do poczekalni i rozejrzał się od niechcienia. Była całkowicie pusta, podszedł więc wprost do szklanego okienka.

Recepcjonistka siedziała bokiem do niego. Zajęta była ożywioną rozmową telefoniczną. Marc dał znak Angelique. Kiedy szła, przesunął się powoli wzdłuż okienka, mając nadzieję, że przynajmniej częściowo zasłoni ją przed wzrokiem recepcjonistki. Wstrzymał oddech, ale gdy kobieta odłożyła w końcu słuchawkę, Angelique była już na zewnątrz.

- Chciałem tylko podziękować pani za współpracę - uśmiechnął się.

Nagle zadzwieczał dzwonek telefonu. Jednocześnie rozległo się przeraźliwe wycie syreny alarmowej. Kiedy kobieta podniosła słuchawkę, Marc co sił w nogach pobiegł w kierunku samochodu.

- Schył głowę - rzucił zapalając silnik. Angelique natychmiast się skuliła. Teraz musiał tylko spokojnie, bez pośpiechu wyjechać z parkingu. Kiedy znaleźli się już na autostradzie, nacisnął gaz do dechy i uważnie patrzył w lusterko. Lada chwila oczekiwał pojawienia się samochodu policyjnego.

W czasie jazdy do Nowego Orleanu Angelique była ponura, milcząca, ledwie odpowiadała na jego pytania. Jednak gdy dotarli do obrzeży miasta, Marc zauważył w niej wyraźną zmianę. Uśmiechała się przez cały czas, a w pewnym momencie zaczęła nucić. Ścierpła mu skóra na karku.

Angelique nagle umilkła.

- Muszę iść do łazienki, a poza tym chce mi się pić - oznajmiła.
- Za kilka minut będziemy na miejscu. Zaczekasz.
- Nie. - Złapała go za ramię. - Muszę teraz. Odtrącił jej rękę.
- Dobrze, dobrze. - Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś miejsca. - Tam jest stacja benzynowa. To ci musi wystarczyć.

- Świetnie. Wszystko mi jedno gdzie.

Gdy zahamował, Angelique niemal rzuciła się na drzwiczki.

- O, nie, moja droga. - Przytrzymał ją. - Jeżeli sądzisz, że puszcze cię samą, to się mylisz.

Patrzyła na niego z nienawiścią, ale trzymał jej ramię w mocnym uścisku. Podeszli na tyły budynku, gdzie mieściły się łazienki.

- Przez cały czas będę tu stał, więc niech ci nie przyjdzie do głowy żaden znakomity pomysł - powiedział, kiedy się zatrzymali.

Bez słowa weszła do pomieszczenia i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Minęło kilka minut. Marc nie mógł przestać chodzić w tę i z powrotem. Nie miał właściwie powodu, żeby się denerwować, ale jednak czuł się nieswojo. Nacisnął klamkę, lecz drzwi były zamknięte.

- Angelique, wychodź stąd! - krzyknął.

Przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał. W końcu dobiegło go cichutkie skrobanie. Zaklął cicho i błyskawicznie pobiegł na drugą stronę budynku. Oczywiście było tam okienko, przez które Angelique właśnie opuszczała łazienkę.

- O nie, nie zrobisz tego. - Złapał ją za talię i ściągnął na ziemię.

Dźwięk, który wydała z siebie Angelique, przypominał wycie zaszczutego zwierzęcia. Wbiła paznokcie w twarz Marka. Odruchowo zasłonił oczy i jednocześnie próbował ją przytrzymać. Udało jej się trafić paznokciem w łuk brwiowy, trysnęła krew. Angelique szarpnęła się do przodu i oboje runęli na ziemię. Marc poczuł przeraźliwy ból w tyle głowy. Przez chwilę świat wirował mu przed oczyma, aż w końcu zapadła ciemność.

17

Marc jęknął głośno i usiadł. Ostrożnie dotknął guza z tyłu głowy. Co się, u diabła, stało? Rozejrzył się i nagle dostrzegł obok siebie spory kawałek betonu.

Angelique, rzecz jasna, zniknęła. Marc wstał i przeszukał wzrokiem teren dokoła stacji, ale nigdzie jej nie było. Poczł tak przejmującą wściekłość, że miał wrażenie, iż lada moment rozpadnie się na kawałki.

Miał za swoje.

Powinien był to przewidzieć. Powinien był iść z nią do tej cholernej łazienki.

Gdzieś pod wściekłością krył się strach. Strach o Samanthę, o siebie. A jeżeli mylił się co do Jean Claude'a? Jeżeli morderców wynajął Manchetti, tak jak to podejrzewali ludzie z FBI? Angelique przyznała się do przyjaźni z Manchettim. Jeżeli udało się jej z nim skontaktować i dowiedział się, że wypadek był zaaranżowany, będzie ścigał jego i Samanthę, dopóki ich nie zlikwiduje. Świat i tak sądził, że są martwi.

Marc przyśpieszył kroku. Był tylko jeden sposób, aby się dowiedzieć. Wskoczył do jeepa i uruchomił silnik. Zignorował klaksony i wygrażających mu pięściami kierowców, którym zajechał drogę, aby wydostać się na drogę. Znajdzie Jean Claude'a i w razie potrzeby zmusi go, aby powiedział prawdę.

Piętnaście minut później ukryty za pnem dębu Marc przyglądał się samochodom zaparkowanym przed domem ojca. Stał tam mercedes Jean Claude'a i lincoln Edwarda. Trzeci samochód, biały ford, należał do kogoś obcego. Marc uspokoił się już trochę i zaczął rozsądnie myśleć. Nie mógł tak po prostu wejść do domu. Dopóki nie znał jeszcze prawdy, nie chciał niepotrzebnie denerwować ojca. A gdyby zobaczyła go Dora? Marc zadrzał na myśl o szoku, jaki by przeżyła.

Kiedy uznał, że czeka już wystarczająco długo, drzwi frontowe otworzyły się. Nieznany mężczyzna w pośpiechu wsiadł do forda i chwilę

później zniknął za zakrętem. Marc rozejrzał się dokoła i wyszedł zza drzewa. Okrążył dom i dotarł do bocznej uliczki, która prowadziła do drzwi apartamentu Jean Claude'a. Były one zamknięte, ale Marc wiedział, gdzie znaleźć zapasowy klucz. Jak zwykle leżał pod ruchomym schodkiem.

Otworzył drzwi i zatrzymał się nasłuchując uważnie. Apartament był pusty, więc wszedł do środka. Rzadko miał okazję przebywać w pokojach kuzyna, rozglądał się więc z ciekawością. Gust Jean Claude'a zaskoczył go. Spodziewał się nowoczesnych mebli lub drogich antyków, tymczasem wewnątrz kojarzyło się raczej z wystrojem prostego, wiejskiego domu. Jakoś nie pasowało to do wizerunku Jean Claude'a. Nagle Marc usłyszał kroki - męskie kroki. Przyłgął do ściany, a gdy drzwi otworzyły się, wstrzymał oddech. Do pokoju wszedł Jean Claude. Nie zauważył Marka, stanął nieruchomo tyłem do niego. Marc odczekał chwilę i popchnął drzwi. Zamknęły się z głuchym trzaskiem. Jean Claude odwrócił się i przyjął pozycję obronną. Choć był posiadaczem czarnego pasa, to nie spieszyło to Marka. Oparł się o ścianę i skrzyżował ramiona.

- Witaj kuzynie - powiedział. Jean Claude pobladł.

- Co ty na miłość boską tu robisz? - wykrztusił.

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

- Kto jeszcze wie, że tu jesteś? - Jean Claude patrzył na niego uważnie.

Marc wzruszył ramionami.

- Nie zaproponujesz martwemu kuzynowi drinka? - zapytał.

- Na litość boską, człowieku, co tu się dzieje? - Jean Claude podszedł bliżej. - Czy ty zwariowałeś? Chcesz wszystko popsuć?

Marc nagle runął do przodu. Złapał Jean Claude'a za koszulę i przyparł go do ściany.

- To ty mi powiesz, co się dzieje - syknął. - Chcę znać prawdę i to natychmiast.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Możesz sobie darować. Widziałem się z Angelique

- Marc poczuł, że Jean Claude zesztyniał.

- Jak to... Kiedy?

- Poszedłem do szpitala i złożyłem jej wizytę. Jean Claude zamknął oczy i oparł się głową o ścianę.

Gdy się odezwał, mówił ledwo słyszalnym szeptem.

- Co ci powiedziała? - potrząsnął głową i popatrzył w dal nic nie widzącymi oczyma. - Nieważne. Mogę to sobie wyobrazić.

Marc puścił go. Cofnął się i przejechał palcami po włosach.

- Czy kłamała? - zapytał. - Czy ty naprawdę wynająłeś płatnych morderców?

Jean Claude odepchnął się rękami od ściany i ruszył w kierunku telefonu.

- Nie. Nie zrobiłbym tego. Ale oczywiście nie musisz mi wierzyć - podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Powinienem być przewidzieć, że nie będziesz spokojnie czekał na dalszy rozwój wypadków. Nigdy taki nie byłeś, ale nie przyszło mi do głowy, że możesz mnie winić za wszystko, co się stało.

- Do kogo dzwonisz? - Marc podszedł bliżej. Jean Claude podniósł rękę, aby uciszyć kuzyna.

- Stryju Edwardzie, mamy pewien problem - powiedział. Marc tu jest. Mógłbyś przyjść do mnie?

Marc poczuł nagły skurcz w żołądku. Teraz wszystko stało się dla niego jasne. Podszedł z trudem do najbliższego krzesła i usiadł kryjąc twarz w dłoniach.

- Boże, co ja narobiłem? - wyszeptał. Przez kilka minut mógł myśleć tylko o tym, że naraził życie Samantha na niebezpieczeństwo. Nagle poczuł rękę kuzyna na swoim ramieniu i ujrzał nad sobą jego twarz.

- Masz - Jean Claude podał mu kieliszek pełen bursztynowego płynu. - Wypij. Będzie ci to potrzebne.

Marc jednym haustem wychylił zawartość kieliszka. Poczuł przyjemne, uspokajające ciepło w żołądku, choć burbon palił mu gardło.

Obaj mężczyźni odwrócili głowy, gdy drzwi nagle się otworzyły. Edward Dureaux patrzył z uwagą na syna.

Po raz pierwszy w życiu Marc poczuł, że gniew i dezaprobata ojca

skierowane są bezpośrednio przeciwko niemu. Edward wszedł do pokoju i zatrzasnął drzwi.

- To naprawdę ty. Co u diabła tu robisz? Straciłeś rozum?

- Tato, ja...

- Nie ma żadnego usprawiedliwienia, więc przestań - Edward mówił coraz głośniej. - Czy masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, ile czasu to wszystko planowaliśmy, jak się martwiliśmy? A teraz wszystko na nic. Wszystko na marne...

- Niekoniecznie - wtrącił Jean Claude. Edward popatrzył na bratanka.

- Nie widział go nikt, oprócz Angeliaue - wyjaśnił Jean Claude.

- Kto jej uwierzy?

Edward parsknął pogardliwie w odpowiedzi. Jean Claude zacisnął usta.

- Spójrz tylko na niego - powiedział. Z tą brodą i wąsami nawet ci, co go znali, wcale nie muszą go rozpoznać.

Marc czuł, że robi mu się gorąco. Czuł wzbierające mdłości.

- Ona - oddychał z trudem - wyciągnąłem ją ze szpitala.

Martwa cisza wypełniła pokój. Mijały minuty. Gdzieś na zewnątrz szczekał pies, jakaś ciężarówka jechała po ulicy.

- Gdzie jest teraz? - Jean Claude pierwszy przerwał milczenie.

- Nie wiem - wyszeptał z trudem Marc. - Miałem ją przyprowadzić, żeby was skonfrontować.

Opowiedział im, co zdarzyło się na stacji. Kiedy skończył, popatrzył na ojca.

- Nie wiedziałem, komu mam wierzyć - powiedział.

- Boże. Boże, pomóż nam. - Edward Dureaux usiadł ciężko na krześle.

- Jean Claude, skontaktuj się z Patrickiem.

Podczas gdy Jean Claude próbował zlokalizować O'Connora, Edward opowiedział Markowi, czego dowiedzieli się o pochodzeniu Angelique i jej związku z Manchettim. Kiedy dotarł do tego, jak wspólnie próbowali go zamordować, Marc zerwał się z krzesła.

- Dlaczego? - krzyknął. - Przecież zgodziłem się na ten cholerny rozwód. Mówiła, że niczego więcej nie pragnie. Niech tylko dostanę ją w

swoje ręce. Pożałuje, że się w ogóle urodziła.

- Uspokój się, synu.

Marc spojrział w zatroskaną twarz ojca, ale nie mógł poskromić gniewu.

- Ona nie jest za to odpowiedzialna. To chora kobieta.

- Stryj Edward ma rację. - Jean Claude odłożył słuchawkę i usiadł naprzeciwko Marka.

- Powiedz mi, czego się dowiedziałeś - westchnął Edward.

Jean Claude opisał śmierć rodziców Angelique i to, jak wszystko straciła. To był zbyt silny cios - nerwy nie wytrzymały. Marc słuchał, jak jego kuzyn opisywał reakcję Angelique na wiadomość, że Manchetu zamordował jej rodziców. Jego furia częściowo minęła. Gdy Jean Claude skończył, Marc przypomniał sobie niepokój, który opanowywał go na widok Angelique. Wiedział, że kuzyn mówi prawdę.

- Nic o tym nie wiedziałem - odezwał się po chwili.

- Byłem mężem tej kobiety i przysięgam, że nigdy nawet nie wspomniła mi o tym. Mówiła, że jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

- O'Connor nalega, żeby Marc został tutaj. - Jean Claude spojrział na Edwarda. - Pod żadnym pozorem nie powinien opuszczać domu. Patrick odezwie się, kiedy będą jakieś nowe wiadomości.

Marc wstał z krzesła i swoim zwyczajem zaczął chodzić po pokoju.

- Muszę zadzwonić do Sam - to znaczy do Samantha Bradford. Jest u Raya Fieldinga. - Gdy zobaczył nachmurzoną twarz ojca, pośpieszył z wyjaśnieniami:

- Tymczasowo mieszkamy u niego. Jeżeli nie zadzwonię, będzie się niepokoiła.

Edward przewrócił oczyma i westchnął.

- Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć? - Wskazał głową telefon. - Nieważne. Zadzwoń do niej i powiedz, żeby nie ruszała się stamtąd.

Samantha odebrała telefon już po jednym sygnale.

- Marc, co się stało? Gdzie jesteś?

Jej głos skojarzył mu się z okiem cyklonu - spokój w samym centrum szalejącego huraganu. Samo słuchanie dziewczyny uspokoiło nieco Marka. Ze szczegółami opisał jej wszystko, co się dotychczas wydarzyło. Im dłużej mówił, tym bardziej pragnął być razem z nią, ale na to trzeba było jeszcze poczekać. Gdy już wyjaśnił jej wszystko, odłożył słuchawkę i przymknął powieki. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy.

Przez długie, męczące godziny, w czasie których oczekiwali Patricka O'Connora, Marc nie przestawał się martwić. O Samanthę. O siebie. I nawet, do czego w końcu musiał przyznać się przed samym sobą, o Angeliq̄ue. Jedynym przyjemnym wydarzeniem tego wieczoru była radość na twarzy Dory, gdy dowiedziała się, że Marc nie zginął!. Natychmiast napadła na Edwarda i Jean Claude'a za to, że ukrywali przed nią prawdę.

Kilka minut po północy do pokoju wkroczył Patrick O'Connor. Jedno jego spojrzenie potwierdziło to, co mówił Jean Claude. Agent nie ukrywał tego, co myśli na temat Marka.

- Spieprzył pan wszystko, cały plan - warknął. - Nasza jedyna nadzieja przepadła. Sprawdziliśmy apartament przy ulicy Św. Anny, ale gdyby tam poszła...

- Jaki apartament? - przerwał Marc;

- Nic pan o tym nie wiedział? - O'Connor zerknął na Jean Claude'a.

Marc pokręcił przecząco głową. Wyglądało na to, że niewiele wiedział o swojej żonie.

- No cóż, utrzymywała to w tajemnicy, podobnie jak jej ojciec. Tylko to pozostało z całego majątku, który, jak pan zapewne wie, poszedł pod młotek.

Marc przetarł zaczerwienione ze zmęczenia oczy. Jak mógł być aż tak ślepy? Odpowiedź pojawiła się natychmiast. Nie obchodziło go to. Nigdy tak naprawdę nie kochał Angeliq̄ue. Wykorzystywała go od samego początku. Wiedział, że skłamała o ciąży. Wtedy, w tamtym okresie życia, wolał raczej schować głowę w piasek niż widzieć głupotę swojego postępowania i wynikające z niej konsekwencje. Pomyślał, że teraz nie czas na zastanawianie się, co powinien był zrobić. Spojrzał pytająco na

O'Connora.

- W okolicach jej mieszkania kręci się mój człowiek - ciągnął agent. - Osobiście jednak sądzę, że Angelique szuka Manchettiego. Śledzimy go. Prędzej czy później ona go znajdzie. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to czekać i modlić się, abyśmy znaleźli ją zanim ona znajdzie jego. Bo kiedy on dostanie Angelique w swoje łapy, nie będzie już ratunku dla pana i Samantha Bradford.

Następnego ranka Marc, Jean Claude i Edward zasiedli wspólnie do śniadania. Marc sięgnął po kawałek ciasta, które upiekła Dora, i przyglądał mu się bezmyślnie. Zazwyczaj zjadał kilka kawałków, ale tego dnia na samą myśl o jedzeniu robiło mu się niedobrze. Spróbował skoncentrować się na rozmowie między Edwardem a Jean Claude'em. Napięcie pomiędzy oboma mężczyznami było niemal namacalne. Nie rozumiał jego przyczyn.

Nagły dzwonek sprawił, że wszyscy trzej drgnęli. Czekali w napięciu, aż Dora podniesie słuchawkę.

- Marc, do ciebie - krzyknęła. - Pan O'Connor mówi, że to pilne.

Marc natychmiast pomyślał o Samancie. Czy coś się stało?

Pośpiesznie wytarł usta serwetką i zerwał się od stołu.

- O'Connor? - Wyjął słuchawkę z ręki Dory. - Tu Marc Dureaux.

Znaleźliście Angelique?

- Nie, jeszcze nie. - Głos O'Connora był bardzo zmęczony. Marc zastanawiał się, czy agent spał ubiegłej nocy. - Znaleźliśmy za to coś innego. Około piątej rano zauważono dwa ciała w rzece, niedaleko doków.

Marc kurczowo ścisnął słuchawkę. Czuł się tak, jak gdyby ktoś uderzył go pięścią w żołądek. Natychmiast pomyślał o Samancie i Rayu.

- Kto to? - Ledwo zdołał wykrztusić te dwa słowa.

- Liczyliśmy na to, że pan nam to powie. Obu mężczyznom strzelono w tył głowy, zupełnie jak gdyby była to egzekucja. Ten, kto to zrobił, wrzucił ich nocą do rzeki.

Dwaj mężczyźni? Marc ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

- Dlaczego miałbym cokolwiek o nich wiedzieć? -zapytał.

- Nie ma ich w lokalnych kartotekach, ale za to idealnie pasują do rysopisów, które podał pan policji w Baton Rouge, gdy opisywał pan morderców gubernatora. Mieli być także przesłuchiwani w sprawie zabójstw w Chicago i Nowym Jorku. W obu tych miejscach jakieś podziemne organizacje walczyły o władzę. Zaczynam się zastanawiać, czy to samo nie dzieje się tutaj.

- Jak to? Co pan ma na myśli?

- A jeżeli ktoś z otoczenia Manchettiego uznał, że to właśnie on będzie numerem jeden? Od dłuższego czasu podejrzewaliśmy, że Manchetti sterował gubernatorem Jacksonem. Jak najlepiej pozbyć się za jednym zamachem Jacksona i Manchettiego i nie pozostawić za sobą żadnych śladów?

Marc zastanawiał się przez chwilę.

- Rozumiem, do czego pan zmierza - powiedział w końcu. Jackson zabity, Manchetti oskarżony o wynajęcie morderców. Jest miejsce dla kogoś innego. Ale dla kogo?

- Nie wiem jeszcze, pracujemy nad tym. Tymczasem wróćmy do tych dwóch nieboszczyków. Ciała są w miejskiej kostnicy, chciałbym, żeby pan rzucił na nie okiem. Podjadę po pana za pół godziny. Wejdziemy i wyjdziemy, zanim ktokolwiek dowie się o tym.

Marc spojrzął na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

- Będę czekał - powiedział i odłożył słuchawkę. Przez chwilę opierał się o ścianę. Z niezwykłą siłą powróciło wspomnienie tamtego ranka, ranka, kiedy zamordowano gubernatora. Chociaż zdarzyło się to już dawno temu, twarze morderców na zawsze utkwily mu w pamięci. Tak jak widok gubernatora w kałuży krwi.

Po wyjściu z budynku kostnicy Marc odetchnął głęboko. Zapach Nowego Orleanu daleki był od świeżości, ale po tamtym zapachu wydał mu się orzeźwiający niczym powietrze w górach. Gdy wsiedli do samochodu i odjechali, zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek zdoła zapomnieć ciała w kostnicy.

Wcześniej O'Connor zaprowadził go do stalowego stołu, na którym leżeli obaj denaci. Gdy Marc rzucił na nich okiem, ledwie powstrzymał

wymioty. Zdołał ich jednak zidentyfikować, to byli ci mężczyźni.

- Zastanawiam się, dlaczego Manchetti dopiero teraz ich się pozbył - powiedział O'Connor.

Marc drgnął. Głos agenta przywołał go do rzeczywistości.

- Skoro uważa, że jestem martwy, być może chciał się pozbyć ostatnich świadków.

- Tak, to możliwe - przytaknął O'Connor. - Ale to oznacza, że musiałby zamordować ich własnoręcznie, a to do niego nie pasuje. Nie ten typ człowieka, rozumie pan? Pozostaje jeszcze sprawa pańskiej żony. Ona także dużo wie.

- Pewnie jej też spróbuje się pozbyć - mruknął Marc, ale nie myślał w tej chwili o Angelique.

O'Connor miał rację. Z tego, co Marc wiedział o Manchettim, ten człowiek nigdy nie zabiłby własnymi rękami, a to znaczyło, że tych dwóch zamordował ktoś inny. Tylko kto? Nagle przypomniał sobie wzmiankę O'Connora dotyczącą walki o władzę. Ale między kim? Kto był na tyle inteligentny i potężny, aby wypracować taki plan? Marc wiedział, gdzie może znaleźć odpowiedź. Najpierw jednak będzie musiał przekonać agenta, aby pozwolił mu zostać u Raya.

- Proszę mnie zawieźć do Raya Fieldinga. - O'Connor otworzył usta, aby zaprotestować, ale Marc nie dopuścił go do głosu. - Jeżeli Angelique dotrze do Manchettiego i powie mu, że żyję, przede wszystkim zaczną obserwować dom ojca. Jestem przekonany, że u Raya będzie o wiele bezpieczniej.

Po dłuższych naleganiach O'Connor dał się wreszcie przekonać. Marc westchnął z ulgą.

- Zawiozę tam pana - powiedział agent. - Ale dla was obojga będzie lepiej, jeżeli pozostaniecie w ukryciu.

18

Ray i Samantha dotarli do domu tuż przed południem. Mimo zmęczenia, Samantha uważała, że pomysł ze spacerem był wyjątkowo dobry. Przez pół ranka czekała na telefon od Marka, aż w końcu poczuła się całkowicie wyczerpana tym oczekiwaniem. Ray zdecydował, że najlepszym odpoczynkiem będzie opuszczenie na jakiś czas mieszkania. Natychmiast wyciągnął skądś duży, zniszczony kapelusz i kazał jej ukryć pod nim włosy. Tenisówki, zniszczone džinsy i poplamiona koszula Raya stanowiły dopełnienie stroju. Po wyjściu wmieszali się w tłum artystów otaczających Plac Jaksona, nie wzbudzając najmniejszego zainteresowania.

Samantha czekała cierpliwie, aż Ray otworzy frontowe drzwi. Gdy weszli, Ray natychmiast włączył automatyczną sekretarkę. Dziewczyna niecierpliwie słuchała nagrań, lecz nie było żadnej wiadomości od Marka.

- Chyba się wykąpię - powiedziała, idąc w stronę łazienki.

- Będę w pracowni - odkrzyknął Ray.

Moczyła się w wodzie tak długo, aż pomarszczyła się jej skóra na palcach. Niechętnie wyszła z wanny i wsunęła na mokre ciało koszulę i szorty. Przeszła bosą do kuchni, aby wziąć coś do picia, po czym przeniosła się na patio.

Chociaż miejsce to było ocienione, jednak wilgoć i brak wiatru sprawiały, że panował tu upał jak w saunie. Chciwie upiła łyk lemoniady i pogrążyła się w zadumie. Nagle ogarnęła ją fala tęsknoty. Zatęskniła za starym domem babci, plażą i wiatrem nad zatoką. Zatęskniła też za Markiem.

- Tutaj jesteś - usłyszała nagle.

Odwróciła głowę i uśmiechnęła się z przymusem do Raya.

- Dzwonił? - zapytała.

- Nie, nie dzwonił. - Ray machnął ręką gdzieś za siebie. - Wolał zjawić

się osobiście.

Samantha zdawała sobie sprawę, że uśmiecha się jak uszczęśliwiona pensjonarka, ale zupełnie jej to nie obchodziło. Kiedy jednak ujrzała wyraz twarzy Marka, natychmiast spoważniała. Uśmiechał się do niej także, ale był to jeden z tych uśmiechów, który nic nie wyraża, poza uprzejmym zarejestrowaniem czyjejś obecności. Uczucie bólu, jakiego doznała, mieszało się z gniewem. Martwiła się o niego nieprzytomnie, a on teraz potraktował ją z taką obojętnością.

Ray wyciągnął dodatkowe krzesła i obaj mężczyźni usiedli. Marc nerwowo bawił się palcami i milczał. Po chwili uspokoił się i rozpoczął relację o ostatnich wydarzeniach, po czym przedstawił im teorię O'Connora zakładającą, że motywem działań morderców była walka o władzę.

- Kiedy już to dokładnie przemyślałem, muszę zgodzić się z opinią O'Connora. Zabijanie własnymi rękami zupełnie nie leży w stylu Manchettiego. Nadal jednak sądzę, że on właśnie zlecił zamordowanie gubernatora. Nie znam tylko powodów. Tajemnicą poliszynela było, że sterował gubernatorem, chociaż nikt nie był w stanie tego udowodnić. Tylko ktoś z otoczenia Manchettiego mógł znać jego plany i ten człowiek zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że świadek, zwłaszcza będący jednocześnie reporterem, szybko zidentyfikuje morderców, co doprowadzi w końcu do Manchettiego.

- Ale jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Angelique? - spytał Ray.

Marc wstał nagle i Samantha wstrzymała oddech. Na twarzy mężczyzny przez moment pojawiła się wściekłość, a potem się zaczerwienił. Czyżby był zakłopotany?

- Na jej żądanie Manchetti wynajął na mnie morderców.

Samantha zadrżała słysząc głęboką gorycz w jego głosie. Ray przymknął oczy i zaklął cicho.

- Ojciec i Jean Claude twierdzą, że to chora kobieta

- chora psychicznie - dodał Marc niespodziewanie beznamiętnym tonem. - Wydaje mi się, że w tej sytuacji nie odpowiada za swoje zachowanie. - Przerwał i wzruszył ramionami. - Tak wiele jeszcze

niejasności. Teraz jestem tylko pewny tego, że to nie Manchetti zabił tych dwóch. Zrobił to ten człowiek, który zamierza zająć jego miejsce.

Starannie skrywając zranione uczucia, Samantha wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Marka.

- A co ... co w sprawie odnalezienia Angelique? -zapytała.

Spojrzał na nią ostro. Cofnęła rękę, czując jak napinają się jego mięśnie.

- Teraz nic nie można zrobić - odparł. - O'Connor posłał kogoś, aby śledził Manchettiego. Będziemy poinformowani, kiedy Angelique zechce się z nim skontaktować. Zresztą w jej apartamencie też jest jakiś agent.

Samantha uniosła brwi.

- W apartamencie? - powiedziała ze zdziwieniem.

- Myślałam, że Angelique mieszka w domu twojego ojca.

Marc odetchnął głęboko i wyjaśnił, że Angelique miała własne mieszkanie, którego istnienie utrzymywała w tajemnicy. Samantha czuła, że rani go rozmowa o byłej żonie. Słuchała bardzo uważnie i w jej umyśle zaczął rysować się pomysł pewnego planu. Starannie zapamiętała adres apartamentu Angelique.

- Wystarczy już o Angelique - uciął w pewnym momencie Marc. - Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, kto za tym wszystkim stoi. - Zamyślony popatrzył w przestrzeń. - Może w moich notatkach jest coś, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi, a co rzuciłoby trochę światła na tę sprawę. - Zwrócił się w stronę Raya.

- W nich znajdę też wszystkie swoje pozastanowe kontakty. O'Connor wspominał, że ci dwaj byli powiązani z morderstwami w Chicago i Nowym Jorku.

Samantha patrzyła na Marka szeroko otwartymi oczami. Wiedziała, że był reporterem, ale teraz słuchając go, zdała sobie sprawę, że nie był jakimś przeciętnym dziennikarzem, lecz kimś znaczącym w tym zawodzie. Na pewno wyrobienie sobie takiej pozycji kosztowało go wiele lat pracy.

- Ray, potrzebne mi są te notatki - powiedział Marc.

- Sądzę, że moje rzeczy zwrócono ojcu. Gdyby jednak tak się nie stało,

odbierz je od nich i przynieś je tutaj.

Samantha częściowo wyłączyła się z rozmowy. Wciąż myślała o Angelique, zabójcach i Manchettim. Czuła się częściowo odpowiedzialna za zniknięcie Angelique. Gdyby nie przekonywała Marka, że musi szczerze porozmawiać z byłą żoną, ta biedna, chora kobieta nadal byłaby w szpitalu. Spojrzała ukradkiem na Marka i zastanawiała się, czy jego chłód nie jest efektem takiego właśnie przekonania.

Przestań, powiedziała sobie ostro. Ten człowiek ma teraz naprawdę poważne problemy do rozwiązania. Zamiast rozczulać się nad sobą, mogłaby zastanowić się, jak pomóc w ich rozwiązaniu.

Było przecież coś, co wszyscy przeoczyli. Pamiętała, jak Marc odstąpił od podejrzeń w stosunku do Bobby'ego Landry z powodu jakiegoś telefonu. Uznał wtedy, że ktoś chciał, aby był przekonany o jego winie. Samantha poczuła nagłe olśnienie. Było jasne, że człowiek, który zlecił wtedy powiadomienie Marka, był tym, którego poszukiwali. Może należałoby znaleźć przede wszystkim tego, który telefonował.

- Zapominacie o telefonie - rzuciła.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią ze zdumieniem. Nagle w oczach Marka pojawił się błysk zrozumienia. Spojrzał na Raya.

- Ona ma rację - powiedział. - Ten telefon męczył mnie od samego początku.

- Czy wiesz, kto dzwonił? - spytał Ray.

- Jasne, że wiem. - Uśmiechnął się Marc. - Ta gnida nazywa się Arnie Turner i chyba wiem, gdzie go szukać.

Entuzjazm obu mężczyzn był tak wyraźny, że Samantha poczuła się niepotrzebna. Gdyby mogła sama coś uczynić, co pomogłoby w tej sprawie. Gdyby udało się jej odnaleźć Angelique i porozmawiać z nią, może przekonałaby żonę Marka, aby wróciła do szpitala. A może tylko się oszukiwała? Niby dlaczego ta kobieta z chorym umysłem miałaby posłuchać obcej osoby? Samantha zdawała sobie sprawę, że jest to ryzykowne przedsięwzięcie, ale postanowiła spróbować.

- Sam, czy słyszałaś?

Niecierpliwy ton głosu Marka wyrwał ją z zamyślenia. Zamrugła

kilkakrotnie oczami.

- Nie ... przepraszam - powiedziała. - Co się stało?

- Wychodzimy. Ray idzie po moje notatki, a ja spróbuję znaleźć Arnie Turnera. Zostań tutaj i nigdzie nie wychodź. - Podkreślał każde słowo, jakby przemawiał do dziecka.

Samantha patrzyła na niego w milczeniu. Jego zachowanie nie tylko ją raniło, ale także denerwowało. Miała ochotę odpowiedzieć: „Tak, kapitanie, rozkaz”, ale ugryzła się w język i uśmiechnęła z przymusem.

- Jasne - przytaknęła. - Możecie iść.

Patrzyła, jak opuszczają mieszkanie i umysł jej pracował w szalonym pośpiechu. Kiedy się wyniosą, będzie miała doskonałą okazję, aby przeprowadzić małe, prywatne śledztwo.

Po godzinie Samantha powoli podchodziła pod budynek, gdzie mieścił się apartament Angeli. Niemalże słyszała bicie własnego serca, a nagły atak strachu sprawił, że zadrżała w popołudniowym upale. Kilka minut po wyjściu mężczyzn przebrała się w ciuchy, które nosiła podczas porannej wycieczki. Jednak odnalezienie poszukiwanego miejsca zabrało jej więcej czasu, niż przypuszczała. Kilkakrotnie musiała zatrzymać się pytać przechodniów o drogę.

Rozejrzała się po wąskiej uliczce i poszła dalej. Marc wspominał, że O'Connor miał tu swojego człowieka. Pustą uliczką przechadzał się jakiś pijany włóczęga i jeśli prawdą były te informacje, na pewno był to przebrany agent. Dotarła do końca uliczki, skręciła za róg i zatrzymała się. Z tego miejsca mogła obserwować, sama nie będąc widziana. Uznała, że najlepiej będzie nie ruszać się stąd i czekać.

Po pewnym czasie zaczęła wątpić, czy jej pomysł miał jakiś sens. Drętwiała na widok każdego przejeżdżającego samochodu. Pusta uliczka sprawiała przygnębiające wrażenie. Zniknął nawet ten mężczyzna, który dotąd się tu kręcił. Słyszała różne opowieści o ulicach Nowego Orleanu i ze strachu naciągnęła głębiej kapelusz na głowę, jak gdyby mógł ją całą zasłonić.

Kilka osób pojawiło się na ulicy, ale żadna z nich nie wchodziła do obserwowanego budynku. Samantha uznała, że któryś z mężczyzn na

pewno wrócił już do domu i niepokoją się o nią. Nie wiedzieli przecież o jej postanowieniach. Winna im była wyjaśnienia. Przynajmniej tyle.

Niedaleko znalazła aparat telefoniczny. Z tego miejsca nadal doskonale widziała obserwowany budynek. Po wykręceniu numeru Marc odebrał telefon.

- To ja - powiedziała.

- Sam - wykrzyknął z ulgą w głosie. - Dzięki Bogu. Gdzie, u diabła, jesteś? Wydaje mi się, że miałaś nie wychodzić z domu. Miałaś...

- Znalazłeś Arnie Turnera?

- Nie. - Niemal wrzasnął w słuchawkę. - To nie ma znaczenia.

Powiedziałem ci, żebyś...

- Jestem na ulicy, przy której znajduje się mieszkanie Angelique...

- Do diabła! - przerwał Marc. - Co ty tam robisz? I co w ogóle sobie wyobrażasz? Masz tu natychmiast wracać!

Samantha zastanawiała się, czy nie posłuchać jego rady. Westchnęła zawiedziona. Nie był to najlepszy pomysł. Rzeczywiście niczego nie załatwiła i mogła wracać już do domu.

- Wracam - powiedziała, po czym dodała pośpiesznie. - Tylko nie sądź, że to z powodu twojego polecenia.

- Jeśli nie wrócisz za dwadzieścia minut, pojedę po ciebie.

Samantha rzuciła słuchawkę na widełki. Patrząc na pustą ulicę, myślała o tym, jaki Marc potrafi być czasem nieznośny.

Kątem oka ujrzała nadjeżdżającą taksówkę. Samochód zwolnił przy mieszkaniu Angelique, po czym zatrzymał się. Dziewczyna na moment wstrzymała oddech, po czym powoli wypuszczała powietrze. Gdy drobna ciemnowłosa kobieta wysiadła z taksówki, Samantha wiedziała, że to Angelique. Nawet z daleka można było dostrzec bogactwo i klasę.

Taksówkarz wręczył kobiecie białą torbę i odjechał, a Angelique weszła do budynku. Samantha wciąż stała nieruchomo i próbowała zebrać w sobie niezbędną odwagę, aby kontynuować swój plan. Przygotowana przemowa brzmiała logicznie, ale nie była pewna, czy to wystarczy.

Jednak musiała podjąć próbę. Dla dobra Marka i spokoju własnego

sumienia. Z wysiłkiem ruszyła z miejsca. Odnosiła wrażenie, że od mieszkania Angelique dzieli ją przestrzeń nie do pokonania, a nogi grzęzną w roztopionym asfalcie.

Zatrzymała się przed drzwiami i wyciągnęła rękę do dzwonka. Zawahała się jeszcze, lecz po chwili nacisnęła biały przycisk. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

- Tony! Och... - Kobieta spojrzała na nią ze zdziwieniem. - Pani nie jest... nieważne zresztą. Czego pani chce?

- Angelique? - Samantha próbowała się uśmiechnąć.

Kobieta znieruchomiła. W jej ciemnych oczach pojawił się wyraz podejrzliwej czujności.

- Czy ja panią znam? - zapytała. Samantha przecząco pokręciła głową.

- Nie, ale muszę porozmawiać z panią - powiedziała łagodnie.

Obawiała się, że Angelique zatrześnie jej drzwi przed nosem. Jednak kobieta stała bez ruchu i wciąż patrzyła na nią. Samantha zaczęła czuć się nieswojo pod jej badawczym spojrzeniem.

- Czy mogłabym wejść? - zaryzykowała pytanie. Angelique patrzyła na nią jeszcze przez moment, po czym wzruszyła drobnymi ramionami i otworzyła szerzej drzwi.

- Tylko na chwilę - powiedziała. - Nie mam zbyt wiele czasu. Oczekuję gościa na obiedzie.

Samantha przeszła do pokoju gościnnego. Tony. Antonio Manchetti. Gość na obiedzie. Czy to możliwe? Zerknęła na niewielki stolik w rogu, zastawiony był dla dwóch osób. Leżała na nim pusta torba i dwa pudełka z chińskim jedzeniem. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. W co też się wpackowała?

- A więc? - Niecierpliwy ton głosu Angelique wyrwał Samanthę z chwilowego szoku.

- Kto... - Odkaslnęła i spróbowała jeszcze raz. -Kto jest pani gościem? Czy Angelique przybrały twarde, zimny wyraz.

- A co to panią obchodzi? - rzuciła. - Kim pani, u diabła, jest?

Dźwięk dzwonka uniemożliwił Samancie odpowiedź. Ze zdumieniem obserwowała zmianę w Angelique. Nieustępliwe spojrzenie zastąpiła

puszka.

- Ktoś jest za drzwiami. - Usta Angelique niemalże nie drgnęły. - Czy mogłaby pani otworzyć?

Ona jest szalona, pomyślała Samantha. Za wszelką cenę musiała się stąd wydostać. Skinęła głową i powoli podeszła do drzwi. Postanowiła otworzyć je i uciekać co sił w nogach.

- Nie. Proszę zaczekać. - Usłyszała rozkazujący ton w głosie Angelique.
- Zmieniłam zdanie. Ja otworzę.

- Dobrze. Jak pani chce - odrzekła Samantha. - Skoro ma pani gościa, przyjdę innym razem.

- Nie sądzę.

Samantha poczuła, że coś twardego wbija się jej w kręgosłup. Ugięły się pod nią nogi.

- Odwróć się.

Samantha posłusznie wykonała polecenie. Ujrzała przed sobą lufę małego rewolweru.

- Usiądź tutaj. - Angelique wskazała głową krzesło. - I nie wchodź mi w drogę. Mam pewną sprawę do załatwienia. Potem możesz iść.

- Dlaczego obie nie pójdziemy? - zapytała Samantha łagodnie i spróbowała się uśmiechnąć. Rozejrzała się dokoła. - Możemy przecież wyjść tylnymi drzwiami.

- Nie będę głupia - warknęła Angelique. - Ja nie mogę wyjść, jeszcze nie teraz, ale... Wiesz co? Znowu zmieniłam zdanie. Idę tam - machnęła ręką w kierunku kuchni. - Tam są tylne drzwi. No, pośpiesz się, bo Tony cię zobaczy.

Schowwała rewolwer do kieszeni spódnicy. Samantha omal nie zemdląca z ulgi.

- On myśli, że zjemy razem obiad - dodała Angelique, jak gdyby próbując coś wytłumaczyć. Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi wejściowych.

Zachowanie Angelique nie miało sensu, ale Samantha była zbyt przestraszona, żeby się nad tym zastanawiać. Podeszła do drzwi. Pomyślała, że jeżeli zdąży zadzwonić, być może uda się jej sprowadzić

jakąś pomoc.

Kiedy dotknęła klamki, usłyszała głos Angelique.

- Wejść, Tony.

- Moja droga, wyglądasz wspaniale - odezwał się męski głos.

Samantha nie czekała dłużej. Szarpnęła za klamkę, otworzyła drzwi na oścież i zamarta. Stał tam olbrzymi mężczyzna z wycelowanym w nią pistoletem. Serce Samantha zaczęło walić jak oszalone. Powoli przeniosła wzrok na twarz mężczyzny. Położył palec na ustach i lekko machnął głową.

Agent FBI. Samantha natychmiast uznała, że musi to być człowiek O'Connora. Pokiwała ze zrozumieniem głową. Napięcie częściowo ją opuściło. Wycofała się w głąb kuchni, mężczyzna wśliznął się za nią. Kiedy zamknął zasuwę w drzwiach, znowu poczuła się niewyraźnie. Zastanawiała się, dlaczego to zrobił.

Nie musiała długo czekać na odpowiedź. Nagle mężczyzna wepchnął pistolet pod żebro dziewczyny i zacisnął ramię na jej szyi. Złapała go za rękę, próbując rozluźnić nieco morderczy uścisk. Otworzyła usta do krzyku, lecz mężczyzna szturchnął ją pistoletem w żebra.

- Cicho bądź - wyszeptał. - Jeżeli krzykniesz, zabiję cię.

Samantha zastanawiała się, dlaczego tych dwoje w pokoju obok nie słyszy bicia jej serca. Miała wrażenie, że lada moment wyskoczy ono z jej piersi.

Mężczyzna zaciągnął ją do drzwi, które wychodziły na pokój. Stąd Samantha doskonale słyszała rozmowę.

- Mam dla ciebie niespodziankę, Tony.

- Odłóż ten rewolwer, Angelique. - Manchetti mówił spokojnym, opanowanym głosem.

- Nie mogę, Tony.

- Przynajmniej porozmawiajmy o tym. - Wciąż nie zdradzał oznak zdenerwowania.

- Dobrze - odrzekła Angelique. - Byle nie za długo. Jedzenie wystygnie.

- Jedzenie? O czym ty, u diabła, mówisz?

- Nie wrzeszcz. To niegrzeczne - wydarła się Angelique. - A teraz siadaj, sukinsynu, albo od razu cię zastrzelę.

- Dobrze - złagodniał Manchetti. - Tylko się nie denerwuj.

Samantha usiłowała przełknąć ślinę, ale gardło miała suche jak pieprz. Liczyła na to, że uzbrojony napastnik nie jest zbyt nerwowy.

- Wiem o wszystkim, co zrobisz, Tony.

- A co takiego zrobiłem, moja maleńka?

- Nie nazywaj mnie tak, ty sukinsynu. Kazałeś zamordować moich rodziców, kto wie, może sam ich zabiłeś.

Przez dłuższą chwilę Samantha nie słyszała niczego z wyjątkiem bicia własnego serca. Milczenie przerwała Angelique. .

- Odpowiedz! Sam to zrobisz? - krzyknęła.

Ponownie zapadła cisza. Samantha modliła się w duchu o to, żeby Marc dotrzymał słowa i przyjechał tu po nią.

- Nie, nie sądzę. - Angelique sama odpowiedziała na swoje pytanie. - Przecież taki tchórz jak ty musi mieć kogoś od brudnej roboty.

- Ja ci pokażę, ty dziwko! - rozległ się nagle ryk Manchettiego.

Słysząc było wystrzał, a w chwilę potem drugi. Samantha jęknęła mimowolnie, a mężczyzna ruszył nagle do przodu, pociągając ją za sobą. Gdy wpadli do pokoju, oczy Manchettiego rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Co, u diabła... - zaczął. Nigdy jednak nie zdołał dokończyć.

Prześladowca Samantha wyciągnął pistolet spod jej zębra, wycelował w Manchettiego i wypalił.

Samantha wiedziała, że musi coś zrobić, i to szybko. Gdy Manchetti upadł na podłogę, poczuła, że mężczyzna rozluźnił się. Pomyślała, że jeśli ma umrzeć, to umrze walcząc.

Nagłe walenie do drzwi zaskoczyło ich oboje. Mężczyzna zaklął. Samantha usłyszała stłumiony głos Marka. Wykrzykiwał jej imię i to dodało jej odwagi. Szarpnęła ręką do przodu, zgięła łokieć i z całej siły uderzyła prześladowcę w splot słoneczny. Puścił ją natychmiast i zwinął się z bólu. Samantha rzuciła się w stronę kuchni.

- Marc! On ma broń! - krzyknęła co sił w płucach.

Wiedziała, że tylko na moment unieszkodliwiła mężczyznę - już zdążył

się wyprostować. Gorączkowo szukała czegoś, czego mogłaby użyć jako broni. Wiedziała, że nie ma po co biec do tylnych drzwi - kule z pewnością są szybsze od niej. Jej jedyną szansą była walka... lub ukrycie się gdzieś. Zobaczyła drzwi od spiżarni. Gdy usłyszała kolejne wystrzały, nie zastanawiała się dłużej. Wśliznęła się do spiżarni i zamknęła drzwi. W chwilę później usłyszała czyjeś kroki. Ktoś był w kuchni. Wstrzymała oddech w obawie, że najłżejszy hałas spowoduje jej wykrycie. Nagle rozległ się piekielny hałas, potem przekleństwa, aż wreszcie trzaśnięcie drzwiami. Zapadła cisza. Samantha z trudem powstrzymywała płacz. Nie miała pojęcia, co robić, nie wiedziała, kto był martwy - Marc czy też zabójca Manchettiego.

- Sam! Gdzie jesteś?

To głos Marka, pomyślała. To głos Marka i on żyje, zatkała ze wzruszenia i popchnęła drzwi.

- Tu jestem, Marc! - krzyknęła. - Tu jestem.

Marc przebiegł przez kuchnię i wziął dziewczynę w ramiona.

- Och, Marc - płakała. - Myślałam... myślałam, że on cię zabił.

Zastrzelił Manchettiego i chciał zastrzelić mnie.

- Cicho, cicho - szepnęła i przytuliła ją mocniej. - Teraz jesteś bezpieczna.

Samantha odsunęła się odrobinę.

- A co... z Angelique i Manchettim? - zapytała. Marc powoli potrząsnął głową. Przez jego twarz przebiegł wyraz cierpienia.

- Nie żyją, Sam - powiedział. - Oboje nie żyją. Przed oczyma Samanthy stanęła nagle twarz Angelique.

- I Nie - jęknęła. - Biedna Angelique. To wszystko moja wina. Niech mi Bóg przebaczy. To moja wina...

Marc otworzył usta, by zaprotestować, lecz nieoczekiwane głosy w pokoju gościnnym sprawiły, że zamilkł.

- Dureaux, gdzie u diabła jesteś? Samantha zadrżała.

- W porządku Sam. To O'Connor - Marc puścił ją i odkrzyknął.

- Tutaj. Sam i ja jesteśmy w kuchni.

Wściekły O'Connor wpadł do pomieszczenia z żądzą mordy w oczach.

- Co u diabła robicie? Powiedziałem, żebyście się ukrywali. Dobry Boże, człowieku, ja już mam dwa trupy-

- Niech pan się zamknie, O'Connor, i pozwól mi wytłumaczyć. - O'Connor zdawał się nie słyszeć Marka i dalej ciągnął swoją tyradę.

- Co to ma być? - zapytał z nieprzyjemnym wyrazem twarzy. - Pana kuzyn opłakuje obok swoją kochankę, to znaczy pana żonę, a pan jest tu ze swoją przyjaciółką. Co się dzieje?

Spojrzenie Samantha pobiegło ku Markowi. Był blady jak płótno. Jego podejrzenia okazały się słuszne - to z powodu Jean Claude'a Angelique wystąpiła o rozwód.

- Dosyć - powiedział ostrzegawczym tonem.

- Dosyć? O nie! - O'Connor potrząsnął głową. - Czy wy w ogóle macie pojęcie, jak to wygląda. Gdyby Manchetti nie leżał tu z bronią w ręce, pomyślałbym, że to pan i ta kobieta ją zabiliście.

Marc zacisnął pięści. Zrobił krok w kierunku O'Connora, jednak Samantha złapała go za przegub.

- Nie, Marc - powiedziała błagalnie. - Nie rób tego. Bez słowa wyrwał rękę i wyszedł z kuchni. Drżąc z wściekłości, Samantha odwróciła się do O'Connora.

- Jest pan obrzydliwy - wybuchnęła. - Jak śmie pan odzywać się do niego w ten sposób? Powinien pan być po jego stronie. To jeden z pana ludzi zastrzelił Manchettiego. Gdyby nie było tu Marka, zabiłby i mnie.

- Zaraz, zaraz. - O'Connor był szczerze zaskoczony. - Proszę się uspokoić i powtórzyć. To, co pani mówi, nie ma sensu.

- Powiedziałam, że to jeden z pańskich ludzi zabił Manchettiego. Wszedł tylnymi drzwiami i trzymał mnie na muszce. Kiedy Manchetti zastrzelił Angelique, on zabił Manchettiego.

- To niemożliwe. - O'Connor pokręcił głową. - Obaj moi ludzie są na zewnątrz. Jeden przebrany za włóczęgę, a drugi, z tyłu, opatruje głowę. Sądzę, że to Marc go tak urządził.

- Marc nie mógł tego zrobić - powiedziała Samantha. - Wszedł tu frontowymi drzwiami.

O'Connor wyglądał tak, jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

- A więc jest dokładnie tak, jak myślałem - westchnął. - W tę sprawę wmieszany jest ktoś jeszcze.

Marc słyszał, jak Samantha wrzeszczy na O'Connora. Nie mógł jednak myśleć o niczym innym, niż o zdradzie Jean Claude'a. Gdy wszedł do pokoju, zauważył stojącego w drzwiach ojca. Ogarnął wzrokiem resztę pomieszczenia i nagle ugięły się pod nim kolana.

- Dobry Boże - wyszeptał. Widział ciała, kiedy tu wpadł, ale był wtedy zbyt przejęty tym, co się dzieje z Samantha, aby zdać sobie w pełni sprawę z sytuacji.

Na dźwięk jego głosu klęczący przy ciele Angelique Jean Claude uniósł wzrok. Marc zamrugał kilkakrotnie, aby pozbyć się uczucia kołysania. Przez chwilę stał nieruchomo i wpatrywał się w martwe ciało swojej żony. Angelique w dziwacznej pozycji leżała obok przewróconego krzesła. Markiem wstrząsnął dreszcz. Spojrzał na drugie ciało. Spod zwiniętego w kłębek Manchettiego wyływała strużka krwi.

- Ona nie żyje. Ten sukinsyn ją zabił - powiedział Jean Claude łamiącym się głosem.

W Marku narastało uczucie gniewu. Przypomniał sobie ucieczkę, ukrywanie się, niebezpieczeństwo. Cały jego świat przewrócił się do góry nogami z powodu Angelique, Jean Claude'a i Antonio Manchettiego. Nagle gniew przerodził się w niepohamowaną wściekłość. Angelique i Machetti byli martwi, ale Jean Claude wciąż żył.

Nieoczekiwanie runął na kuzyna. Obaj upadli na podłogę, a Marc rąbnął pięścią w twarz Jean Claude'a. Uderzał systematycznie, raz po raz. Napięcie z ostatnich dwóch tygodni znalazło nareszcie ujście.

Samantha i O'Connor usłyszeli hałas i jednocześnie wpadli do pokoju.

- Nie, Marc! - przeraźliwie krzyknęła dziewczyna. - Przestań! Zabijesz go.

Marc poczuł, że odciągają go czyjeś ręce. Jak przez sen słyszał krzyki ojca i jęk Jean Claude'a. Samantha patrzyła w przerażeniu, jak próbuje wyrwać się dwóm krzepkim policjantom.

- Przestań. - Podbiegła do niego. Oddychał z trudem. Zadrżała z

niepokoju. - On nie jest tego wart. Angelique nie była tego warta. Zbyt wielu ludzi już zginęło.

Marc niespodziewanie zeszywniał. Gdy spojrzał na nią, jej oczy wciąż pełne były wściekłości.

- Trzymaj się od tego z daleka, Sam - powiedział ochryłym głosem. - W ogóle nie powinno cię tu być. Poczowała się, jak gdyby uderzył ją w twarz. Miała wrażenie, że pęknie jej serce. Co gorsza, czuła się także niczym natrętny intruz. Chcąc zachować resztki godności, zagryzła wargę, aby się nie rozplakać. Odwróciła się i wyszła z mieszkania.

RRS

19

Samantha siedziała w kuchni Raya i bezmyślnie przeglądała notatki Marka. Scena w mieszkaniu Angelique nie dawała jej spokoju. Chociaż przez cały czas przeczuwała, że ewentualny związek z Markiem skazany jest na przegraną, pozwoliła jednak na to, aby uczucia wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. Pokochała go... i było to uczucie równie źle ulokowane jak w przypadku Clarka.

Jak czasem powtarzają się niektóre sytuacje, pomyślała. Miłość do Clarka przyniosła jej tylko rozpacz i upokorzenie. Nie chciała wprawdzie podejmować walki o niego, ale i tak nie miała szans w rywalizacji z jego ciężarną żoną. Teraz znalazła się w podobnym położeniu. Znowu przegrała, chociaż tym razem rywalką była martwa już żona Marka. Wciąż nie mogła zapomnieć słów, które usłyszała od niego w mieszkaniu Angelique.

Kiedy Marc nieco ochłonął i zdał sobie sprawę ze swojego wybuchu, natychmiast ją przeprosił. Mimo że jego żal był szczery, nadal czuła się zraniona.

Powinna teraz przestać o tym myśleć i skupić się na bieżących sprawach. Jeszcze przed przyjazdem do domu Raya, Marc prosił ją o przejrzenie jego materiałów dotyczących zabójstwa gubernatora. Miał nadzieję, że może znajdzie jakiś ślad - nazwiska lub okoliczności, które pomogą O'Connorowi podążać nowym tropem.

Samantha usłyszała ogłós kroków. Uniósła głowę i ujrzała Raya. Usiadł na krześle i patrząc na nią, kręcił w zamyśleniu głowę.

- Trudno w to uwierzyć - powiedział. Człowiek, który jest za to wszystko odpowiedzialny, który opracował ten piekielny plan, nadal znajduje się na wolności.

Samantha zadrżała na myśl o ciągle jeszcze realnym zagrożeniu. Odmówiła przecież zdecydowanie O'Connorowi, kiedy upierał się, że musi ją gdzieś ukryć. Marc poparł jej protest, dowodząc na podstawie

własnych doświadczeń, że ochrona policji wcale nie gwarantuje bezpieczeństwa. Twierdził, że najlepiej będzie, jeżeli zatrzyma się u Raya. Długo trwała wymiana argumentów, lecz w końcu O'Connor ustąpił. Umówili się, że następnego ranka osobiście zawiezie ją na komendę policji, aby przejrzała tam zdjęcia kilku podejrzanych. Miał nadzieję, że uda się jej zidentyfikować mężczyznę, który zabił Manchettiego.

Zaczęła przerzucać materiały Marka. Najnowsze artykuły i zdjęcia dotyczyły wyborów stanowych. Samantha wspomniała moment, w którym po raz pierwszy usłyszała o zamordowaniu gubernatora. Było to podczas pierwszej nocy na „Jenny”, kiedy Marc był nieprzytomny, a ona zbyt zmęczona i przerażona, aby przywiązywać znaczenie do słów wypowiedzianych w gorączce.

Samantha zamrugła oczami, aby odpędzić napływające do oczu łzy. Odsunęła wspomnienia i zaczęła się zastanawiać, jak radzi sobie Marc w obecnej sytuacji. Prasa dowiedziała się już o ostatnich zabójstwach i dziennikarze domagali się szczegółów. O'Connor wyraził zgodę na poinformowanie prasy, ale Edward Dureaux zwlekał z wyjaśnieniami do momentu skontaktowania się z synem.

Wydarzenia toczyły się w błyskawicznym tempie, ale życie Samantha biegło już innym torem, niż życie Marka. Za każdym razem, kiedy wspominała o nim, czuła się bliska płaczu.

- Och, babciu - westchnęła w duchu. - Jaka szkoda, że cię już nie ma. Tak bardzo chciałabym, abys mi poradziła, co mam robić.

Skrzypnięcie krzesła wyrwało ją z zamyślenia. Ray zmierzał w stronę drzwi.

- Pójdę sprawdzić zamki - powiedział. - Nie wychodź stąd.

Samantha uśmiechnęła się z wysiłkiem i wróciła do swoich zajęć. Wyjęła plik zdjęć opatrzonych podpisem „Kampania wyborcza Landry'ego”. Przeglądała je bez specjalnego zainteresowania, aż nagle jedna z fotografii przyciągnęła jej uwagę. Uśmiechnięty Bobby Landry stał na platformie i ścisnął dłoń jakiegoś mężczyzny. Samantha pochyliła się i uważnie patrzyła na zdjęcie. Mężczyzna, którego rękę ujmował

kandydat na gubernatora, był tym człowiekiem, który z zimną krwią zamordował Antonio Manchettiego.

Ręka Samantha zadrżała i z odrazą odrzuciła zdjęcie.

- Ray - krzyknęła. - Wiem, kto to zrobił. Ray błyskawicznie wpadł do pokoju.

- Co się stało? - zapytał przerażony.

- Patrz tutaj. - Wskazała zdjęcie. - Na tego człowieka obok Landry'ego. To on zabił Manchettiego. Słyszał, jak drży jej głos. Jednak mimo strachu była gotowa do działania.

- Musimy natychmiast zadzwonić do Marka - powiedziała.

Ray podniósł zdjęcie i przyglądał się w milczeniu.

- Nie wiem, kim jest ten mężczyzna, ale sądzę, że Marc go rozpozna. - Sięgnął po słuchawkę i po kilku sekundach uzyskał połączenie. - Dora? Tu Ray. Samantha, to znaczy pani Bradford, musi rozmawiać z Markiem.

Przekazał słuchawkę Samancie i niemal natychmiast odezwał się Marc.

- Co się stało? - Wyraźnie słyszała nutkę strachu w jego głosie. - Czy dzieje się coś złego? Jak się czujesz - Zasypywał ją pytaniami.

- Wszystko w porządku - zapewniła go. Ledwie mogła mówić z wrażenia. - Przeglądałam twoje notatki i znalazłam zdjęcie mężczyzny, który zabił Manchettiego.

- Spokojnie. Spokojnie, Sam. Czy jesteś absolutnie pewna tego? - zapytał.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości - powiedziała z przekonaniem. - Stoją na jakiejś platformie z Bobby Landry i wymieniają uścisk dłoni.

Po drugiej stronie zapadło długie milczenie i Samantha zaczęła się zastanawiać, czy połączenie nie zostało czasem przerwane.

- Marc? - krzyknęła. - Słyszysz mnie?

- Tak... Zastanawiam się. Posłuchaj, ja nie mogę przyjść - mówił teraz pewnym, mocnym głosem. - Ci cholerni reporterzy są wszędzie i obawiam się, że pójdą za mną. Wyślę do was O'Connor.

Za niecałą godzinę O' Connor zjawił się w mieszkaniu Raya.

- Czy jest pani całkowicie pewna, że to ten człowiek? - Przeszył ją

badawczym spojrzeniem.

- To z całą pewnością on - odparła stanowczo.

- Do diabła! - O'Connor z niedowierzaniem pokręcił głową. - Ten człowiek to Joe Dietrich. Prowadził kampanię kongresmena Landry'ego. Lepiej żeby była pani absolutnie pewna, zanim zacznę go ścigać.

Samantha zacisnęła pięści w bezsilnej złości.

- Jestem pewna - powiedziała nie spuszczać wzroku z mężczyzny.

Samantha spojrzała na zegar w kuchni. Minęła północ. O'Connor wyszedł już dawno, a Marc nadal nie dzwonił. Nie mogła usiedzieć spokojnie. Wciąż przemierzała przestrzeń od jednej ściany do drugiej. Oczekiwanie doprowadzało ją do szaleństwa.

Nagły dzwonek telefonu sprawił, że podskoczyła nerwowo, lecz zaraz chwyciła za słuchawkę.

- Halo! - krzyknęła.

- Sam, to ja. - Samantha odetchnęła z ulgą, słysząc głos Marka. - O'Connor już go ma.

Odmówiła w duchu krótką modlitwę dziękczynną i w napięciu słuchała dalszych wyjaśnień.

- Na początku Dietrich zaprzeczył wszystkiemu. Jednak kiedy O'Connor pokazał mu zdjęcie i poinformował, że został przez ciebie rozpoznany, facet załamał się i zaczął zeznawać. Sam, ja... - Głos Marka załamał się nagle. Samantha słyszała jego urywany oddech.

- Marc, wszystko w porządku - powiedziała łagodnie. - To już minęło.

- Nie. Nic nie jest w porządku. Prasa niedługo dowie się, gdzie jesteś i zaczną cię zamęczać. Już i tak zbyt wiele przeszłaś z mojego powodu, żeby narażać cię jeszcze na wścibstwo dziennikarzy. Wciąż myślę o tym, że gdybym wszystko inaczej rozegrał, Angelique żyłaby teraz. Gdybym pierwszego dnia odstawił cię na brzeg, nie miałabyś z tym nic wspólnego.

Samantha próbowała znaleźć odpowiednie słowa, aby przekazać mu swoje uczucia. Pragnęła wyznać, że go kocha i dołoży wszelkich starań, aby złagodzić jego cierpienia. Nie mogła jednak tego zrobić. Nie w tej sytuacji. Prawdopodobnie nigdy to nie będzie możliwe, pomyślała. Nie

miała prawa. Wciąż dzieliła ich Angelique. Najpierw była jego żoną, a teraz pozostała dla Marka nieustannym wyrzutem sumienia z powodu winy, jaką obarczał się za jej śmierć.

Nie znalazła niczego, co mogłaby mu powiedzieć na pocieszenie. Wyznanie miłości niepotrzebnie skomplikowałoby sytuację. Pozostało jednak coś, co mogła dla niego uczynić. Mogła zniknąć z jego życia i oszczędzić mu kłopotów związanych ze swoją osobą.

- Marc, nie martw się o mnie. Wszystko będzie dobrze.

- Sam - przerwał. - Musisz wyjechać. Inaczej prasa niebawem dotrze do ciebie. Uwierz mi. Koniecznie musisz się trzymać od nich z daleka. Ja wiem, do czego są zdolni. Potrafią zadreńczyć człowieka.

Samantha nie mogła wykrztusić słowa. Chociaż przed chwilą sama zdecydowała, że odejdzie z jego życia, to teraz potraktowała jego rady jak chęć pozbycia się jej osoby. Odebrała to jak celnie wymierzony policzek. Poczucie odtrącenia było tak bolesne, że wydawało się, że nie będzie mogła tego znieść.

Widocznie na początku źle go zrozumiała. Brała jego pożądanie za miłość. Przekonywał ją wprawdzie, że jest między nimi coś ważnego, ale na pewno nie było to uczucie, którego ona pragnęła. Poza tym połączyła ich szczególna sytuacja. Zagrożenie i wspólna walka o przeżycie zbliża ludzi. Teraz niebezpieczeństwo już nie istniało, a ona znów była zakochana w niewłaściwym mężczyźnie. W mężczyźnie, który chciał jej tylko na chwilę.

Rozpierała ją zraniona duma.

- Nie musisz się o mnie martwić - powiedziała zimnym, obcym głosem. - Sama potrafię o siebie zadbać.

- Nie wtedy, kiedy możesz mieć do czynienia z tego rodzaju ludźmi - odrzekł. - Nie zapominaj o tym, że dobrze ich znam. Wyjedź gdzieś na kilka tygodni. Przez ten czas wygaśnie zainteresowanie twoją osobą. Znajdą sobie nową ofiarę. A ja ... ja spotkam się z tobą później...

- Nie! - krzyknęła gwałtownie. - Nie ma powodu, żebyś to robił. Ja nie jestem Angelique. Nic między nami nie było i nie musisz czuć się zobowiązany do opieki nade mną. Nie musisz być takim cholernym

dżentelmenem. Powiedziałam już, że sama potrafię o siebie zadbać.

Zapadła długa cisza. Kiedy wreszcie Marc przemówił, jego cichy głos zdradzał tłumione napięcie.

- Nigdy, powtarzam, nigdy nawet przez moment nie pomyślałem, że masz coś wspólnego z Angelique - mówił coraz głośniej. - Poza tym moje dżentelmeńskie zasady nie mają nic wspólnego z troską o ciebie. To nie poczucie obowiązku sprawia, że chcę cię chronić. Próbowałem powiedzieć ci to, jak byliśmy na „Jenny”, ale ty nie chciałaś słuchać. Kocham ...

- Nie, nie mów tego - przerwała. Obawiała się, że straci panowanie nad sobą, jeśli wysłucha jego wyznań. - Wszystko jest teraz zbyt skomplikowane. Wspólne przeżywanie niebezpieczeństwa zbliża ludzi. Jeszcze nie możesz być pewien swoich uczuć. Ja zresztą też nie. To Angelique była twoją żoną. Ja ...

- Angelique nie żyje. - Marc niemal krzyczał. - Ani ty ani ja nie życzyliśmy jej śmierci i naprawdę jest mi przykro. Była chorą, umęczoną kobietą, ale naprawdę nie miała i nie ma nic wspólnego z tym, co do ciebie czuję.

- Och, Marc - jęknęła i wierzchem dłoni wytarła łzy, spływające po policzkach. - Czy ty nie widzisz, że Angelique nadal nas rozdziela. Gdybym nie zachęcała cię, abys z nią porozmawiał, gdybym przestała się wtrącać, być może żyłaby jeszcze. Jesteś teraz zbyt oszołomiony wydarzeniami, żeby wiedzieć, czego naprawdę chcesz. Ja także czuję się zagubiona... Muszę już kończyć.

- Nie odkładaj słuchawki!

Samantha przerwała połączenie. Niemał natychmiast telefon ponownie się rozdzwonił. Nie zwracając uwagi na natarczywe dźwięki, poszła do swojego pokoju.

Mogła myśleć tylko o wyjeździe do domu. O'Connor będzie musiał poszukać gdzie indziej odpowiedzi na swoje pytania. Gdyby pozostała, mogłaby ulec naleganiom Marka, a potem pewnie żałowałiby tego oboje.

Dziewczyna przestała płakać i próbowała rozsądnie pomyśleć.

Rozejrzała się po pokoju. Potrzebne jej były tylko pieniądze na taksówkę. Zdecydowała, że weźmie kwotę, która pozostała z pieniędzy Marka. Zwróci mu je później pocztą. Przy odrobinie szczęścia może jeszcze tej nocy będzie spała we własnym łóżku.

Samantha złapała tenisówki i powoli zaczęła zakładać je na nogi.

- Co robisz? - Ray niespodziewanie pojawił się w drzwiach.

- Zakładam buty - warknęła. - Czy to tak trudno odgadnąć?

- A po co? - Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Jadę do domu.

- Samantho, bądź rozsądna. Jest bardzo późno. Zaczekaj przynajmniej do rana.

- Jadę teraz - powiedziała.

- Jesteś zdecydowana?

- Tak. Jadę do domu, do Pass Christian.

- Przykro mi, ale nie mogę ci na to pozwolić.

- Przecież nie możesz mnie ... - Uniosła głowę, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Błyskawicznie przebiegła przez pokój i chwyciła za klamkę, ale było już za późno. Wprost nie mogła uwierzyć, że Ray ją uwięził.

Zaczęła walić pięściami w drzwi. - Rayu Fielding, otwórz w tej chwili! - krzyknęła. - Jeżeli tego nie zrobisz, zacznę wrzeszczeć.

- Jeśli będziesz krzyczała, zwiążę cię i zaknebluję - usłyszała głos Raya.

- Nie ośmielisz się. - Cofnęła się nieco od drzwi.

- Bardzo bym tego nie chciał, ale wierz mi, że zrobię to, jeżeli mnie zmusisz. Nie mogę cię wypuścić. Dzwonił Marc. Obawiał się, że zechcesz wyjechać. Obiecałem, że zatrzymam cię do jego powrotu.

- I co wtedy?

- Wtedy będzie miał szansę wytłumaczyć ci wszystko, zanim wypadniesz stąd oszalała ze złości. Ten facet cię kocha.

- On sam nie wie, co czuje - odpaliła. - A ja dziś w nocy będę w domu - dodała szeptem i podeszła do okna.

- Gdybyś miała jakieś pomysły dotyczące wyjścia oknem, to wiedz, że nic z tego. Tyle razy je malowano, że na pewno się nie otworzy.

- Niech cię diabli- mruknęła i zacisnęła pięści.

- Pamiętaj, cały czas będę się tu kręcił. - Jego głos powoli cichł.

Samantha chwyciła za klamkę okienną i pociągnęła z całej siły. Ray miał rację - nie dało się otworzyć. Spróbowała jeszcze raz, znów bez skutku.

- Musi być jakieś wyjście - szepnęła i przejechała palcem po framudze.

Gdyby tylko udało jej się zdrzeć grubą warstwę farby, z pewnością zdołałaby otworzyć okno. Nóż, młotek lub dłuto idealnie nadawałyby się do tego celu.

Następnych kilkanaście minut spędziła na przeszukiwaniu pokoju. Wkrótce znalazła rozwiązanie - wieszak na ubrania. Wyprostowała metalową część i zaczęła zdrapywać farbę. Praca postępowała powoli. Kilka minut później odłożyła wieszak i zacisnęła dłoń na klamce. Pociągnęła z całej siły. Pot spływał jej na czoło, ramiona bolały, lecz w końcu okno zaczęło ustępować. Nagle otworzyło się z suchym trzaskiem i Samantha upadła na ziemię.

Czas naglił. W pośpiechu wepchnęła pieniądze do kieszeni szortów i stanęła na parapecie. Gdy jej nogi dotknęły ziemi po drugiej stronie, nie obejrzała się za siebie. Szybkim krokiem ruszyła wzdłuż słabo oświetlonej ulicy. Liczyła na to, że za rogiem uda jej się złapać taksówkę. Nagle stanął przed nią potężnie zbudowany mężczyzna. Krzyknęła z przerażenia, ale mężczyzna zatkał jej usta dłonią i zaciągnął w boczną alejkę. Samantha postanowiła walczyć, strach dodał jej sił. Kopała, drapała, wyginała się w najdziwniejszych pozycjach, lecz wszystko na próżno, mężczyzna był zbyt silny.

- Pani Bradford... Auu! -jestem z FBI. Samantha znieruchomiła.

- Jeśli obieca pani, że nie będzie krzyczeć, puszcę panią, zgoda?

Skinęła energicznie głową. Mężczyzna powoli wypuścił ją z objęć. Błyskawicznie odskoczyła o krok.

- Proszę mi pokazać jakiś dowód - zażądała. W ręce mężczyzny natychmiast pojawiła się odznaka.

- Po co to wszystko? - spojrzała na niego. Agent wziął ją pod ramię i

ruszyli wzdłuż alejki.

- Patrick O'Connor wyznaczył mnie do obserwacji pani - wyjaśnił. - Nie chciał, żeby dopadła panią prasa. Najlepiej będzie, jeżeli od razu się z nim spotkamy.

Wstawał świt, gdy Samantha wreszcie dotarła do domu. Gdy agent odjechał, natychmiast położyła się do łóżka. Choć wciąż myślała o tym, czego się właśnie dowiedziała, jej ciało było wyczerpane i wręcz błagało o odpoczynek.

Domyślała się większości tego, co powiedział jej Patrick O'Connor. To Joe Dietrich chciał zająć miejsce Manchettiego. Manchetti był rozczarowany postępowaniem gubernatora i nakazał Dietrichowi zwerbować Landry'ego na jego miejsce. Wynajął także płatnych morderców spoza stanu, aby przygotować teren dla Landry'ego - nie przyszło mu do głowy, że Dietrich będzie miał własne ambicje polityczne. Dietrich wiedział o zabójcach i doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli zidentyfikuje ich naoczny świadek, wszystkie tropy będą prowadziły do Manchettiego.

Pewna sprawa wciąż nie dawała spokoju Samancie. Jaki udział w tym wszystkim miała Angelique? Gdy w końcu odważyła się zapytać, O'Connor tylko pokręcił głową.

- Czysty przypadek - odrzekł krótko.,

Angelique nie miała nic wspólnego z Dietrichem. Gdy złożyła pozew o rozwód, rzekła się alimentów. Jednak kiedy zerwał z nią Jean Claude, wizja biedy doprowadziła ją niemal do szaleństwa. Jedynym wyjściem stało się dla niej zabicie Marka, zanim rozwód wejdzie w życie. Jako wdowa miała szanse otrzymać pieniądze z ubezpieczenia.

O'Connor zobowiązał Samanthę do nieudzielania wywiadów przed oficjalną konferencją prasową. Przystała na to bez oporów, postawiła jednak pewne warunki.

O'Connor nie mógł nikomu powiedzieć, dokąd pojechała.

Pomimo olbrzymiego zmęczenia, Samantha nie była w stanie zasnąć. Pomyślała, że spacer po plaży dobrze jej zrobi. Kilkanaście minut później zanurzała stopy w ciepłym piasku i patrzyła z zachwytem na

bladoróżowe niebo. Nad horyzontem zaczynał budzić się dzień. Wkrótce pojawiło się olbrzymie słońce i zaczęło codzienną wędrówkę.

Uwagę Samantha przykuł nagle biały żagiel na morzu. Nogi ugięły się pod nią, a oczy napełniły łzami. Uklękała na piasku. Wszystkie wydarzenia powróciły z niespodziewaną siłą, krusząc na kawałki mur, który zbudowała, by chronić swoje uczucia. Najgorsze było to, że zdawała sobie sprawę ze swojej miłości do Marka i z tego, że już go więcej nie zobaczy.

Nie miała pojęcia, jak długo tam klęczała, kołyszając się monotennie. Gdy w końcu znalazła siłę, żeby wstać, wiedziała, że musi wyjechać. Nie może zostać w domu babci, dopóki nie zdoła oswoić się z pustką, która będzie jej towarzyszyła przez resztę życia.

Następnego dnia Samantha spakowała walizki i taksówką pojechała na najbliższe lotnisko.

Marc spróbował otworzyć oczy. Promienie słońca wpadające do pokoju czyniły to zadanie niemal niemożliwym. Przez moment zastanawiał się, gdzie jest, aż w końcu przypomniał sobie, że w jednym z pokoi gościnnych w domu ojca. Marc jęknął głośno. Nawet najlżejszy ruch uruchamiał werble w jego głowie. Przysięgł sobie, że nigdy więcej nie będzie miał kaca.

Przypomniało mu się, jak wczoraj zobowiązał Raya, aby przypilnował Samanthę, dopóki on nie wróci. Po zakończeniu rozmowy Marc poszedł do biblioteki, gdzie czekała butelka burbona. Musiał się napić, był wściekły, że Edward pozwolił Jean Claude'owi zostać, ale nie miał nic do gadania. W końcu dom należał do ojca.

Marc powlókł się do łazienki i wziął prysznic, który go nieco otrzeźwił. Nagle przypomniała mu się czekająca go dzisiaj konferencja prasowa. Zamknął oczy i jęknął głośno. Jedyną pociechą było to, że potem pojedzie prosto do Samantha. Pomyślał, że sprawdzi, co się z nią dzieje, i wykręcił numer mieszkania Raya.

- Ray, tu Marc... - zaczął.

- Najwyższy czas, żebyś zadzwonił - przerwał mu przyjaciel. -

Próbowałem cię złapać przez cały rano, ale ten cholerny telefon był

zajęty.

- Czy coś nie tak z Sam? Pozwól mi...

- Nie ma jej. Marc zdrętwiał.

- Jak to nie ma?

- Ano nie ma. Zniknęła, rozpułyła się.

- Jak i kiedy zniknęła? - zapytał nerwowo Marc.

- Do diabła, nie wiem.

- Jak to nie wiesz? - ryknął Marc. - Ja...ja...

- Na litość boską, człowieku, powiedz to wreszcie!

- Ubiegłej nocy zamknąłem ją w pokoju...

- Co zrobisz? - Marc nie dowierzał własnym uszom.

- Słyszałeś! - wrzasnął Ray. - Zamknąłem ją w jej pokoju, musiała uciec przez okno. Gdy dziś rano poszedłem sprawdzić, co się z nią dzieje, nikogo nie było.

Markowi odebrało mowę. To było niewiarygodne.

Wprawdzie prosił Raya, aby zatrzymał Samanthę, ale nie przypuszczał, że jego przyjaciel posunie się aż tak daleko..Co też ona myślała? Gdzie była teraz? Przecież nie znała Nowego Orleanu, nie miała pojęcia, co może się tu przydarzyć samotnej kobiecie w nocy.

- Ray, ja muszę ją odnaleźć. Jeśli coś się stało... - Poczuł, jak strach chwyta go za gardło, przez chwilę nie mógł mówić. Odetchnął głęboko. - Czyjej szukałeś? To znaczy, czy sprawdziłeś na lotnisku, dworcu autobusowym. ...

- Sprawdziłem. Zadzwoiłem nawet do przedsiębiorstw taksówkarskich. Wygląda na to, że rozpułyła się w powietrzu.

- Proszę, Ray, szukaj nadal. Kiedy tylko uda mi się wszystko załatwić, sam zacznę poszukiwania.

- Jasne - przytaknął Ray. - Przykro mi, stary. Naprawdę.

- Tak - westchnął Marc. - Mnie również.

Marc jednym uchem słuchał tego, co O'Connor mówi o konferencji prasowej. Nie mógł przestać myśleć o Samancie. Od czasu rozmowy z Rayem przypomniał sobie dwie osoby, do których mogli zadzwonić - pana Pottera, adwokata Samanthy, i tego chłopaka, Tommy'ego Bailcy.

- Marc, czy pan słyszał, co mówiłem? Marc drgnął, słysząc pytanie O'Connora.

- Martwię się o Samanthę Bradford - powiedział.

- Nie musi pan. Skontaktowałem się z jej adwokatem i wszystko mu wyjaśniłem. Jeśli pojawi się tam, nie będzie miała żadnych problemów.

Jeśli się pojawi? Marc popatrzył na O'Connora. Dlaczego ten człowiek był aż tak nieczuły, tak obojętny? A może coś ukrywał?

- Co to znaczy, jeśli się pojawi"? - zapytał. - Skąd pan wie, że jej tam nie ma? Pan coś wie.

- Jestem pewien, że z nią wszystko w porządku. Jest dorosłą kobietą i doskonale potrafi o siebie zadbać.

- Pan wie, gdzie ona jest, prawda? - Marc uporczywie wpatrywał się w O'Connora.

- Myślę, że omówiliśmy już wszystko...

- Gdzie ona jest?!

- Co to za krzyki? - Do pokoju niespodziewanie wszedł Edward Dureaux. - Marc, o co chodzi?

- Zapytaj o to swojego przyjaciela - odrzekł Marc. - Tylko przypadkiem nie licz na odpowiedź.

- Marc, nie będę tolerował tak nieuprzejmego...

- Przepraszam, tato. To osobista sprawa.

Nie chciał już niczego wyjaśniać. Zignorował protesty ojca i wyszedł z pokoju, po czym natychmiast zatelefonował do Raya.

- Zadzwoń wszędzie, gdzie tylko przyszło mi do głowy - powiedział Ray. - Nic nie wiem.

- Możesz zadzwonić jeszcze do dwóch ludzi. Jeden z nich jest adwokatem Sam, nazywa się Potter. Drugi to Tommy Bailey, chłopak, który wynajmuje łódzie. Muszą mieszkać gdzieś na wybrzeżu.

- To wszystko moja wina. Powinienem był...

- Przestań, Ray - przerwał Marc. - To ja jestem winien. A, myślę, że nic jej nie jest. Jestem absolutnie pewien, że ten agent O'Connor coś wie. Ale on nic nie powie. Nieważne, i tak ją znajdę.

- Jasne - przytaknął Ray. - Nie martw się. Na pewno ją znajdziemy.

Wieczorem Marc mógł wreszcie zająć się swoimi sprawami, musiał jednak za wszelką cenę uniknąć towarzystwa reporterów. Ray zaproponował, że podwiezie przyjaciela. Na miejsce spotkania wyznaczyli pobliski cmentarz. Gdy w końcu tam dotarł, poczuł się nieswojo. Większość grobów była bardzo stara i zapadnięta w ziemię. Całe to miejsce przyprawiało Marka o dreszcze.

- Cholerne hieny - mruknął. Nie byłoby go tu, gdyby nie reporterzy. Po raz pierwszy znalazł się po tej drugiej stronie i zupełnie nie przypadło mu to do gustu. Nawet po konferencji prasowej sytuacja wcale się nie poprawiła. Marc czuł się jak dziw natury wystawiony na widok publiczny. Samochody blokowały ulicę przed domem ojca, wszędzie kręcił się tłum reporterów. Policja kilkakrotnie ich usuwała, lecz wciąż wracali. Marc niemalże zaczął się wstydzić, że sam jest przecież jednym z nich.

Modlił się w duchu, aby Ray się pośpieszył. Przymknął oczy i niemal natychmiast usłyszał znajomy ryk silnika jeepa. Wyszedł na ulicę i ujrzał jak Ray zatrzymuje się przy krawężniku.

- Cieszę się, że cię widzę. Marc wsiadł do samochodu.

- Przepraszam, że się spóźniłem. Ruszyli w szybkim tempie. -

Pracowałem i straciłem poczucie czasu.

- To w ogóle był piekielny dzień.

- Omówiliście już przygotowania do pogrzebu Angelique?

- Tak. - Marc wyglądał przez okno.

- Pamiętam, co się działo, kiedy umarła moja mama. Mam nadzieję, że ten człowiek z firmy pogrzebowej nie jest tak pazerny, jak ci, z którymi ja miałem do czynienia.

- Wydawał mi się dosyć miły - zamyślił się Marc. - Czułem się jak ostatni hipokryta. Nie zrozum mnie źle. Jest mi cholernie przykro, że Angelique nie żyje i wiem, że jestem w pewien sposób odpowiedzialny za jej śmierć. Ale jakoś nie mogę... rozumiesz... rozpaczać.

- Hej, jestem twoim kumplem, zapomniałeś? - Ray klepnął Marka w ramię. - Nie musisz niczego wyjaśniać ani mnie, ani nikomu innemu.

Rzeczywiście, nie muszę, zgodził się w duchu Marc. Wiedział jednak,

że już zawsze będzie żył w poczuciu winy.

- O'Connor twierdzi, że może minąć nawet tydzień, zanim dostaniemy ciało Angelique - powiedział.

- Jak się trzymacie?

- Ojciec i Dora całkiem dobrze. Ojciec był...

- O rany! - wrzasnął nagle Ray. - Zapomniałem ci powiedzieć, że w końcu znalazłem tego adwokata Samantha.

Marc poczuł nagły przyptyw sił.

- Rozmawiałeś z nim? - zapytał.

- Nie - potrząsnął głową Ray. - Zostawiłem wiadomość nagrą na automatyczną sekretarkę. Powiedziałem, że panna Bradford zamówiła u mnie obraz, gdy była w Nowym Orleanie. Niestety, nie mogę jej odszukać i liczę na jego pomoc.

- Ty diable - uśmiechnął się Marc. Po raz pierwszy, odkąd Sam zniknęła, poczuł, że nie wszystko jest jeszcze stracone. - Wspaniale. Sądysz, że on oddzwoni?

- Przekonamy się jutro.

20

Kilka minut po ósmej następnego ranka zadzwonił telefon. Marc czekał w napięciu, aż Ray zakończy rozmowę. Już poprzedniego wieczora natychmiast chciał jechać, aby rozmówić się z tym prawnikiem, ale Ray zdołał mu to jakoś wyperswadować.

Marc przysłuchiwał się rozmowie, ale nic nie mógł z niej wywnioskować, ponieważ Ray odpowiadał monosylabami.

- Kto to był? - zapytał, gdy tylko jego przyjaciel odwiesił słuchawkę.

- Potter.

- Co powiedział?

Ray milczał. Zapisał coś na karteczce, wydarł ją z notesu i schował do kieszeni.

- Nic, o czym chciałbyś usłyszeć. Podał mi adres biura, żebym tam przesał obraz. - Wyjął kartkę i wręczył ją Markowi. - Obiecał, że dopilnuje, aby go dostała. Kiedy zaprotestowałem upierając się, że zgodnie z umową muszę osobiście dostarczyć obraz, stwierdził, że to niemożliwe. Poinformował, że pani Bradford jest absolutnie nieosiągalna. Sądzę, że coś podejrzewał.

- Tylko tyle? Nie powiedział nic więcej? - Marc przyglądał się kartce. - Co to znaczy absolutnie nieosiągalna?

- Spokojnie, spokojnie - Ray uniósł ręce. - Przynajmniej już coś wiemy. Samantha nie jest głupia, Marc. Ona nie chce żadnej ingerencji w swoje prywatne sprawy. Pragnie uniknąć sytuacji, w której mogliby dopaść ją reporterzy.

- Albo ja - dodał Marc.

Ray poruszył się niespokojnie i utkwiał wzrok w kubku z kawą.

- Muszę ją odnaleźć, Ray. Przynajmniej muszę spróbować. - Marc westchnął ciężko. - Jeśli mi powie, żebym się wynosił to... cóż, jakoś sobie z tym poradzę.

Ponieważ pozostawił wóz u ojca, a wokół domu kręciło się stado reporterów, Marc postanowił wynająć samochód. Przez całą drogę do Pass Christian myślał tylko o tym, co powie prawnikowi. W głębi serca zdawał sobie sprawę, że prawda będzie najbardziej przekonująca.

Wyzna mu, że zakochał się w Samancie Bradford, ale doszło między nimi do nieporozumień.

Zbliżało się już południe, kiedy dotarł do miejsca przeznaczenia. Zaciśnął kciuki na szczęście i wszedł do niewielkiego budynku z cegły. Recepcjonistka - drobna kobieta po pięćdziesiątce - pracowicie wycierała biurko. Zerknęła na niego zza okularów.

- Przykro mi, proszę pana, ale trafił pan na przerwę obiadową - powiedziała. Otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła pokrowiec na maszynę do pisania.

- Czy jest jeszcze pan Potter? Zajmę mu dosłownie minutę.

Kobieta potrząsnęła przecząco głową.

- Wszedł przed godziną. Wróci dopiero za dwa tygodnie.

- Za dwa tygodnie? Ależ ja nie mogę czekać aż tak długo.

Spojrzała na niego uważnie i poprawiła okulary.

- Chyba nie ma pan innego wyjścia, młody człowieku. - Wzruszyła ramionami. - Jeżeli to taka pilna sprawa, mogę panu polecić innego prawnika.

- Nie. - Marc złapał się za głowę. - Pani mnie nie rozumie. Ja muszę rozmawiać z panem Potterem. Chodzi o Sam... o Samanthę Bradford.

Kobieta zeszywniała i zacisnęła wargi.

- Czy pan jest reporterem? - zapytała.

- Tak... to znaczy nie. Nazywam się Marc Dureaux. Sam, mam na myśli panią Bradford i mnie, byliśmy zamieszani...

- Pani Dureaux, doskonale wiem, w co była zamieszana pani Bradford. Słucham wiadomości. Natomiast chcę panu wyjaśnić, że pani Bradford jest nieosiągalna, bez względu na to, czy chodzi o pana, czy kogokolwiek innego.

- Ale pani mnie nie rozumie. Muszę...

- Rozumiem tylko, że zajmuje pan czas mojej przerwy. - Kobieta

wstała i sięgnęła po torebkę. - Więc teraz, jeśli pan pozwoli, zamknę biuro.

Godzinę później Marc zaparkował samochód obok betonowego murku biegnącego wzdłuż wąskiej plaży nad zatoką. Przez chwilę siedział nieruchomo i wpatrywał się w szmaragdową wodę. Dwa tygodnie, pomyślał. Dwa tygodnie oczekiwania na rozmowę, z której zresztą niekoniecznie musiało wyniknąć coś dobrego.

Marc wysiadł z samochodu. Zdjął buty i skarpety oraz podwinął wysoko spodnie. Błyskawicznie przebiegł po rozpalonym piasku aż do miejsca, gdzie podpływały fale. Postanowił przejść się brzegiem, aby trochę pomyśleć.

Wyglądało na to, że za każdym razem, kiedy niemalże udawało mu się ustalić miejsce pobytu Samantha, jakiś przekorny zbieg okoliczności lub czyjeś celowe działanie sprawiało, że znów stawało się to niemożliwe. Przypomniawszy sobie, jak wcześniej postanowił odwiedzić redakcję lokalnej gazety. Liczył na to, że tam uda mu się zdobyć adres dziewczyny. Jednak redakcja była zamknięta na cztery spusty. Również wizyta w bibliotece też nic nie przyniosła. Na drzwiach wisiał napis: „Przerwa obiadowa”. Wspominając te nieudane próby, Marc kopnął ze złości mokry piasek i jęknął głośno. Gdyby tylko mógł porozmawiać z Samantha.

Marc nie miał pojęcia, jak daleko zawędrował, lecz kiedy obejrzał się przez ramię, nie dostrzegł już samochodu. Uznał, że minęło wystarczająco dużo czasu, aby wszyscy zdążyli zjeść swój obiad. Kiedy zamierzał już zawrócić, nagle pewien widok zwrócił jego uwagę. Czerwono-błękitno-żółty żagiel katamaranu zbliżał się w szybkim tempie.

Marc zmrużył oczy i obserwował łódkę. Przecież ten młody przyjaciel Samantha, Tommy Bailey, wynajmował katamarany gdzieś na tej plaży. Gdyby tylko mógł go odnaleźć. Marc zdawał sobie sprawę, że może to nie dać żadnego efektu, ale postanowił spróbować. Lepiej zająć się jakimś działaniem, niż biernie oczekiwać.

Ze wzrokiem utkwionym w żagiel zaczął biec po mokrym piasku w

kierunku katamaranu. Łódka płynęła szybko i wkrótce dzieliła ich znaczna odległość. Marc zawahał się. Może powinien wrócić do samochodu? Jednak w tym samym momencie dostrzegł gołe maszty innych łodzi. Kiedy zbliżał się do nich, katamaran nagle skręcił i skierował się w stronę brzegu.

Marc oddychał ciężko po biegu. Zwolnił nieco i przyglądał się, jak łódka, kierowana przez dwóch młodych mężczyzn, podpłynęła do plaży. Jeden z nich wyskoczył i podepchnął ją do brzegu. Drugi sprawiał wrażenie poważnie rozzłoszczonego.

- Ty kretynie! - wrzasnął. - Omal nas nie wywalites!

- Uspokój się, człowieku.

- Łatwo ci mówić, rzeczywiście. - Chłopak na łodzi machnął ręką w gipsie. - Nie wolno mi tego zamoczyć. Matka zabiłaby mnie, gdyby wiedziała, co robiłem. Pomóż mi, dobra? - Wyciągnął przed siebie zdrową rękę. - I uważaj, moje żebra jeszcze się całkiem nie zrosły.

- Hej, chłopaki - Marc podszedł do młodych ludzi i wskazał na łodzie. - Wypożyczacie te rzeczy?

Chłopak z gipsem jęknął, gdy kolega pomagał mu przy zejściu z łodzi.

- Jasne, proszę pana - powiedział. - Dwadzieścia pięć dolarów za godzinę.

- Jak się nazywasz, synu?

- Tommy, Tommy Bailey - wyciągnął przed siebie rękę i potrząsnął dłonią Marka. - A to jest mój kuzyn Charlie. Miałem wypadek i dlatego Charlie mi pomaga. Czym mogę służyć?

Marc uśmiechnął się szeroko i klepnął Tommy'ego w plecy.

- No cóż, Tommy, bardzo się cieszę, że cię widzę - powiedział.

Tommy popatrzył na niego uważnie.

- Czy my się znamy? - zapytał nieufnie.

- W pewnym sensie tak - roześmiał się Marc. - To przez tę brodę właściwie nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni, no i minęło już trochę czasu, ale znasz mnie.

Późną nocą Marc znów znalazł się w Nowym Orleanie. Do dnia pogrzebu Angelique mieszkał u Raya, później przeniósł się do domu

ojca.

Prasa już dawno przestała się nimi interesować. W tej chwili uwaga wszystkich skupiła się na doniesieniach o huraganie Berta, który szalał wzdłuż wybrzeża we wschodnim Teksasie. Zgodnie z prognozą powinien przesunąć się w głąb lądu i tam ucichnąć, lecz sztorm dotarł do Zatoki Meksykańskiej, około stu mil na południowy zachód od Nowego Orleanu. Niektórzy sądzą, że dotrze do ujścia Missisipi. W każdym razie nad Nowym Orleanem wisi groźba silnych wiatrów i powodzi.

Marc wraz z Jean Claude'em pomagali Edwardowi i Dorze przygotować się na najgorszą ewentualność. Zgromadzili mnóstwo żywności, zabezpieczyli drzwi i okna oraz uporządkowali teren wokół domu.

Marc nie mógł nie zauważyć zmiany, jaka zaszła w jego kuchni podczas ostatniego tygodnia. Jean Claude schudł bardzo, a podkrążone oczy świadczyły o bezsenności. Nie wspominał Angelique, jednak była ona wciąż obecna. Jej osoba wciąż stała między nimi. Powodowało to nieznośne napięcie, którego obaj byli świadkami.

Jean Claude nie wspominał także o nadchodzących wyborach na stanowisko gubernatora, jednak Marc domyślał się, jak bardzo musi być rozczarowany. Przecież wszystkie jego nadzieje rozwiały się bezpowrotnie.

Przeszli do biblioteki, gdy zabili deskami ostatnie okno. Marc otworzył butelkę burbona i napełnił kieliszki.

- Tata mówił, że wyjeżdżasz, jak tylko minie sztorm. - Podał trunek kuzynowi.

Jean Claude wychylił odrobinę płynu i usiadł na krześle.

- To prawda. Myślę, że tak będzie najlepiej dla nas wszystkich - powiedział poważnym tonem. - Na razie zostaję na wypadek... na wypadek gdyby twój ojciec i Dora potrzebowali pomocy, gdy przyjdzie huragan.

- Dokąd pojedziesz? - Marc usiadł naprzeciw kuzyna.

Jean Claude wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że przez jakiś czas będę podróżował.

A potem, kto wie? - Po chwili niezręcznej ciszy dodał: - Wiatr się wzmaga. Mam nadzieję, że stryj i Dora niedługo wrócą.

Zapadło milczenie. W pokoju słychać było tylko tykanie zegara i krople deszczu uderzające o szyby.

Huragan Berta zrobił wszystkim niespodziankę. Po trzech dniach atakowania wybrzeży Luizjany, Missisipi i Alabamy przeniósł się na Florydę.

Marc pojechał do Pass Chrystian natychmiast, gdy tylko huragan ustąpił. Spacerował wokół domu babci Samantha i wspominał wcześniejsze spotkanie z Tommym Baileyem. Chłopak był równie rozmowny jak adwokat i recepcjonistka. Marc niemalże ochrypnął, próbując przekonać Tommy'ego o swoich uczciwych zamiarach. Chłopak i tak nie chciał nic powiedzieć. Twierdził, że obiecał to Samancie. Jediną informacją, jaką Marc zdołał zdobyć, był adres domu babki. Gdy zrezygnowany zamierzał już odejść, Tommy nagle zmienił zdanie.

- Niech pan wróci za miesiąc - powiedział. - Sam mówiła, że będzie w domu przed majem.

Marc pochylił się i podniósł utamaną gałąź. Próbował wmawiać sobie, że przyjechał tylko po to, aby upewnić się, czy dom przetrwał natarcie huraganu. Wiedział jednak dobrze, że był to tylko jeden z powodów. Pobyt w miejscu, gdzie mieszkała Samantha, sprawiał, że czuł się bliżej dziewczyny. Podniósł następną gałąź i położył ją na stosie nie opodal wejścia.

Stary dom nie odniósł żadnych uszkodzeń, z wyjątkiem kilku wybitych okien. Marc ocenił, że ta budowla zdoła przetrwać jeszcze parę następnych pokoleń. Przez całe popołudnie sprzątał teren wokół domu. W pewnej chwili w jego głowie zaczął wykluwać się pewien plan.

Gdy skończył porządkowanie, miał już pełną wizję swoich zamierzeń. Zadzwoił do Tommy'ego i powiadomił go o wezwaniu szklarzy. Zostawił chłopcu numer telefonu w domu ojca, prosząc, aby Tommy poinformował go o kosztach naprawy.

Do powrotu Samantha zostały mniej więcej trzy tygodnie. Około dwudziestu dni na zrealizowanie prawie niemożliwego do wykonania

zadania. Musiał zaryzykować. Miał tylko nadzieję, że jego wysiłki nie pójdą na marne.

Samantha wysiadła z wynajętego samochodu i westchnęła z ulgą. Jak dobrze znów znaleźć się w domu, pomyślała. Zamknęła oczy i głęboko odetchnęła. Słony zapach zatoki był wręcz rozkoszny, cudowny. Podróż do Europy częściowo spełniła swoje zadanie - udało się Samancie uniknąć reporterów. Jednak nie mogła uwolnić się od tęsknoty za domem i za Markiem. Za każdym razem, kiedy widziała ciemnowłosego, brodatego mężczyznę, myślała o nim. Gdziekolwiek poszła, w którąkolwiek stronę spojrzała, wszędzie widziała pary. Czuła wtedy, że jej życie jest niepełne. A już ostatni dzień w Paryżu był prawdziwą torturą, mogła myśleć wyłącznie o powrocie do domu. Wciąż wspominała, jak Marc bardzo się o nią troszczył. Zbyt mocno jednak odcisnęły się na niej bolesne doświadczenia z przeszłości, aby zaakceptować myśl, że tym razem może być inaczej i pozwolić Markowi powiedzieć to, co pragnął.

Samantha rozejrzała się dokoła. Nic się nie zmieniło. Dom nie ugiął się pod naporem żywiołu. Usłyszała o huraganie podczas pobytu w Anglii. Omal natychmiast nie powróciła do domu, uspokoił ją dopiero telefon od Tommy'ego.

Żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku, obeszła dokładnie cały budynek. Jediną zauważalną zmianą były dwie nowe szyby. Prawdopodobnie Tommy zadbał o to, aby je wstawiono, pomyślała i dotknęła palcami szkła.

Zapatrzyła się na zatokę, lecz szybko otrząsnęła się z rozmyślań. Nadszedł czas, aby pokierować swoim życiem. Babcia na pewno powiedziałaaby: „Głowa do góry, dziewczyno”. Trzeba przełknąć dumę i naprawić to, co zepsuła. Samantha wyprostowała się i ruszyła w stronę samochodu.

Następnego dnia Samantha spędziła niemal cały ranek na rozpakowywaniu i praniu ubrań. Kilkakrotnie chciała rzucić to wszystko i pójść na plażę, ale zniechęciła ją myśl o tłumie turystów.

Gdy włączyła piecyk i wyjęła pizzę do podgrzania, zadzwonił telefon.

- Samantha? Tu Tommy. - Wyglądało na to, że chłopak jest solidnie wystraszony. - Był wypadek. Potrzebuję pomocy.

- Co się stało? - wykrzyknęła przerażona.

- To Charlie. Boże, matka mnie zabije.

- Uspokój się Tommy. Co z Charlie'em?

- Przed godziną wziął jeden z katamaranów i wy płynął. Widzę łódkę przez lornetkę, lecz nie ma na niej Charlie'ego. Z moją ręką nie mogę sam popłynąć na poszukiwania.

- Dzwoniłeś po Straż Przybrzeżną?

- Pewnie, od razu, ale numer jest wciąż zajęty. Samantha, martwię się. W pobliżu nie ma nikogo, kto potrafi żeglować.

- Na pewno jest ktoś na plaży, kto mógłby po niego popłynąć,

- Sam, proszę cię. Nie ma nikogo. Charlie dobrze pływa, ale nie utrzyma się na powierzchni przez wieczność.

- Czy ty trochę nie przesadzasz?

- Świetnie! Przesadzam, tak? No cóż, pamiętaj, że prosiłem cię o pomoc.

Samantha westchnęła głęboko. Już kiedyś nie posłuchała nalegań Tommy'ego i jej upór przyniósł wyłącznie kłopoty. Dlaczego ja, pomyślała. Gdzie, u diabła, byli inni? Wiedziała jednak, że nie może siedzieć beczynn timer, kiedy życiu chłopca zagraża niebezpieczeństwo.

- Spokojnie, Tommy - powiedziała w słuchawkę. - Zaraz tam będę.

Natychmiast włożyła tenisówki i kilka minut później biegła już po piasku. Pot spływał jej po plecach i oddychała z trudem. Tommy zdążył już zepchnąć katamaran na wodę i wkładał cały wysiłek w to, aby fala nie zniosła łodzi.

- Wsiadaj! - krzyknęła Samantha.

Tommy niezdarnie wdrapał się do środka, a Samantha zepchnęła łódkę.

- Dokąd? - zapytała, gdy znalazła się wewnątrz.

- Tam! - Machnął ręką w kierunku dużego jachtu, zakotwiczonego na wodzie. - Mam nadzieję, że zdołał do niego dopłynąć.

Samantha ujrzała piękny jacht i z trudem przełknęła ślinę.

Przypominał jej „Jenny”. Rozmiar i płynna linia. Wszystko to było tak znajome. To śmieszne, powiedziała sobie. „Jenny” istniała teraz tylko w jej wspomnieniach. Samantha zacisnęła zęby i schwyciła za rumpel. Kolorowy żagiel wypełnił się wiatrem i ruszyli w stronę jachtu.

- Nigdzie nie widzę łodzi Charlie'ego. - Popatrzyła na Tommy'ego.

- Pewnie jest już w połowie drogi na Kubę. - Wzruszył ramionami.

Samantha wzdrygnęła się. Biedny Charlie, pomyślała. Podobnie jak Tommy, miała nadzieję, że chłopiec zdołał dopłynąć do jachtu.

Kiedy podpłynęli tuż obok wielkiej łodzi, nie dostrzegli nikogo na pokładzie. Przez chwilę opanowało Samanthę dziwaczne uczucie, że już to kiedyś przeżywała. Szybko odsunęła je od siebie. Przywiązała łódkę do jachtu i wdrapała się na pokład.

- Poczekaj tutaj - poleciła Tommy'emu. Zwinęła dłonie i krzyknęła przez zaimprovizowaną trąbkę: - Halo, jest tu ktoś? Charlie!

Spod pokładu dobiegł ją stłumiony głos. Ostrożnie podeszła do schodków.

- Charlie, jesteś tutaj? - zawołała ponownie. Schyliła się i zeszła na dół. Przez chwilę kompletnie nic nie widziała, lecz później oczy przyzwyczyły się do panującego w kabinie półmroku. Zamrugęła kilkakrotnie i nagle ujrzała przed sobą uśmiechniętą twarz Charlie'ego.

- Fajnie, że jesteś - powiedział. - Dzięki kapitanowi tej fajby żyję i czuję się świetnie.

Samantha rozejrzała się po pomieszczeniu, ale nikogo nie dostrzegła.

- Gdzie jest kapitan? - zapytała.

Charlie machnął głową w kierunku tylnej kabiny. Spojrzenie Samanthy pobiegło za tym gestem. Ujrzała w drzwiach wysoką sylwetkę. Jej serce zatrzymało się na moment, po czym zaczęło bić jak oszalałe.

- Marc - wyszeptała. - To ty...

- Chyba już mnie nie potrzebujecie - przerwał Charlie. - Zobaczmy się później, Sam. - Prześliznął się szybko obok niej.

- Dziękuję, Charlie - krzyknął Marc. - Podziękuj też ode mnie Tommy'emu.

Samantha odwróciła się gwałtownie, w samą porę, żeby zobaczyć, jak

Charlie uśmiecha się od ucha do ucha.

- Jasne, panie Dureaux - powiedział i zniknął. Położyła ręce na biodrach i spojrzała na Marka.

- Co tu się dzieje? - zapytała, choć dobrze już znała odpowiedź.

- Sam, pozwól mi wyjaśnić. Daj mi szansę... Cofnęła się w kierunku wyjścia. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie wiem... Nie jestem pewna - wyjąkała. - Daj mi się zastanowić.

Świadomość, że on tu właśnie stoi przed nią, działała na nią obezwładniająco. Zamierzała go odszukać i wyjawić wszystko, co działo się w jej sercu, ale teraz twarzą w twarz z Markiem, nie potrafiła znaleźć słów.

- Pozwól mi wyjaśnić - powtórzył. Skinęła z wysiłkiem głową.

- Wyjdźmy na pokład - zaproponował. - Tam jest chłodniej.

Znów skinęła głową, po czym wspięła się na górę. Gdy znalazła się na pokładzie, ujrzała, jak roześmiani Charlie i Tommy machają do niej rękami. Dwukrotnie okrążyli jacht, zanim skierowali się w stronę brzegu.

Kiedy odpływali, nagłe uświadomiła sobie, dlaczego jacht wyglądał tak znajomo. Zdrętwiała na myśl o tym odkryciu. To przecież „Jenny”, wyszeptła i łzy ponownie napłynęły jej do oczu.

Marc przygotował się na ciężkie starcie. Nie przypuszczał jednak, że zastanie dziewczynę siedzącą w kokpicie i pogrążoną w płaczu. Poczuł ucisk w okolicy serca. Może przez cały czas się mylił? Czy nie dość już nacierpiała się z jego powodu? Czy był aż tak zaślepiony swoim egoistycznym pragnieniem posiadania jej, że przez swoje starania przysporzył jej jeszcze więcej bólu?

- Sam?

Gdy uniosła głowę, poczuł się jeszcze bardziej winny. Oczy dziewczyny były czerwone i spuchnięte od płaczu.

- Kochanie, tak mi przykro - powiedział. - Nie chciałem cię zmartwić przyjeżdżając tutaj.

Samantha wstała bez słowa i spojrzała na zatokę.

- Dlaczego, Marc? - wyszeptła. - Dlaczego to wszystko zrobisz? - Spojrzała na niego z oczekiwaniem.

- Próbowałem ci to wcześniej powiedzieć, ale nie chciałaś słuchać.

Dziewczyna skrzyżowała ręce i wciąż patrzyła na niego. Marc potarł dłonią kark i odwrócił wzrok. Zapadła nieznośna cisza.

- Tak? No to mów - powiedziała w końcu Samantha. - Teraz słucham. Powiedz to.

Marc odetchnął głęboko i spojrzał na nią.

- Moje małżeństwo skończyło się na długo przedtem, zanim cię spotkałem - przerwał na chwilę. - Na długo, zanim cię pokochałem. Tak... Kocham cię, Sam. Czuję się winny i żal mi Angelique, ale nie z tych powodów, o które mnie podejrzewałaś. Przyznaję, że na początku miałem mieszane uczucia i w jednym przypadku miałaś rację. Czasem dopuszczam, aby fałszywie pojęte poczucie odpowiedzialności przesłoniło zdrowy rozsądek. Przez ostatnie tygodnie wiele myślałem nad tym, co mi powiedziałaś. Niezależnie od tego, co nadal o tym będziesz sądziła, chcę cię zapewnić, że nigdy nie brałem pod uwagę powrotu do Angelique. Była ona człowiekiem, któremu należało współczuć, lecz nie była kobietą, z którą chciałbym dzielić życie.

Wyraz twarzy Samantha nie zmienił się. Marc zatrwożył się, czy jego wyznanie miłości nie przyszło zbyt późno. Słuchała go, ale czy na pewno słyszała jego słowa?

Odwrócił się pełen rezygnacji.

- Wezmę dinghy i odstawię cię na brzeg - powiedział.

Kiedy ją mijał, Samantha chwyciła go za ramię.

- Pocałuj mnie - wyszeptała.

Marc zatrzymał się. Popatrzył na jej rękę na swoim ramieniu, po czym przeniósł oślepiały wzrok na twarz dziewczyny.

- Co powiedziałaś? Pociągnęła go lekko za ramię.

- Powiedziałam, żebyś mnie pocałował - powtórzyła, zabawnie przeciągając sylaby i uśmiechnęła się z rozczuleniem.

Marc sprawiał wrażenie całkiem zaszokowanego.

- Nie rozumiem - wykrztusił. - Ja...

Samantha zbliżyła się do niego i położyła palec na jego ustach. Ciało Marka natychmiast zareagowało na ten niewinny gest. Przez chwilę

gładziła go po brodzie, po czym pociągnęła ją żartobliwie.

- Tęskniłam za tobą - wyszeptała.

Marc poczuł się całkowicie oszołomiony. Nie był pewien, czy zdoła wykrztusić z siebie choć jedno słowo.

- A teraz czekam, żebyś mnie pocałował - powtórzyła.

Jęknął cicho, gdy ujrzął pragnienie w jej oczach. Jak wiele razy w ciągu ubiegłego miesiąca myślał o tej chwili. Jednak nie liczył na to, że marzenie może stać się rzeczywistością. W najlepszym wypadku oczekiwał, że Samantha da mu szansę na wyznanie, co dzieje się w jego sercu. Ujął jej głowę w swoje ręce i łagodnie dotknął ust dziewczyny. Jej pocałunek był tak słodki, a ona zdawała się wszystko wiedzieć i wszystko wybaczać. Nie przerywał pocałunku czerpiąc radość i rozkosz z tej bliskości. Przygarniał ją do siebie coraz mocniej, jak gdyby chciał, aby nic ich nie dzieliło. W końcu niechętnie wypuścił ją z ramion. Samantha westchnęła z lekką nutką zawodu.

- Czy możemy to jeszcze powtórzyć? - zapytała. - Zaczyna mi się podobać.

Marc zachichotał rozbawiony.

- Kochanie, jeszcze jedna najdrobniejsza zachęta, a przestanę odpowiadać za swoje zachowanie.

- Obiecujesz? - spojrzała na niego ze śmiertelną powagą.

Marc przestał się śmiać.

- Skarbie mój, mogę ci obiecać znacznie więcej, jeżeli tylko dasz mi szansę - powiedział. - Kocham cię.

- Marc, ja też cię kocham.

Odsunął ją na odległość ramienia.

- Powtórz to - zażądał. - Powtórz to głośniej. Chcę się upewnić, że to nie sen.

Samantha roześmiała się głośno. Ten dźwięk sprawił, że Marc poczuł, jak przepętniła go niewypowiedziane szczęście.

- Powiedziałam, że cię kocham - wrzasnęła.

- Jesteś tego pewna?

- Jak najbardziej - odrzekła. - Szczerze mówiąc, w pewien słoneczny,

wtorkowy poranek zamierzałam udać się na wycieczkę do Nowego Orleanu, aby cię odnaleźć...

Marc zakrył jej usta palcami, chcąc zatrzymać następne słowa. Gdy się odezwał, jego nieco schrypnięty głos wypełniony był pożądaniem.

- Nie, nie teraz. Powiesz mi o tym później. Dużo, dużo później. - Ręce Marka błądziły po jej ciele. - Sam, moja Sam, tak bardzo cię pragnę. Czekam na ciebie już od tak dawna.

- Pocałuj mnie jeszcze raz. - Ujęła jego rękę. - Dotknij mnie. - Jej głos kusił, prosił i żądał.

Przez chwilę Marc nie był w stanie się ruszyć, nie mógł nawet oddychać. Samantha położyła jego dłoń na swojej piersi. Była jednocześnie miękka i sprężysta pod jego dotykiem. Odetchnął z trudem. Wiedział, co teraz nastąpi.

Rozsunął jej bluzkę i schylił głowę. Muskał ustami jej piersi, a jego broda drażniła delikatną skórę dziewczyny. Samantha zamknęła oczy. Czuła, jak narasta w niej gwałtowne pożądanie.

- Kocham cię, Sam - wyszeptał Marc. Gorączkowo rozpinął guziki jej bluzki. Chciał odrzucić wszystko, co mogłoby ich dzielić. Za chwilę bluzka i stanik powędrowały na podłogę. Skóra Samantha pachniała upajająco. Delikatnie drażnił językiem jej sutek, aż stwardniał w maleńki stożek. Dziewczyna jęknęła z rozkoszy i przesunęła ręce na głowę Marka, kierując jego usta w stronę drugiej piersi. Mężczyzna z ochotą odpowiedział na tę zachętę.

- Tak, o, tak - szeptała Samantha. Tymi krótkimi westchnieniami potwierdzała swoje pragnienie i gotowość.

Przechyliła głowę i ukryła twarz we włosach Marka. Długo tłumione pragnienia wybuchły w niej z całą mocą. Z trudem powstrzymała się od głośnego krzyku.

Nagle Marc przerwał pieszczoty. Przycisnął mocniej Samantha i wziął ją na ręce. Oplotła go ramionami i wtuliła usta w jego szyję. Przesunęła wargi i zaczęła całować go za uchem.

Nigdy dotąd nie spotkał kobiety tak wrażliwej na jego dotyk. To było niezwykle przeżycie. Chciał je przedłużyć w nieskończoność. Chciał wciąż

dawać jej rozkosz i nigdy nie przestawać.

Przeniósł Samanthę i położył ją delikatnie na łóżku. Powoli zsunął z niej szorty i bieliznę. Pożerał ją zachwyconym spojrzeniem. Długie włosy odcinały się jasną plamą na granatowym tle poduszki. W przyćmionym świetle kabiny jej skóra zdawała się lśnić księżycową poświatą. Wąska talia kontrastowała z kształtnie zaokrąglonymi biodrami. Pełne piersi poruszały się łagodnie z każdym oddechem, jak gdyby nieśmiało prosząc o pieczęć. Lekko zgięte w kolanach, długie nogi drżały z wyczekiwania.

Wciąż nie spuszczać wzroku z dziewczyny zrzucił z siebie ubranie i ułożył się obok niej. Delikatnie oswajał jej ciało z dotykiem swoich rąk. Nieprzerwanie gładził piersi, brzuch i uda. Czuł, że czekała na niego z niecierpliwością.

Zaczął całować jej usta. Jęknęła cicho i przywarła ciaśniej do niego. Dłonie dziewczyny zacisnęły się kurczowo na ramionach Marka.

Nie mógł już dłużej zwlekać. Wszedł w nią szybko i znieruchomiał na chwilę. Chciał zatrzymać ten moment całkowitego zespolenia. Nogi Samanthy ciasno objęły jego biodra, a jej ręce przyciągały go jeszcze bliżej. Wygięta biodra i wtedy nie potrafił już dłużej czekać. Zaczął gwałtownie pokrywać pocałunkami jej ciało, a biodra ich szybko znalazły wspólny rytm.

Napięcie rośnie jak gwałtowny ogień pochłaniający wszystko na swojej drodze, aż wreszcie wybuchło w gwałtownej ekstazie.

Powoli wracali do rzeczywistości. Uspokajały się wzburzone oddechy. Marc uniósł się nieco na łokciach i z czułością patrzył na Samanthę. Dziewczyna natychmiast przytrzymała go mocno w talii.

- Nie... nie odchodź jeszcze - wyszeptała. Jej usta były obrzmiałe i wciąż wilgotne od jego pocałunków. Leciutko przeciągnął po nich palcami i Samantha powoli otworzyła oczy. Widząc jej spojrzenie, Marc nagle poczuł, że nie zasłużył na tyle szczęścia. Nigdy dotąd nikt nie patrzył na niego z taką czułością i miłością. Dziewczyna uniosła nieco głowę i pocałowała go, po czym z powrotem opadła na poduszkę.

- Kocham cię, Marc - powiedziała. - Dopóki cię nie spotkałam, nie

wiedziałam, co znaczy miłość. To, co było przedtem, jest niczym w porównaniu z tym, co czuję do ciebie.

Marka przepęłniło szczęście.

- Samantha, już nigdy nie pozwolę ci odejść - powiedział żarliwie, po czym zmienił ton głosu.

- Co prawda jesteś czasem bardzo uparta, ale kiedy weźmiemy ślub, zamierzam...

- Ślub? - Samantha znieruchomiła.

W oczach Marka zapaliły się żartobliwe ogniki.

- Jeśli chcesz wydostać się z tego jachtu, musisz powiedzieć tak - uniósł brwi.

- Podoba mi się ten jacht - odparła z przekornym uśmiechem. - Dlaczego miałabym...

- Sam - przerwał. - Postaraj się być poważna.

- Tak - zgodziła się szybko. - Tak, wyjdę za ciebie.

- Jesteś pewna, że chcesz tego?

- Całkowicie.

Objął ją mocno i przymknął oczy.

- Lepiej, żeby to była prawda, kochanie - zaczął. - Powiedziałem ojcu, żeby poczekał ze zwolnieniem Dory, dopóki...

- Ze zwolnieniem Dory?! - przerwała ze zdumieniem. - Dlaczego na litość boską, twój ojciec chce ją zwolnić?

- Tata okazał się wspaniałym dyplomatą - roześmiał się Marc. - Uznał w końcu, że to jedyny sposób, żeby Dora zgodziła się go poślubić. Kiedy ją zwolni, nie będzie już jego gospodynią i argument o niestosowności tego związku przestanie mieć sens. Dora będzie musiała wybierać - albo go poślubi, albo tata zatrudni inną kobietę, która zajmie jej miejsce w domu. Wierz mi, ona by tego nie zniósła.

Samantha uśmiechnęła się. Czuła radość, gdy słuchała głosu Marka i leżeli ciasno do siebie przytuleni. Wiedziała, że teraz jest bezpieczna - znalazła przystań w jego ramionach.

Na zewnątrz słońce wędrowało po niebie, a ciepłe wiatry szeptały coś w żaglach „Jenny III”. Pod pokładem też było słychać szepty. Szepty o

namiętności, czułości i wiecznej miłości.

RS